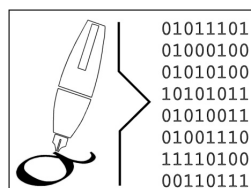


Philip K. Dick

Blade Runner

Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?

Przełożył Sławomir Kędzierski



*Dla Maren Augusty Bergrud
10 sierpnia 1923 — 14 czerwca 1967
Auckland*

W dniu wczorajszym zdechł żółw ofiarowany królowi Tonga w 1777 roku przez słynnego podróżnika, kapitana Cooka. Zwierzę żyło nieomal 200 lat. Żółw, zwany Tu'Imalila, zdechł na terenie królewskiego pałacu w stolicy Tongi, Nuku, na wyspie Alo-ga. Naród tongański uważał zwierzę za wodza; do doglądania go wyznaczono specjalnych opiekunów. Żółw oślepił kilka lat temu podczas pożaru buszu. Radio Tonga poinformowało, że ciało Tu'Imalili zostanie przesłane do Muzeum w Auckland na terenie Nowej Zelandii.

Reuter, 1966

Rozdział I

Przyjemny, delikatny elektryczny impuls automatycznego budzika wysłany przez stojący przy łóżku programator nastroju obudził Ricka Deckarda. Zdziwiony — zawsze dziwiło go, że niespodziewanie zupełnie nie chce mu się spać — wstał z łóżka ubrany w swą wielobarwną piżamę i przeciągnął się. Jego żona Iran leżąc w swoim łóżku otworzyła szare, niewesołe oczy. Mrugnęła, jęknęła cicho i znowu zamknęła powieki.

— Nastawiłaś swojego Penfielda na zbyt słaby impuls — powiedział Rick. — Prze-programuję go, obudzisz się i...

— Nie dotykaj mojego programatora. — Jej głos był nieprzyjemnie ostry. — Wcale nie chcę się obudzić.

Usiadł na krawędzi łóżka, pochylił się i zaczął przekonywać ją łagodnie:

— Jeżeli zaprogramujesz odpowiednio silny impuls, będziesz zadowolona, że się obudziłaś. Na tym polega cała sprawa. Przy ustawieniu programu na pozycję C, impuls odblokowuje świadomość. Wiem to po sobie. — Przyjaźnie, bowiem czuł się życzliwie usposobiony do całego świata (jego program ustawiony był na D), poklepał jej nagie, nieopalone ramię.

— Trzymaj swoje łapy przy sobie, glino — burknęła.

— Nie jestem gliną. — Poczul przypływ irytacji, choć wcale go nie zaprogramował.

— Jesteś czymś gorszym — oznajmiła żona. Oczy miała zamknięte. — Jesteś mordercą wynajętym przez gliny.

— Nigdy w życiu nie zabiłem ludzkiej istoty. — Jego irytacja potęgowała się, stawała się wyraźną wrogością.

— Tylko te biedne andki — odparła Iran.

— Chciałbym zauważyć, że nigdy nie wahałaś się wydać pieniędzy, które dostałem za zrealizowanie listu gończego, na pierwszą lepszą rzecz, jaka ci wpadła w oko. — Wstał i podszedł do konsoli swego programatora nastroju. — Zamiast oszczędzać, żebyśmy mogli kupić prawdziwą owcę i zastąpić nią tę elektryczną imitację. Zwykle, elektryczne zwierzę, za moje ciężko wypracowane przez lata zarobki. — Zawahał się, czy zaprogramować

mować trankwilizację międzymózgowia (która usunęłaby jego wściekłość), czy też stymulację (co z kolei podrażniłoby go w sposób wystarczający, by wygrać tę sprzeczkę).

— Jeśli nastawisz na większą agresję — oznajmiła Iran, patrząc nań uważnie — nastawię to samo. Nastawię na maksimum i będziesz miał taką drakę, przy której zbledną wszystkie nasze dotychczasowe sprzeciżki. No, spróbuj. — Wstała gwałtownie, podskoczyła do swego programatora nastroju i stanęła, wpatrując się w Ricka z wściekłością.

Westchnął. Jej groźba podziałała.

— Nastawię to, co mam zaplanowane na dziś. — Odszukał w tabeli 3 stycznia 2021 i zobaczył, że przewidziana jest poważna, profesjonalna postawa. — Jeżeli zaprogramuję zgodnie z planem — zapytał przezornie — czy zrobisz to samo? — Czekał, nie chcąc wykonać pierwszego kroku, zanim żona nie zgodzi się pójść w jego ślady.

— W moim planie na dziś mam sześć godzin depresji połączonej z samooskarżeniem — odparła Iran.

— Co? Dlaczego to wprowadziłaś? — Taki pomysł unicestwiał całą koncepcję programatora nastroju. — Nie miałem pojęcia, że można zaplanować coś takiego — dodał posępnie.

— Siedziałam tu pewnego popołudnia — odparła Iran — i oczywiście włączyłam Przyjacielskiego Bustera i Jego Przyjacielskich Przyjaciół. Mówił o wielkiej rewelacji, którą ma zamiar wkrótce ogłosić i wtedy właśnie puścili tę wstrętną reklamówkę, tę, której nie cierpię, wiesz — o Ołowianych Ochraniaczach Mountibanka. Wtedy wyłączyłam na chwilę dźwięk i nagle usłyszałam dom, ten dom. Usłyszałam... — wykonała ruch ręką.

— Puste mieszkania — powiedział Rick. Czasem sam je słyszał w nocy, kiedy powinien był spać. A przecież obecnie na wpół zamieszkaany budynek mieszkalny zajmował wysokie miejsce w statystyce zagęszczenia; tam gdzie przed wojną były kiedyś przedmieścia, można było znaleźć całkiem opuszczone budynki — tak w każdym razie opowiadali na mieście. Nie zweryfikował tej informacji; podobnie jak większości ludzi nie zależało mu na sprawdzeniu tego bezpośrednio.

— W chwili, gdy wyłączyłam w telewizorze fonię — powiedziała Iran — byłam w nastroju 382, właśnie go nastawiłam. Tak więc, choć odbierałam tę pustkę intelektualnie, nie czułam jej. Moją pierwszą reakcją było uczucie wdzięczności, że stać nas na programator nastroju Penfielda. Ale kiedy uświadomiłam sobie, jak niezdrowe jest to odczuwanie nieobecności życia, nie tylko w tym budynku, ale wszędzie i odreagowywanie tego... rozumiesz? Mam wrażenie, że nie. Ale przyjęto uważać to za oznakę choroby umysłowej, nazwano „brakiem właściwego oddziaływania”. Pozostałam więc wyłączoną fonię, usiadłam przy programatorze i zaczęłam eksperymentować. I wreszcie znalazłam, jak ustawić rozpacz. — Na jej smagłej, zuchwałej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, jakby udało się jej osiągnąć coś godnego uwagi. — Włączyłam więc ją do

mojego planu, dwa razy w miesiącu. Sądzę, że to sensowny okres, by odczuć beznadziejność wszystkiego, beznadziejność pozostawania tu, na Ziemi, podczas gdy wszyscy rozgarnięci ludzie wyemigrowali, nie uważasz?

— Ale przy takim nastroju — odparł Rick — możesz mieć skłonności do pozostawania w nim, niewyprogramowania się z niego. Taka rozpacz, obejmująca całkowitą realność, ma tendencję do samopowtarzania.

— Programuję automatyczne przestawienie na 481 trzy godziny później — odparła gładko. — Świadomość otwierających się przede mną rozlicznych możliwości, nowa nadzieja, że...

— Znam 481 — przerwał jej. Wielokrotnie nastawiał tę kombinację, miał do niej wielkie zaufanie. — Posłuchaj — rzekł siadając na łóżku. Ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie. — Nawet przy automatycznym wyłączeniu narażanie się na jakiegokolwiek depresje jest niebezpieczne. Zapomnij o tym, co zaplanowałaś, a ja zrobię to samo. Nastawimy oboje 104 i przeżyjemy to razem, potem pozostaniesz w tym nastroju, a ja przestawię swój na normalny, urzędowy sposób bycia. Później chciałbym wskoczyć na chwilę na dach i zobaczyć co z owcą, a wreszcie udam się do biura. Będę w ten sposób miał pewność, że tymczasem nie siedzisz tu myśląc nie wiadomo o czym i nie oglądając telewizji. — Puścił jej długie, smukłe palce, przeszedł przez całe rozległe mieszkanie do saloniku jeszcze pachnącego ledwo uchwytnie ostatnimi papierosami wypalonymi w nocy. Pochylił się, by włączyć telewizor.

Z sypialni dobiegł go głos Iran.

— Przed śniadaniem nie trawię telewizji.

— Nastaw 888 — powiedział Rick czekając aż aparat się nagrzej. — Pragnienie oglądania telewizji, bez względu na to, co w niej nadają.

— Nie mam obecnie ochoty nastawiać czegokolwiek — odparła Iran.

— No to nastaw 3.

— Nie mogę nastawić programu, który pobudzi w mojej korze mózgowej pragnienie nastawiania! Jeżeli nie chcę nastawiać, to przede wszystkim nie chcę nastawiać, a pragnienie nastawiania jest w tej chwili najbardziej obcym pragnieniem, jakie mogłabym sobie wyobrazić. Chcę po prostu siedzieć na łóżku i gapić się w podłogę. — Jej głos stał się ostry i ponury, jakby jej dusza powoli zastygała. Iran zamarła, zdawało się, że opadł na nią olbrzymi ciężar wyczuwalnej, wszechobecnej, cieniutkiej warstewki niemal całkowitego bezruchu.

Podkreślił dźwięk w telewizorze i głos Przyjacielskiego Bustera ryknął, wypełniając cały pokój:

— ...hej, hej, kochani. A teraz pora na krótką prognozę pogody. Satelita „Mangusta” informuje, że opad radioaktywny nasili się szczególnie koło południa, po czym będzie się zmniejszał. A więc ci z was, którzy odważą się wyjść...

Iran pojawiła się obok niego w swej długiej, wlokącej się po ziemi koszuli nocnej i wyłączyła telewizor.

— W porządku, poddaję się. Nastawię. Nastawię cokolwiek zechcesz. Może ekstacyzny orgazm? Czuję się tak paskudnie, że zniosę nawet to. Do diabła. W końcu, co to za różnica.

— Nastawię dla nas obojga — odparł Rick i zaprowadził ją z powrotem do sypialni. Tam zaprogramował na jej konsoli 549 — pełne zadowolenie uświadomienia niepospolitej wszechwiedzy męża. Na swojej konsoli nastawił twórczy i pełny odwagi stosunek do pracy, choć w gruncie rzeczy nie potrzebował tego. Była to jego wrodzona, zwykła cecha, nie wymagająca odwoływania się do sztucznego pobudzania mózgu.

Po zjedzonym w pośpiechu śniadaniu — stracił czas na dyskusję z żoną — wyjechał, ubrany do wyjścia (miał również na sobie Ołowiane Ochraniacze Mountibanka typu Ajax) na dach, gdzie na osłoniętym pastwisku „paśla się” jego elektryczna owca, wymyślna, skomputeryzowana maszyna do nabierania innych mieszkańców budynku.

Oczywiście, niektóre z ich zwierząt również niewątpliwie były elektronicznymi imitacjami. Rzecz jasna, nigdy nie wtykał nosa w te sprawy, podobnie jak oni, jego sąsiedzi, nie interesowali się prawdziwymi zasadami działania jego owcy. Takie zachowanie byłoby nad wyraz niegrzeczne. Pytanie „Czy pańska owca jest prawdziwa?” stanowiło większy nietakt niż dowiadywanie się, czy czyjeś zęby, włosy albo wewnętrzne organy są rzeczywiście autentyczne.

Na Ricka buchnęło, drażniąc powonienie, szare, pochmurne powietrze z wirującymi pyłkami radioaktywnego kurzu. Mimowolnie wciągnął nosem ten ślad śmierci. No nie, to zbyt silne określenie, uznał idąc w stronę fragmentu trawnika, który należał do niego wraz ze znajdującym się poniżej nazbyt wielkim mieszkaniem. Wpływ tego akurat dziedzictwa Ostatniej Wojny Światowej wyraźnie zmałał; ci, którzy nie zdołali przeżyć opadu radioaktywnego odeszli w niebyt przed wieloma laty, pył zaś — słabszy i oddziaływujący na silniejsze, uodpornione jednostki — niszczył jedynie umysły i wypaczał właściwości genetyczne. Mimo ołowianych ochraniaczy kurz niewątpliwie dzień po dniu osiadał na skórze, przedostając się do wnętrza Ricka, gromadząc niewielkie dawki plugawej nieczystości dopóty, dopóki nie uda mu się wyemigrować. Jak dotąd comiesięczne kontrole medyczne potwierdzały, że jest normalem — mężczyzną zdolnym do prokreacji w granicach określonych przez prawo. Jednakże w każdym miesiącu badania przeprowadzane przez lekarzy z Komendy Policji San Francisco mogły wykazać coś wręcz przeciwnego. Za sprawą wszechobecnego pyłu dotychczasowi normalnie wciąż przekształcali się w nowe odmiany specjali. Obiegowe hasło, które wciskały obecnie plakaty, reklamy telewizyjne i rządowe ulotki przysyłane pocztą, brzmiało: „Emigruj albo się degeneruj! Wybór należy do ciebie!” Zupełnie słusznie, pomyślał Rick, otwierając bramkę prowadzącą na jego małe pastwisko i zbliżając się do elektronicznej owcy. Ale ja nie mogę emigrować, rzekł do siebie. Ze względu na moją pracę.

Zawołał go właściciel przyległego pastwiska, sąsiad z budynku — Bill Barbour. Podobnie jak Rick był już ubrany do pracy, ale również zatrzymał się, by sprawdzić, jak się ma jego zwierzę.

— Mój koń — oznajmił rozpromieniony Barbour — jest w ciąży. — Wskazał wielkiego perszerona, który stał patrząc tępo w przestrzeń. — Co na to powiesz?

— Powiem, że wkrótce będziesz miał dwa konie — odparł Rick. Dotarł już do swojej owcy. Leżała, przeżuując, wpatrywała się weń badawczo, sprawdzając, czy nie przyniósł owsianych bułeczek. Miała wmontowany obwód owsotropiczny — widząc jakikolwiek wyrób z tego zboża, zerwałaby się i podbiegła do niego.

— Od czego zaszła twoja klacz? — zapytał Barboura. — Od wiatru?

— Kupiłem trochę plazmy inseminacyjnej najwyższej jakości, jaką można znaleźć w Kalifornii — poinformował go Barbour. — Dzięki moim prywatnym znajomościom w Stanowym Biurze Zootechnicznym. Pamiętasz, jak w ubiegłym tygodniu ich inspektor badał Judy? Bardzo chcą, żeby się ożrebiła, ona nie ma sobie równych. — Barbour poklepał pieszczotliwie kark klaczy, która pochyliła głowę w jego stronę.

— Czy myślałeś kiedykolwiek o sprzedaży konia? — zapytał Rick. Marzył o tym, by mieć konia albo, na dobrą sprawę, jakiegokolwiek zwierzę. Czuł, że posiadanie i oporządzanie imitacji w jakiś sposób stopniowo go demoralizowało. Mimo to jednak, ze społecznego punktu widzenia, nie posiadając autentyku tak właśnie powinien był postępować. Nie miał najmniejszego wyboru, musiał to ciągnąć dalej. Nawet gdyby jemu samemu na tym nie zależało, pozostawała jeszcze żona. Iran zaś zależało — i to bardzo.

— Sprzedaż konia — odparł Barbour — byłaby niemoralna.

— No to sprzedaj źrebię. Posiadanie dwóch zwierząt jest bardziej niemoralne niż nieposiadanie żadnego.

— O co ci chodzi? — spytał zaskoczony Barbour. — Wiele osób ma dwoje zwierząt, nawet troje, czworo, a Fred Washborne, właściciel zakładów przetwórstwa alg, gdzie pracuje mój brat, aż pięcioro. Czy nie czytałeś artykułu o jego kacze we wczorajszej „Chronicle”? Przypuszczają, że jest to najcięższy i największy okaz kaczki piżmowej na Zachodnim Wybrzeżu. — Jego oczy zaszklily się marzycielsko na samą myśl o posiadaniu czegoś takiego.

Rick przeszukał kieszenie płaszcza i wyciągnął wymięty, wielokrotnie przeglądany egzemplarz styczniowego dodatku do Katalogu Zwierząt i Ptaków Sidneya. Spojrzał do indeksu, znalazł źrebaki (patrz konie, potomstwo) i wkrótce miał już najczęściej spotykane krajowe notowania cen.

— Mogę kupić od Sidneya źrebaka perszerona za pięć tysięcy dolarów — oznajmił.

— Nie, nie możesz — odparł Barbour. — Przyjrzyj się jeszcze raz notowaniom, są podane kursywą. To znaczy, że nie mają żadnego na składzie, ale gdyby mieli, cena byłaby właśnie taka.

— Założmy — powiedział Rick — że przez dziesięć miesięcy będę ci płacić po pięćset dolarów. Dostaniesz pełną cenę katalogową.

— Zupełnie się nie orientujesz, Deckard, jak wygląda sprawa z końmi — rzekł Barbour z politowaniem w głosie. — To nie przypadek, że Sidney nie ma żadnego źrebaka nawet po cenach katalogowych. Są rzadkością, również i te stosunkowo gorszej jakości. — Przechylił się gestykulując przez ogrodzenie. — Mam Judy od trzech lat i przez cały ten czas nie widziałem kobyły tej rasy, która mogłaby się z nią równać. Aby ją zdobyć, musiałem lecieć do Kanady i przywieźć ją tu osobiście, by mieć pewność, że jej nie ukradną. Pokażesz się z takim zwierzęciem gdzieś w Colorado czy Wyoming i rozwalą ci głowę, żeby je zdobyć. Wiesz dlaczego? Bo już przed O.W.Ś. było ich zaledwie kilkaset...

— Ale — przerwał mu Rick — to, że masz dwa konie, a ja nie mam żadnego, podważa fundamenty teologicznej i moralnej struktury merceryzmu.

— Przecież masz swoją owcę. Do licha, możesz prowadzić Wspinaczkę w swym życiu osobistym i kiedy ujmujesz dwa uchwyty empatii, przystępujesz do tego uczciwie. Oczywiście, gdybyś nie miał tej swojej owcy, wtedy mógłbym dostrzec pewne logiczne przesłanki twojego stanowiska. Oczywiście, gdybym miał dwoje zwierząt, ty zaś nie miałbyś żadnego, w jakiś sposób przyczyniałbym się do odbierania ci możliwości prawdziwego zespolenia Mercerem. Ale każda rodzina w tym budynku — poczekaj; około pięćdziesięciu, jedna na trzy mieszkania, jeśli dobrze liczę — każde z nas ma jakieś zwierzę. Graveson trzyma tam swego kurczaka. — Wskazał na północ. — Oakes z żoną mają tego dużego, rudego psa, który szczeka nocami. — Zamyślił się. — Mam wrażenie, że Ed Smith trzyma w swoim mieszkaniu kota. W każdym razie tak utrzymuje, choć nikt go jeszcze nie widział. Możliwe, że tylko udaje.

Rick podszedł do swojej owcy i pochylił się nad nią. Grzebał w gęstej, białej wełnie — przynajmniej runo było prawdziwe — aż wreszcie znalazł to, czego szukał: ukryty mały pulpit sterowniczy. Czując na sobie wzrok Barboura otworzył pokrywę pulpitu, odsłaniając wnętrze.

— Widzisz? — rzekł do sąsiada. — Teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo chcę mieć twojego źrebaka?

— Biedaku — Barbour odezwał się po krótkiej przerwie. — Czy zawsze tak było?

— Nie — odparł Rick zamykając pokrywę. Wyprostował się, odwrócił i spojrzał sąsiadowi prosto w twarz. — Początkowo miałem prawdziwą owcę. Dał nam ją mój teść, bezpośrednio przed tym jak wyemigrował. A później, mniej więcej rok temu, pamiętasz, kiedy wziąłem ją do weterynarza — byłeś tu tego ranka. Przyszedłem i zobaczyłem, że leży na boku i nie może się podnieść.

— Postawiłeś ją na nogi — przypomniał sobie Barbour i skinął głową. — Tak, udało ci się ją podnieść, ale chodziła tylko minutę albo dwie i znowu upadła.

— Owce cierpią na dziwne choroby — powiedział Rick. — Albo ująłbym to inaczej. Owce zapadają na wiele chorób, ale objawy są zawsze takie same — owca nie może się podnieść i nie sposób ocenić, do jakiego stopnia jest to poważne, czy skręciła nogę, czy zdycha na tężec. Moja padła właśnie na tężec.

— Tężec? Tutaj? — zapytał Barbour. — Na dachu?

— Siano — wyjaśnił Rick. — Nie wyjąłem wtedy z beli wszystkich kawałków drutu. Jeden został i Groucho — tak ją nazywaliśmy — zadrapała się i w ten sposób zaraziła tężcem. Zabrałem ją do weterynarza i zdechła. Długo o tym myślałem, aż wreszcie poszedłem do jednego z tych sklepów, w których produkują sztuczne zwierzęta i pokazałem im fotografię Groucho. Zrobili mi to. — Wskazał leżące pseudozwierzę, które w dalszym ciągu przeżuwało uważnie, stale oczekując na jakikolwiek ślad owsa. — Wspaniała robota. I poświęcam jej równie wiele czasu, opiekuję się równie starannie, jak wtedy, kiedy była prawdziwa. Ale... — Wzruszył ramionami...

— To nie to samo — skończył za niego Barbour.

— Choć prawie. Przy obrządzaniu jej czuje się to samo. Trzeba wciąż bardzo na nią uważać, podobnie jak wtedy, kiedy była naprawdę żywa. W przeciwnym razie popsuje się i wszyscy w całym domu się zorientują. Musiałem sześć razy wozić ją do warsztatu. Przeważnie były to drobne usterki, ale gdyby ktoś je zobaczył — na przykład wtedy, gdy zerwała się, czy jakoś zaplątała taśma i owca beczała bez przerwy — mógłby zorientować się, że jest to mechaniczne urządzenie. Ciężarówka z warsztatu naprawczego — dodał — jest oczywiście oznakowana „Jakaś tam klinika dla zwierząt”. I kierowca ubrany jest jak weterynarz, cały na białe. — Spojrzał nagle na zegarek, przypominając sobie o czasie. — Muszę iść do pracy — rzekł do Barboura. — Zobaczymy się wieczorem.

Gdy ruszył w stronę swojego pojazdu, Barbour zawołał z pośpiechem w ślad za nim.

— Hej. Nic nie powiem żadnemu z tutejszych mieszkańców.

Rick zatrzymał się, by podziękować, ale w tej samej chwili poczuł, jak dotyka go jakaś cząstka owej rozpacz, o której mówiła Iran i rzekł:

— Bo ja wiem. Może nie ma to żadnego znaczenia.

— Ale przecież będą patrzeć na ciebie z góry. Nie wszyscy, ale niektórzy tak. Wiesz, co ludzie myślą, jeżeli ktoś nie opiekuje się zwierzęciem. Uważają to za niemoralne i nieempatyczne. Oczywiście, teoretycznie nie jest to przestępstwem, tak jak tuż po O.W.Ś., ale emocje pozostały te same.

— O Boże — rzekł Rick beznadziejnym tonem i machnął ręką. — Przecież chcę mieć zwierzę. Próbuję je kupić. Ale przy mojej pensji, przy zarobkach miejskiego urzędnika... — Gdyby, pomyślał, znowu mi się poszczęściło w pracy. Tak jak dwa lata temu, kiedy udało mi się w jednym miesiącu upolować cztery andki. Gdybym wtedy wiedział, pomyślał, że Groucho zdechnie... ale to było przed tężcem. Przed tym dwucalowym, ostrym jak igła kawałkiem drutu.

— Możesz kupić kota — zaproponował Barbour. — Koty są tanie, możesz sprawdzić w swoim Sidneyu.

— Nie chcę domowego zwierzęcia — odparł cicho Rick. — Chcę mieć to, co miałem poprzednio — duże zwierzę. Owcę albo jeżeli uda mi się zdobyć pieniądze, krowę czy wołu, albo to, co ty masz — konia. — Nagroda za usunięcie pięciu andków by wystarczyła, uzmysłowił sobie. Po tysiąc dolarów od sztuki, dodatkowy dochód poza pensją. A wtedy mógłbym dostać od kogoś to, czego pragnę. Nawet jeżeli w Zwierzętach i Ptakach Sidneya wydrukowali cenę kursywą. Pięć tysięcy dolarów — ale, pomyślał, najpierw te pięć andków musi się przedostać na Ziemię z którejś planety-kolonii. Nie mogę mieć na to wpływu, nie mogę ich zmusić, by tu przyleciały, a nawet gdybym mógł, są jeszcze inni łowcy, którzy na całym świecie współpracują z policją. Andki musiałyby specjalnie upodobać sobie Północną Kalifornię, a starszy łowca w tym rejonie, Dave Holden, musiałby akurat umrzeć albo się wycofać.

— Kup sobie świerszcza — zaproponował Barbour dowcipnie. — Albo mysz. Hej, za dwadzieścia pięć zielonych możesz sobie kupić dorosłą mysz.

— Twój koń może niespodziewanie zdechnąć — odparł Rick — tak jak zdechła moja Groucho. Kiedy wrócisz wieczorem z pracy do domu, możesz znaleźć swoją kobyłę leżącą na grzbiecie, z nogami sterczącymi w powietrzu jak chrabąszcz. Jak ten świerszcz, o którym mówiłeś.

— Przepraszam, jeżeli cię uraziłem — powiedział Barbour nerwowo.

Rick Deckard w milczeniu otworzył drzwiczki swego hovera — turbinowego pojazdu pionowego startu i lądowania. Nie miał już nic do powiedzenia sąsiadowi, myślał o swojej pracy, o czekającym go dniu.

Rozdział II

W gigantycznym, pustym, chylącym się ku ruinie budynku, gdzie mieszkały niegdyś tysiące ludzi, pojedynczy telewizor wydierał się w bezludnym pokoju.

Ta bezpańska ruina przed Ostateczną Wojną Światową była zadbanym i utrzymywanym w dobrym stanie blokiem mieszkalnym. Tu właśnie były przedmieścia San Francisco, położone od centrum w odległości krótkiego dojazdu szybką, tranzytową koleją jednoszynową. Cały półwysep jak drzewo pełne ptaków świergotał życiem, dźwięczał wyrażanymi opiniami, prośbami i zażaleniami, a teraz pieczołowici właściciele albo pomierali, albo wyemigrowali do kolonii, na inne planety. Najczęściej pomierali — ta wojna drogo kosztowała mimo buńczucznych prognoz Pentagonu i jego zadowolonego z siebie naukowego wasala, jakim była mieszcząca się niegdyś niedaleko stąd Rand Corporation. Korporacja, podobnie jak właściciele mieszkań, odeszła, najwidoczniej na dobre. Nikt nie odczuwał jej braku.

W dodatku nikt już dziś nie pamiętał ani jaki był powód tej wojny, ani kto ją wygrał. Pył radioaktywny, który zatruł większą część powierzchni planety, nie zrodził się w żadnym konkretnym kraju i nikt, nawet ówczesny przeciwnik, nie zaplanował takiego rozwoju wypadków. Dziwne, ale pierwsze wyginęły sowy. Wtedy wydawało się to nieomal śmieszne. Grube, puchate, białe ptaki leżały tu i tam, na podwórkach i ulicach. Kiedy jeszcze żyły, pojawiały się nie wcześniej niż po zmroku i przez to nie rzucały się w oczy. Morowe powietrze w średniowieczu dawało o sobie znać w podobny sposób — pod postacią wielkiej liczby martwych szczurów. Ta zaraza jednak przyszła z góry.

Po sowach nadeszła oczywiście kolej na inne ptaki, ale wtedy tajemnica została już wyjaśniona i zrozumiana. Jeszcze przed wojną rozpoczęto realizację skromniutkiego programu osiedleńczego, ale teraz, gdy słońce przestało świecić nad Ziemią, kolonizacja weszła w całkowicie nową fazę. W związku z tym również i sprzęt bojowy, jakim był Syntetyczny Żołnierz Wolności, został zmodyfikowany. Zdolny do działania na obcych planetach humanoidalny robot, czy też raczej organiczny android, stał się siłą napędową programu kolonizacyjnego. Zgodnie z oenzetowskim prawem, każdy emigrant au-

tomatycznie otrzymywał na własność androida wybranego typu i w 2019 roku różnorodność odmian przeszła wszelkie wyobrażenia, podobnie jak miało to miejsce z amerykańskimi samochodami w latach sześćdziesiątych XX wieku.

Stało się to ostatecznym bodźcem skłaniającym do emigracji — służący-android był marchewką, radioaktywny opad — batem. ONZ czyniła emigrację łatwą, pozostanie zaś trudnym, jeśli nie niemożliwym. Potencjalnie, wałęsanie się po Ziemi oznaczało możliwość raptownego znalezienia się w grupie osób biologicznie niepożądanych, stanowiących zagrożenie dla dziedziczności rasy. Obywatel, którego już raz zaszufłdkowano jako specjalną, nawet jeżeli zgodził się na sterylizację, wypadał z gry, w gruncie rzeczy przestawał być częścią rodzaju ludzkiego. Mimo to jednak tu i ówdzie ludzie odmawiali wyemigrowania; było to nawet dla tych, których dotyczyło bezpośrednio, czymś zadziwiająco irracjonalnym. Zgodnie z logiką każdy normalny powinien był już wyemigrować. Być może Ziemia, choć tak oszpecona, pozostawała czymś bliskim, czymś, czego należało się trzymać. Albo, być może ci, którzy nie chcieli emigrować, wyobrażali sobie, że warstwa pyłu w końcu ulegnie rozproszeniu. W każdym razie pozostały tysiące osób, które najczęściej zgromadziły się w miejskich regionach, tam, gdzie mogły widzieć się nawzajem, czerpać otuchę ze wspólnej obecności. Sprawiali oni wrażenie stosunkowo zdrowych umysłowo. A poza tym, jako wątpliwej wartości dodatek do nich, pewne szczególne jednostki pozostały na całkowicie opuszczonych przedmieściach.

John Isidore, który golił się w łazience, podczas gdy w salonie wydzierał się nań telewizor, był jednym z nich.

Po prostu zabrnął tutaj wkrótce po wojnie. W tych złych czasach nikt właściwie nie wiedział, co robi. Ludność, oderwana od swych zwykłych miejsc przez wojnę, włóczyła się, osiedlała na jakiś czas to w jednym regionie, to znów w drugim. W owych czasach opady radioaktywne były rzadkie i bardzo zmienne — w niektórych stanach nie występowały prawie wcale, inne otrzymywały dużą dawkę. Uchodźcy wędrowali, gdy przesuwali się opady pyłu. Półwysep na południe od San Francisco początkowo był czysty i wiele osób wykorzystało to i osiedliło się w tym miejscu. Gdy pojawił się pył, część umarła, część zaś odeszła. J.R. Isidore pozostał.

Odbiornik telewizyjny darł się:

— ...powtarza błogosławione czasy Południa przed Wojną Secesyjną! Czy to jako personalny służący, czy też niestrudzony pracownik rolny, wykonany specjalnie na zamówienie humanoidalny robot — zaprojektowany został wyłącznie dla TWYCH POTRZEB — DLA CIEBIE I TYLKO DLA CIEBIE! Otrzymasz go całkowicie bezpłatnie natychmiast po przyjeździe, zgodnie z obietnicą daną ci przed opuszczeniem Ziemi. Ten lojalny, niekłopotliwy towarzysz w największej, najbardziej zuchwałej przygodzie podjętej przez człowieka w jego najnowszej historii, zapewni... — I tak dalej, i tak dalej.

Ciekawe, czy spóźniłem się do pracy, zastanowił się Isidore podczas golenia. Nie miał zegarka i uzależniony był od sygnałów czasu nadawanych przez telewizję, dziś jednak był najwidoczniej Dzień Kosmicznych Perspektyw. W każdym razie telewizja twierdziła, że jest to piąta (a może szósta) rocznica założenia Nowej Ameryki, głównego osiedla Stanów Zjednoczonych na Marsie. Jego zaś niezbyt sprawny aparat odbierał tylko kanał, który został znacjonalizowany podczas wojny. Rząd w Waszyngtonie i jego program kolonizacyjny był jedynym sponsorem programu, którego Isidore zmuszony był słuchać.

— Godność, pani Klugman? — zapytał spiker.

— Tak — odparła pani Klugman, obecnie z Nowego Nowego Jorku. — To trudno wyjaśnić. Posiadanie służącego, na którym można polegać w naszych trudnych czasach... to mi dodaje otuchy.

— Czy dawniej, na Ziemi, pani Klugman, nie obawiała się pani również tego, że zostanie zaliczona, hmm... do specjali?

— Och, mój mąż i ja zamartwialiśmy się tym prawie na śmierć. Oczywiście, gdy tylko wyemigrowaliśmy, ten problem zniknął, całe szczęście, na zawsze.

Dla mnie również zniknął, pomyślał kwaśno John Isidore, i wcale nie musiałem w tym celu emigrować. Od ponad roku był już specjalem i to nie tylko ze względu na swe zniekształcone geny. Co gorsza, oblał test na minimalny poziom inteligencji i dzięki temu stał się osobnikiem zwanym potocznie kurzym mózdzkiem. Spadła nań pogarda wszystkich trzech planet, ale mimo to jakoś udało mu się przeżyć. Pracował prowadząc ciężarówkę w zakładzie naprawczym sztucznych zwierząt. Klinika Zwierząt Van Ness i jej posępny, niesamowity szef Hannibal Sloat uznali go za człowieka, on zaś potrafił to docenić. Mors certa, vita incerta, jak to od czasu do czasu oznajmiał pan Sloat. Isidore, choć słyszał ów zwrot wiele razy, miał jedynie mgliste pojęcie, co on znaczył. W końcu, gdyby kurzy mózdzek rozumiał po łacinie, przestałby być kurzym mózdzkiem. Kiedy panu Sloatowi zwrócono na to uwagę, przyznał rację. W końcu istniały kurze mózdzki nieporównywalnie głupsze niż Isidore, takie, które nie były w stanie wykonywać żadnej pracy i przebywały w zakładach zamkniętych zwanych osobliwie „Instytutami Specjalnych Umiejętności Zawodowych w Ameryce”. Słowo „specjalnych” jak zawsze musiało się tu w takiej czy innej formie znaleźć.

— ...mąż pani nie czuł się wystarczająco zabezpieczony — ciągnął dalej spiker — mimo że posiadał i stale nosił drogi i niewygodny ochraniacz antyradiacyjny, nieprawdaż, pani Klugman?

— Mój mąż — zaczęła pani Klugman, ale w tej właśnie chwili Isidore skończył się golić, wkroczył do salonu i wyłączył aparat.

Cisza. Wybuchła z framug drzwi i okien, ze ścian, poraziła straszliwą, całkowitą potęgą, jakby wytwarzaną przez olbrzymią siłownię. Unosiła się z podłogi pokrytej wy-

strzępioną szarą wykładziną. Wyrwała się z całkowicie lub częściowo popsutych akcesoriów kuchennych, martwych urządzeń, które nie działały nigdy, od kiedy mieszkała tu Isidore. Sączyła się z beużytecznej, stojącej lampy w salonie, przeplatając się z sobą samą sączącą się bezgłośnie z upstrzonego przez muchy sufitu. W istocie potrafiła wyłaniać się z każdego przedmiotu znajdującego się w zasięgu wzroku, jakby miała ona, cisza, zamiar wyrugować wszystkie namacalne przedmioty. Stąd też atakowała nie tylko jego uszy, ale i oczy; gdy stał tak przy martwym telewizorze, odczuwał ciszę jako coś widzialnego i, na swój sposób, żywego. Żywego! Już poprzednio często czuł, jak zbliża się surowo i groźnie; gdy zjawiała się, wybuchała bez najmniejszej subtelności, najwidoczniej niezdolna czekać. Cisza tego świata nie mogła pohamować swej zachłanności. Już ani chwili dłużej. Już nie wtedy, kiedy właściwie zwyciężyła.

Zastanawiał się wówczas, czy inni ludzie, którzy pozostali na Ziemi, odczuwają pustkę w ten sam sposób. Czy też jest to coś ściśle związanego z jego specyficzną, biologiczną tożsamością, fenomen wytworzony przez jego niesprawne zmysły? To ciekawe pytanie, pomyślał Isidore. Z kim jednak mógłby skonfrontować swoje spostrzeżenia? Mieszkał sam w tym rozkładającym się, ślepym gmachu o tysiącu nie zamieszkanym mieszkań, który podobnie jak wszystkie inne do niego podobne dzień po dniu stawał się coraz większą entropijną ruiną. Ostatecznie, wszystko w tym budynku połączy się, stanie się bezosobowym i identycznym, zwyczajnym kisielowatym chłamedem wypełniającym każde mieszkanie aż po sufit. A potem ten zaniedbany budynek również straci swój kształt, zostanie pogrzebany pod wszechobecnym pyłem. Do tej pory, rzecz jasna, on sam będzie już martwy, kolejne wydarzenie, które ciekawie jest przewidywać stojąc tu, w tym porażonym salonie sam na sam z pozbawioną płuc, wszystko przenikającą, władczą światło-ciszą.

Może lepiej byłoby włączyć telewizor. Ale reklamy adresowane do pozostałych normalni budziły w nim strach. Powiadały go o niezliczonych przejawach rozwoju w dziedzinach, w których on, specjal, był kimś niepożądanym. Był beużyteczny. Nie mógł, nawet gdyby chciał, wyemigrować. Po co więc tego słuchać? — zadał sobie pytanie, poirytowany. Do diabła z nimi i ich kolonizacją. Mam nadzieję, że tam też wybuchnie wojna, w końcu teoretycznie było to możliwe, i skończy się tam tak, jak na Ziemi. I każdy, kto wyemigrował, zostanie specjalem.

Dobra, pomyślał, trzeba się zabierać do roboty. Dotknął klamki, która otwierała przed nim drogę do nie oświetlonego korytarza i cofnął się, gdy dostrzegł pustkę pozostałej części budynku. Czaiła się tam oczekując na niego siła, która — jak wyczuwał — pracowicie przenikała do jego mieszkania. O Boże, pomyślał i zamknął drzwi. Nie był jeszcze przygotowany do wędrówki tymi dudniącymi metalicznie schodami na płaski dach, gdzie nie miał żadnego zwierzęcia. Echo jego wspinaczki, echo nicości. Czas, by ująć uchwyty, powiedział do siebie i przeszedł przez salon do czarnej skrzynki empatycznej.

Gdy włączył ją, z zasilacza wydobył się charakterystyczny, słaby zapach jonów ujemnych. Wciągnął je skwapliwie do płuc czując się już podniesiony na duchu. W tym czasie kineskop rozjarzył się słabą imitacją obrazu telewizyjnego, powstał kolaż utworzony z pozornie przypadkowych kolorów, linii, kształtów, które do chwili ujęcia uchwytów nic nie znaczyły. Nabrał więc głęboko powietrza w płuca, by się uspokoić i ujął oba uchwyty.

Obraz ustalił się. Zobaczył natychmiast znajomy krajobraz, brunatne, nagie wznieśnienie z kępkami wyschniętych na pieprz traw sterzących ukośnie w blade, pozbawione słońca niebo. Pojedyncza postać, mniej więcej o ludzkich kształtach, brnęła pod górę; stary człowiek odziany w wyszarzałą, bezkształtną szatę, okrycie tak nędzne, jakby urwane z wrogiej pustki nieba. Człowiek ten, Wilbur Mercer, posuwał się z trudem przed siebie i gdy John Isidore zaciskał uchwyty, czuł, jak stopniowo znika widok salonu, w którym stał. Zniszczone umeblowanie, ściany rozplynęły się i przestał je zupełnie dostrzegać. Zamiast tego, jak zawsze, znalazł się na brunatnym wzgórzu, pod bezbarwnym niebem. Jednocześnie przestał już widzieć wspinaczkę starego człowieka. Teraz jego własne stopy przesuwały się, szukały oparcia wśród znajomych, luźnych kamieni, czuł te same, dawne, sprawiające ból, nierówności pod stopami i znów poczuł drażniące opary w powietrzu — powietrzu nie Ziemi, lecz jakiegoś obcego, odległego, ale dzięki empatycznej skrzynce natychmiast dostępnego miejsca.

Przedostał się tam w sposób, który jak zawsze wprawiał go w zdumienie. Nastąpiło fizyczne zespolenie, podobnie jak umysłowa i duchowa identyfikacja z Wilburem Mercerem. Podobnie działo się ze wszystkimi, którzy trzymali uchwyty czy to tutaj na Ziemi, czy też na którejś ze skolonizowanych planet. Czuł ich, łączył w sobie bełkot ich myśli, słyszał w swym mózgu hałas ich wielu pojedynczych istnień. Oni i on dbali tylko o jedno — to zespolenie umysłów zwracało ich uwagę na wzgórze, na wchodzenie po zboczu, na konieczność wspinaczki. Krok za krokiem przekształcało się, tak wolno, że omal niepostrzegalnie. A było. Wyżej, pomyślał, podczas gdy kamienie grzechocząc toczyły się spod jego stóp. Dziś jestem wyżej niż wczoraj, a jutro... — on sam, zbiorcza postać Wilbura Mercera, spojrzała do góry, by popatrzeć na leżące przed nią podejście. Nie sposób dotrzeć do samego końca. Za daleko. Ale to nastąpi.

Cięnięty w niego kamień uderzył go w ramię. Poczuł ból. Zrobił półobrót i kolejny kamień przeleciał obok niego, chybiając. Uderzył w ziemię i ten odgłos zaskoczył Johna. Kto? — pomyślał, próbując dostrzec swego dręczyciela. Dawni przeciwnicy ukazałi się na granicy jego pola widzenia. Szli jego śladem na wzgórze i pozostaną aż do samego szczytu...

Przypomniał sobie wierzchołek, niespodziewanie płaski szczyt wzgórza. Tam kończyło się podejście i rozpoczynała następna część. Ile razy szedł tą drogą? Kolejne podejścia zamgliły się, przyszłość i przeszłość zamgliły się, to, czego doświadczył i cze-

go będzie doświadczał, połączyło się tak, że nie pozostało nic poza tą chwilą, w której stał i odpoczywał masując skaleczone kamieniem ramię. Boże, pomyślał zmęczony. Jakże może to być słuszne? Dlaczego jestem tu sam, torturowany przez coś, czego nawet nie mogę zobaczyć? W tej samej chwili rozlegający się w jego wnętrzu gwar wszystkich znajdujących się w zespoleniu rozproszył złudzenie samotności.

Czuliście to również, pomyślał. Tak, odparły głosy. Zostaliśmy uderzeni, w lewe ramię; boli jak diabli. W porządku, odparł. Lepiej będzie, gdy ruszymy dalej. Zaczął iść i wszyscy natychmiast przyłączyli się do niego.

Kiedys, przypomniał sobie, było inaczej. Zanim spadła klątwa; wcześniejszy, szczęśliwszy okres życia. Jego przybrani rodzice Frank i Cora Mercer znaleźli go płynącego w nadmuchanej, gumowej łódce ratunkowej koło wybrzeży Nowej Anglii... a może był to Meksyk, niedaleko portu Tampico? Teraz nie mógł przypomnieć sobie okoliczności. Dzieciństwo miał przyjemne, kochał wszystkie przejawy życia. Szczególnie zwierzęta i w rzeczy samej potrafił do pewnego czasu sprawić, że martwe zwierzęta stawały się takie jak poprzednio. Żył wśród królików i żuczków, obojętne gdzie to było, na Ziemi, czy na którejś planecie-kolonii, tego również nie mógł sobie teraz przypomnieć. Ale pamiętał morderców, bowiem aresztowali go jako szajbusa, specjalą większego od jakiegokolwiek innego. I przez to właśnie wszystko się zmieniło.

Miejscowe prawo zabraniało korzystania z umiejętności odwracania czasu, dzięki której martwi wracali do życia. Oznajmiono mu o tym, gdy miał szesnaście lat. Przez następny rok robił to w tajemnicy, w pozostałych jeszcze lasach, ale stara kobieta, której nigdy nie widział ani o niej nie słyszał, doniosła. Bez zgody rodziców oni — ci mordercy — zbombardowali wyjątkowy guzek, który wykształcił się w jego mózgu, zniszczyli go radioaktywnym kobaltem i ten czyn cisnął go w zupełnie inny świat, którego istnienia nigdy nie podejrzewał. Była to jama pełna zwłok i kości, z której latami starał się wydostać. Osioł i ropucha, zwłaszcza ropucha — istoty dla niego najważniejsze — zniknęły, stały się stworzeniami wymarłymi, pozostały po nich tylko rozkładające się szczątki — tu bezoka głowa, tam znów fragment łapy. Wreszcie ptak, który przyleciał tam, by umrzeć, powiedział mu, gdzie się znajduje. Zapadł się do świata grobów. Nie mógł się z niego wydobyć, dopóki rozrzucone wokół niego kości nie staną się znowu częścią żywych istot. Został przyłączony do procesu przemiany materii innych istnień i dopóki one nie powstaną, on także nie będzie w stanie powstać.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwała owa część cyklu. Ogólnie rzecz biorąc nic się nie działo, nie było więc też poczucia czasu. Wreszcie jednak kości pokryły się ciałem, wypełniły się puste oczodoły i nowe oczy przejrzały, a w tym samym czasie odtworzone dzioby i paszcze gdakały, szczekały i miauczały. Być może on tego dokonał, być może odrósł ów pozazmysłowy organ. Albo może nie miał w tym udziału; bardzo prawdopodobne, że mógł to być naturalny proces. W każdym razie nie pogrążał się już,

zaczął wchodzić do góry, razem z innymi. Już dawno temu stracił ich z oczu i obecnie stwierdził, że najwidoczniej wspina się sam. Ale oni byli tutaj. Wciąż mu towarzyszyli i, co dziwne, czuł ich wewnątrz siebie.

Isidore stał, trzymając dwa uchwyty i czuł, jak zawiera w swym jestestwie każdą żyjącą istotę, aż wreszcie niechętnie otworzył dłonie. Musiało się to, jak zawsze, skończyć, a w każdym razie ręka w miejscu, w które uderzył kamień, bolała i krwawiła.

Obejrzał ramię, a potem niepewnym krokiem przeszedł do łazienki, by obmyć ranę. Nie było to pierwsze obrażenie, jakie otrzymał w czasie zespozeń z Mercerem i zapewne nie było ostatnie. Ludzie, szczególnie ci bardziej leciwi, umierali, zwłaszcza później, na szczycie wzgórza, gdzie męczarnie zaczynały być prowadzone na ostro. Ciekawe, czy zdołam znowu przejść przez tę część, rzekł do siebie wycierając skaleczenie. Możliwość zatrzymania pracy serca. Lepiej by było, pomyślał, gdybym mieszkał w mieście, gdzie każdy z takich budynków ma w pogotowiu lekarza z aparaturą do elektrycznego pobudzenia serca. Tutaj, w samotności, to zbyt ryzykowne.

Wiedział jednak, że musi podjąć ryzyko. Tak jak zawsze czynił to poprzednio. Jak cyniła to większość osób, nawet słabi fizycznie staruszkowie.

Osuszył kleenexem zranione ramię.

I usłyszał stłumiony i odległy telewizor.

W tym domu jest ktoś poza mną, pomyślał ogarnięty dzikim popłochem, nie mogąc w to uwierzyć. To nie mój telewizor, mój jest wyłączony i czuję drgania podłogi. To jest niżej, na zupełnie innym piętrze!

Już nie jestem tu zupełnie sam, uświadomił sobie. Wprowadził się jeszcze jeden lokator, zajął któreś z opuszczonych mieszkań i to tak niedaleko, że mogę go słyszeć. To musi być poziom drugi albo trzeci, na pewno nie niżej. Trzeba sprawdzić, myślał gorączkowo. Jak się postępuje, gdy wprowadza się nowy lokator? Zachodzi się do niego i coś pożyczka, czyż nie tak? Nie mógł sobie przypomnieć. Dotąd nic podobnego mu się nie zdarzyło, czy tu, czy też gdziekolwiek indziej. Ludzie wyprowadzali się, emigrowali, ale nikt nigdy się nie sprowadzał. Muszę im coś zanieść, postanowił. Kubek wody albo raczej mleka; tak mleka, albo mąki, albo może jajko — a właściwie, ich namiastki.

Zajrzał do lodówki, której sprężarka od dawna już nie działała i znalazł podejrzaną kostkę margaryny. Trzymając ją w ręku ruszył w podnieceniu, z łomocącym sercem, na niższy poziom. Muszę być spokojny, uzmysłowił sobie. Nie mogę dać mu poznać, że jestem kurzym mózdzkiem. Jeżeli zorientuje się, że jestem kurzym mózdzkiem, nie będzie chciał ze mną rozmawiać, zawsze się tak dzieje z jakiegoś powodu. Ciekaw jestem dlaczego?

Pobiegł wzdłuż korytarza.

Rozdział III

Po drodze do pracy Rick Deckard, podobnie jak Bóg wie, ilu innych ludzi, przez chwilę wałęsał się przed jednym z licznych, ale największym sklepem ze zwierzętami w San Francisco. Struś, siedzący w klatce z przezroczystego plastyku, umieszczonej w środku okna wystawowego, które zajmowało całą długość budynku, odpowiedział mu spojrzeniem na spojrzenie. Według tabliczki informacyjnej ptaka dostarczono niedawno z zoo w Cleveland. Był jedynym strusiem na Zachodnim Wybrzeżu. Rick przez chwilę gapił się na niego, a potem przez parę minut spoglądał posępnie na wywieszkę z ceną. Wreszcie ruszył w stronę Pałacu Sprawiedliwości na Lombard Street. Kiedy dotarł na miejsce, okazało się, że spóźnił się piętnaście minut.

Gdy otworzył drzwi do gabinetu, jego przełożony, inspektor policji Harry Bryant, rudzielec o odstających uszach, niechlujnie ubrany, ale spostrzegawczy i wiedzący prawie wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie, zawołał do niego z korytarza:

— Spotkajmy się o dziewiątej trzydzieści w biurze Dave’a Holdena. — Mówiąc to przerzucał plik żółtawych arkuszy przebitki, zadrukowanych na maszynie i umocowanych na podkładce. — Holden — ciągnął dalej — leży w szpitalu Mount Zion z laserowym postrzałem grzbietu. Spędzi tam przynajmniej miesiąc. Do chwili, kiedy zdołają doprowadzić do przyjęcia się przeszczepu nowych plastorganicznych fragmentów pleców.

— Co się stało? — zapytał Rick, czując zimny dreszcz przebiegający mu po krzyżu. Główny łowca wydziału wczoraj był zupełnie zdrow. Pod koniec dnia jak zwykle wystartował swoją maszyną do mieszkania w gęsto zamieszkaney, ekskluzywnej dzielnicy Nob Hill.

Bryant burknął coś przez ramię o spotkaniu w biurze Dave’a o dziewiątej trzydzieści i odszedł, pozostawiając Ricka na korytarzu.

Wchodząc do gabinetu, Rick usłyszał za plecami głos swojej sekretarki, Ann Marsten:

— Panie Deckard, czy pan wie, co stało się Holdenowi? Postrzelony.

Podążyła za nim do dusznego, budzącego uczucie klaustrofobii pokoju i włączyła aparaturę filtrującą powietrze.

— Tak — odparł z roztargnieniem.

— To musiał być jeden z tych nowych supersprytnych andków, wypuszczanych przez Korporację Rosena — oznajmiła panna Marsten. — Czytał pan ich broszurę i specyfikację? Zastosowany przez nich moduł mózgowy Nexus-6 jest w stanie dokonać wyboru spośród dwóch trylionów składowych albo dziesięciu milionów odrębnych połączeń nerwowych. — Zaczęła mówić ciszej. — Nie zdążył pan na wideołącze, które odbyło się dzisiaj rano. Powiedziała mi o nim panna Wild. Połączenie z centralą, dokładnie o dziewiątej.

— Łącze z zewnątrz? — spytał Rick.

— Nie, od nas — odparła panna Marsten. — Pan Bryant dzwonił do WOP... do Rosji. Pytał, czy będą chcieli wystąpić z oficjalną, pisemną skargą przeciwko wschodniej delegaturze Korporacji Rosena.

— Harry ciągle chce doprowadzić do wycofania z rynku modułu Nexus-6? — Wcale nie był tym zaskoczony. Od momentu, kiedy w kwietniu opublikowano tabele osiągnięć i dane techniczne, większość policyjnych agend, które zajmowały się ściganiem zbiegłych andków, zaczęła protestować. — Sowiecka policja nie ma wcale większych możliwości działania niż my. Z prawnego punktu widzenia producenci modułu mózgowego Nexus-6 działają na podstawie przepisów kolonialnych, bo ich macierzyste, automatyczne zakłady produkcyjne znajdują się na Marsie. Lepiej będzie, jeżeli po prostu przyjmujemy do wiadomości istnienie nowego modułu mózgowego — stwierdził. — Zawsze miało to ten sam przebieg, za każdym razem, kiedy wprowadzano nowy moduł. Pamiętam, jak protestowano, kiedy ludzie Sudermana rzucili w 1989 na rynek swój stary T-14. Każda organizacja policyjna na półkuli zachodniej twierdziła, że nie istnieje test, dzięki któremu można będzie je wykryć w czasie próby nielegalnego wjazdu. I prawdę mówiąc, przez jakiś czas policja miała rację. Jak sobie przypominał, jakoś zdołało się przedostać ponad pięćdziesiąt androidów T-14 i w niektórych przypadkach nie zostały wykryte przez cały rok. Potem jednak w działającym w Związku Radzieckim Instytucie Pawłowa został opracowany Empatyczny Test Voigta. I jeśli nie mylił się, żaden android T-14 nie sprostował tej właśnie próbie.

— Chce pan wiedzieć, co mu odpowiedziała rosyjska policja? — zapytała panna Marsten. — To również wiem. — Jej piegowata, okrągła jak pomarańcza twarz promieniała.

— Dowiem się od Harry'ego Bryanta — odparł Rick. Był poirytowany. Plotki biurowe zawsze go drażniły, bo zawarte w nich wiadomości okazywały się lepsze od prawdziwych. Usadowił się za biurkiem i tak długo grzebał w szufladzie, aż panna Marsten zrozumiała aluzję i wyszła.

Wyciągnął z szuflady starą, pozaginaną, brązową kopertę. Oparł się wygodnie, odchylając imponujące oparcie fotela i przerzucał zawartość koperty do chwili, kiedy natknął się na to, czego szukał — obszerny zbiór danych Nexusa-6.

Krótką lektura potwierdziła informacje panny Marsten. Nexus-6 posiadał dwa tryliony składowych oraz możliwość dokonywania wyboru w zakresie dziesięciu milionów możliwych kombinacji działalności umysłowej. Android wyposażony w taką właśnie strukturę mózgu w ciągu 0,45 sekundy mógł zastosować jedną z czternastu podstawowych postaw reagowania. Żaden z testów na inteligencję nie był w stanie wykryć takiego andka. Z drugiej jednak strony od wielu już lat, od czasów prymitywnych, topornych wersji z lat siedemdziesiątych, testy na inteligencję nie doprowadziły do przyłapania żadnego andka.

Androidy typu Nexus-6, uświadomił sobie Rick, pod względem inteligencji przewyższały wiele klas osobników ludzkich. Innymi słowy, androidy wyposażone w nowy moduł mózgowy Nexus-6, z pragmatycznego i pozbawionego sentymentów punktu widzenia, ewolucyjnie przegoniły większą ilościowo, ale gorszą jakościowo, część ludzkości. Na dobre lub złe. Sługa w niektórych przypadkach bywał sprytniejszy od pana. Ale pojawiły się nowe skale porównawcze, takie jak na przykład Empatyczny Test Voigta-Kampffa i pomogły w ustalaniu kryteriów oceny. Żaden android, bez względu na swój potencjał intelektualny, nie mógł niczego zrozumieć z zespolenia, które zachodziło systematycznie w kręgach wyznawców merceryzmu. A przecież było to zjawisko, którego zarówno on, jak każdy, nawet niedorozwinięty kurzy mózdzek, doświadczał bez najmniejszych kłopotów.

Zastanawiał się, podobnie jak czyniło to od czasu do czasu wiele innych osób, dlaczego poddawane pomiarom empatycznym androidy okazują się całkowicie bezradne. Najwyraźniej empatia istniała jedynie w ludzkiej społeczności, podczas gdy inteligencję można było odnaleźć we wszystkich biologicznych gromadach i rzedach, nie wyłączając pajęczaków. Przede wszystkim umiejętności empatyczne wymagały posiadania w pełni sprawnego instynktu grupowego. Dla pojedynczego organizmu, takiego jak pająk, były one zupełnie zbędne i w gruncie rzeczy przeszkadzałyby mu przeżyć. Niewątpliwie dzięki nim zdawałby sobie sprawę, że jego ofiara pragnie żyć. W związku z tym wszystkie drapieżniki, nawet wysoko rozwinięte ssaki, takie jak na przykład kotowate, wyginęłyby z głodu.

Empatia, doszedł kiedyś do wniosku, musiałaby ograniczać się do stworzeń trawożernych albo przynajmniej wszystkożernych, które byłyby w stanie powstrzymać się od spożywania mięsa. Przecież dar empatii zacierał granice między napastnikiem i ofiarą, między zwycięzcą i pokonanym. Podobnie jak w czasie zespolenia z Mercerem, kiedy wszyscy razem wchodzili w górę, a kiedy cykl kończył się, razem wpadali w jamę świata grobów. Przypominało to swego rodzaju osobliwe, obosieczne biologiczne ubezpie-

czeniu. Gdy bowiem jakaś istota przeżywała radość, wtedy egzystencji wszystkich innych zawierały jakiś okrucuch radości. Jednak jeżeli jakieś jestestwo cierpiało, cała zbiorowość nie była w stanie pozostać zupełnie obojętna na jego ból. Zwierzę stadne, takie jak człowiek, mogło dzięki empatii podwyższyć swój współczynnik przeżycia. Sowy lub kobry uległyby zniszczeniu.

Najwidoczniej humanoidalny robot był samotnym drapieżnikiem.

Rick lubił myśleć o nich właśnie w ten sposób. Dzięki temu jego praca stawała się łatwiejsza do zniesienia. Usuwając — to znaczy zabijając — andka, nie naruszał sformułowanych przez Mercera zasad życia. Będziesz zabijał jedynie zabójców — oznajmił im Mercer w roku, w którym skrzynki empatyczne pojawiły się na Ziemi. I w miarę jak merceryzm przekształcał się w normalną teologię, niepostrzeżenie, zakulisowo rozwijało się również pojęcie Zabójców. W merceryzmie Zło Absolutne szarpie wytarty płaszcz mężczyzny, który potykając się idzie pod górę, ale nigdy do końca nie było jasne, kogo lub co reprezentuje owa kwintesencja zła. Mercerysta czuł zło, nie rozumiejąc go. Inny mi słowy, mercerysta mógł dostrzec ledwo zauważalną obecność Zabójców tam, gdzie uznał to za słuszne. Dla Ricka Deckarda zbiegły humanoidalny robot, który zabił swojego pana, i został wyposażony w inteligencję stawiającą go intelektualnie wyżej od wielu istot ludzkich, nie dbał o zwierzęta, nie posiadał umiejętności odczuwania empatycznej radości z sukcesów innej formy życia ani smutku z jej niepowodzeń, uosabiał Zabójców.

Myśląc o zwierzętach, przypomniał sobie strusia, widzianego w sklepie ze zwierzętami. Na jakiś czas odsunął od siebie dane modułu mózgowego Nexus-6, wziął szczyptę tabaki „Mrs Siddon’s 3 & 4” i pograżył się w myślach. Potem spojrzął na zegarek i zobaczył, że ma jeszcze czas. Pochylił się nad stojącym na biurku wideofonem i polecił panie Marsten:

— Proszę mnie połączyć ze sklepem zoologicznym „Szczęśliwy Pies” na Sutter Street.

— Tak jest, proszę pana — odparła panna Marsten i otworzyła swoją książkę telefoniczną.

Przecież nie mogą chcieć za strusia aż tyle, pomyślał Rick. Spodziewają się, że klient potarguje się jak za dawnych czasów przy kupnie samochodów.

— Sklep zoologiczny „Szczęśliwy Pies” — rozległ się głos mężczyzny i na ekranie wideofonu Ricka pojawiła się małeńka, uśmiechnięta twarz. W tle słychać było hałasujące zwierzęta.

— Chodzi mi o strusia, którego trzymacie państwo w oknie wystawowym — powiedział Rick, bawiąc się stojącą na biurku ceramiczną popielniczką. — Jaką zaliczkę musiałbym za niego wpłacić?

— Zobaczmy — rzekł sprzedawca sięgając po pióro i blok papieru. — Jedna trzecia płatna przy zakupie. — Zastanowił się przez chwilę. — Przepraszam, ale czy będzie pan jednocześnie coś nam sprzedawał?

— Jeszcze nie podjąłem decyzji — odparł ostrożnie Rick.

— Powiedzmy, że sprzedajemy na podstawie trzydziestomiesięcznego kontraktu — powiedział ekspedient. — Z bardzo niskim oprocentowaniem w wysokości sześciu procentmiesięcznie. W rezultacie pańska miesięczna płatność po rozsądnym potrąceniu...

— Musicie państwo obniżyć żadaną cenę — oznajmił Rick. — Opuśćcie dwa tysiące, a nie będę niczego przynosił do sprzedaży. Przyjdę z gotówką. — Dave Holden, pomyślał Rick, jest wyłączony z akcji. To mogłoby wiele znaczyć... Wszystko zależy od tego, ile w ciągu najbliższego miesiąca pojawi się przydziałów.

— Proszę pana — wyjaśnił ekspedient. — Nasza cena wyjściowa jest już i tak o tysiąc dolarów poniżej kosztów własnych. Proszę sprawdzić w swoim Sidneyu, poczekam. Chciałbym, aby sam pan przyznał, że żądamy uczciwej ceny.

Chryste, pomyślał Rick. Trzymają się twardo. Jednak, po prostu dla sportu, wyciągnął pogniecione Sydneya z kieszeni marynarki, przekartkował do pozycji „Struś przecinek samiec/samica, stary/młody, chory/zdrowy, pierwszy właściciel/kolejny właściciel” i sprawdził ceny.

— Pierwszy właściciel, samiec, młody, zdrowy — poinformował go sprzedawca. — Trzydzieści tysięcy dolarów. On również miał przed sobą otwartego Sidneya. — Liczymy dokładnie tysiąc poniżej kosztów. A więc, pańska zaliczka...

— Przemyślę to — odparł Rick — i zadzwonię do państwa.

Zaczął odkładać słuchawkę.

— Jak się pan nazywa, sir? — spytał czujnie ekspedient.

— Frank Merriwell — rzekł Rick.

— Mogę prosić o adres, panie Merriwell? To na wypadek, gdyby zadzwonił pan w czasie mojej nieobecności.

Wymyślił adres i odłożył słuchawkę wideofonu na widelki. Pieniądze, pomyślał. Podniósł znowu mikrotelefon i rzucił ostro. — Proszę wyjście na miasto, panno Marsten. I niech pani nie słucha rozmowy, jest poufna. — Spojrzał na nią ostro.

— Tak jest, proszę pana — powiedziała panna Marsten. — Proszę wybrać numer. — Potem wyłączyła się z obwodu, pozostawiając go sam na sam z zewnętrznym światem.

Wybrał z pamięci numer sklepu z pseudozwierzętami, w którym kupił swoją sztuczną owcę. Na ekranie pojawił się mężczyzna ubrany jak weterynarz.

— Doktor McRae — przedstawił się.

— Tu mówi Deckard. Ile kosztuje elektryczny struś?

— Och, sądzę, że powinno to pana kosztować mniej niż osiemset dolarów. Kiedy chciałby pan dostawę? Musielibyśmy go dla pana zrobić. Nie ma obecnie szczególnego popytu na...

— Porozmawiam z panem później — przerwał mu Rick. Spojrzał na zegarek i przekonał się, że jest już dziewiąta trzydzieści. — Do widzenia.

Szybko rozłączył się, wstał i wkrótce stał już przed drzwiami gabinetu inspektora Bryanta. Minał jego recepcjonistkę, przystojną, o długich do pasa, zaplecionych w warokocze srebrzystych włosach, potem sekretarkę, starożytnego potwora z jurajskiego bagna, chytrego i znieruchomiałego niby jakaś archaiczna zjawa zastygła w świetle grobów. Żadna z kobiet nie odezwała się do niego, ani on do nich. Otworzył wewnętrzne drzwi i skinął głową przełożonemu, który rozmawiał właśnie przez telefon. Usiadł, wyciągnął przyniesione dane Nexusa-6 i kiedy inspektor Bryant prowadził rozmowę, przeczytał je ponownie.

Czuł przygnębienie. A przecież, logicznie rzecz biorąc, nagłe wyłączenie Davego z obiegu powinno przynieść mu choć trochę zadowolenia.

Rozdział IV

Zapewne martwię się, doszedł do wniosku Rick Deckard, że to, co zdarzyło się Dave-
mu, może się zdarzyć i mnie. Andek, który był na tyle sprytny, że trafił go z lasera, pew-
nie zdoła uporać się również ze mną. Ale jednak nie był to ten powód.

— Widzę, że przyniosłeś ściągawkę na temat nowego modułu mózgowego — stwier-
dził inspektor Bryant odkładając słuchawkę wideofonu.

— Tak — odparł Rick. — Słyszałem biurowe plotki na ten temat. Z iloma andkami
mamy do czynienia i jak wielu Davemu udało się załatwić?

— Zaczęliśmy z ośmioma — rzekł Bryant spoglądając do notatek. — Usunął dwa
pierwsze.

— A pozostałe sześć jest tu, w Północnej Kalifornii?

— Mamy takie informacje. Dave też tak przypuszcza. To właśnie z nim rozmawiałem.
Mam notatki, leżały w jego biurku. Powiada, że jest w nich wszystko, co wie. — Bryant
postukał palcem w plik papierów. Jak na razie nie robił wrażenia, że chce przekazać je
Rickowi, ale z jakiegoś powodu sam je kartkował, marszcząc brwi i co chwila oblizu-
jąc wargi.

— Nie mam obecnie niczego w harmonogramie — stwierdził Rick. — Jestem gotów
przejść sprawę Davego.

— W czasie testowania podejrzanych osobników Dave stosował Zmodyfikowaną
Skalę Vogta-Kampffa. Zdajesz sobie sprawę, w każdym razie powinieneś zdawać sobie
sprawę, że ten test nie dotyczy konkretnie nowego modułu mózgowego. Żaden test ich
nie dotyczy. Ale skala Voigta zmodyfikowana trzy lata temu przez Kampffa jest wszyst-
kim, czym dysponujemy. — Przerwał, namyślając się przez chwilę. — Dave uważał ją za
dokładną. Może miał rację. Zanim jednak zabierzesz się za tę szóstkę, chciałbym ci coś
zapropionować. — Znowu postukał palcem w plik notatek. — Leć do Seattle i pogadaj
z ludźmi z Korporacji Rosena. Każ im zademonstrować reprezentatywne próbki typów,
w których stosuje się nowy moduł Nexus-6.

— I przeprowadzę na nich test Voigta-Kampffa — uzupełnił Rick.

— To bardzo prosto brzmi — powiedział Bryant właściwie do siebie.

— Słucham?

— Myślę, że w czasie twojego przelotu sam porozmawiam z Korporacją Rosena — oznajmił Bryant i spojrzął na Ricka. Obgryzał przez chwilę paznokieć i w końcu podjął decyzję. — Mam zamiar omówić z nimi możliwość włączenia do grupy, obok nowych androidów, również kilku ludzi. Ty jednak nie zostaniesz poinformowany, który to. Wyboru dokonam osobiście, uzgadniając go z producentem. Zanim dojedziesz na miejsce, powinni już wszystko przygotować. — Oстрым ruchem wycelował palec w stronę Ricka. Twarz miał surową. — Po raz pierwszy będziesz pełnił obowiązki starszego łowcy. Dave wie bardzo dużo, ma za sobą wiele lat doświadczenia.

— Ja również — odparł z napięciem w głosie Rick.

— Wypełniałeś zadania, które przechodziły do ciebie z rozkładu zajęć Dave'a. Zawsze podejmował decyzje, które prace należy ci przekazać, a które nie. Teraz jednak masz do czynienia z sześcioma, które miał zamiar usunąć osobiście. A jeden z nich zdołał go dopaść pierwszy. Ten. — Bryant przekręcił leżące przed nim notatki tak, że Rick był w stanie do nich zajrzeć. — Max Polokov — oznajmił. — Pod takim nazwiskiem w każdym razie występuje. Zakładamy oczywiście, że Dave ma rację. Wszystko, cała lista opiera się na założeniach. A jednak Zmodyfikowana Skala Voigta-Kampffa została zastosowana jedynie do pierwszych trzech. Dwóch, których Dave usunął, a potem do Polokova. Andek trafił go z lasera w chwili, gdy Dave przeprowadzał na nim test.

— Co dowodzi, że Dave miał rację — stwierdził Rick. — W przeciwnym razie nie dokonywano by na niego zamachu. Polokov nie miałby motywu.

— Ruszaj do Seattle — polecił Bryant. — Nie mów im nic jako pierwszy. Załatwię to sam. Posłuchaj. — Wstał i popatrzył poważnie na Ricka. — Gdy będziesz tam przeprowadzał test Voigta-Kampffa i jeden z ludzi nie zdoła go przejść...

— To niemożliwe — oznajmił Rick.

— Pewnego dnia, kilka tygodni temu, rozmawiałem z Davem dokładnie o tym samym. Otrzymałem notatkę z radzieckiej policji, samej WOP. Rozkolportowano ją na całej Ziemi i w koloniach. Grupa psychiatrów z Leningradu złożyła WOP następującą propozycję. Chcą zastosować najnowszy i najbardziej precyzyjny analityczny instrument badania profilu osobowości, używany w czasie identyfikacji androidów — innymi słowy skalę Voigta-Kampffa — do przetestowania starannie dobranej grupy schizoidalnych i schizofrenicznych pacjentów-ludzi. Szczególnie tych, którzy zdradzają objawy tak zwanego „spłaszczenia rezultatu”. Słyszałeś o tym?

— To właśnie określa skala — odparł Rick.

— W takim razie rozumiesz, czego się obawiali.

— Ten problem istniał zawsze. Od czasu, kiedy po raz pierwszy zetknęliśmy się z androidami podszywanymi się pod ludzi. Jednomyslną opinię policji poznał pan z napi-

sanego osiem lat temu artykułu Luriego Kampffa pod tytułem „Blokady personifikacyjne u niezdegenerowanego schizofrenika”. Kampff porównał zmniejszone zdolności empatyczne zidentyfikowane u chorych umysłowo ludzi i powierzchownie podobne, ale zasadniczo...

— Leningradzcy psychiatrzy uważają — przerwał mu brutalnie Bryant — że nie wszyscy ludzie zdołaliby przejść przez test Voigta-Kampffa. Gdybyś przebadał ich w czasie swojej pracy policyjnej, uznałbyś ich za humanoidalne roboty. Usunąłbyś ich, ale byłaby to pomyłka.

Zamilkł, czekając na odpowiedź Ricka.

— No tak, ale ci osobnicy — rzekł Rick — są...

— W zakładach zamkniętych — przytaknął Bryant. — Nie potrafią funkcjonować w otaczającym świecie. Z całą pewnością nie uniknęliby rozpoznania jako zaawansowani psychotycy — chyba że ich załamanie nastąpiło niedawno, gwałtownie i nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby ów fakt spoznać. Ale hipotetycznie jest to bardzo prawdopodobne!

— Szansa jedna na milion — odparł Rick. Domyślił się jednak, do czego inspektor zmierza.

— Dave’a niepokoiło właśnie pojawienie się nowego, zmodyfikowanego typu Nexus-6. Jak wiesz, Korporacja Rosena zapewniła nas, że Nexusa-6 można zidentyfikować standardowym testem określającym. Uwierzyliśmy im na słowo. A teraz jesteśmy zmuszeni, choć było to do przewidzenia, ustalić wszystko na własną rękę. Właśnie to będziesz robił w Seattle. Doskonale zdajesz sobie sprawę, że mogą cię spotkać rozmaite niepowodzenia, prawda? Jeżeli nie zdołasz wyodrębnić wszystkich humanoidalnych robotów, będzie to oznaczało, że nie mamy niezawodnego narzędzia analitycznego i być może nigdy nie zdołamy odnaleźć tych, którzy nam uciekli. Jeżeli na podstawie testów uznasz człowieka za androida... — Bryant spojrział na niego lodowatym wzrokiem. — Będzie to niezwykle niezręczna sytuacja, choć nikt, a na pewno nikt z ludzi Rosena, nie poda tego do wiadomości. W gruncie rzeczy potrafilibyśmy ukrywać ten fakt w nieskończoność, choć oczywiście będziemy musieli poinformować WOP, a oni z kolei powiadomią Leningrad. W końcu wszystko wyjdzie na jaw, ale do tej pory może zdołamy opracować lepszy test. — Podniósł słuchawkę. — Chcesz ruszać? Weź maszynę wydziału i zatankuj z naszego dystrybutora.

Rick wstał i powiedział:

— Czy mógłbym wziąć ze sobą notatki Dave’a? Chciałbym je przeczytać po drodze.

— Poczekajmy, aż wypróbujesz swój test w Seattle — oznajmił Bryant. Ton jego głosu był zaskakująco zdecydowany i Rick Deckard to zauważył.

* * *

Kiedy wylądował hoverem Wydziału Policji na dachu budynku Korporacji Rosena w Seattle, dostrzegł czekającą na niego młodą kobietę. Była szczupła i czarnowłosa, miała nowe, duże, filtrujące kurz okulary. Podeszła do jego maszyny trzymając ręce głęboko wepchnięte w kieszenie długiego płaszcza w jaskrawe pasy. Na jej drobnej, o wyraźnych rysach twarzy malował się wyraz posępnego niesmaku.

— O co chodzi? — spytał Rick wychodząc z pojazdu.

— Och, nie wiem — odpowiedziała wymijającym tonem dziewczyna. — Pewnie to przez ton, jakim rozmawiano z nami przez wideofon. Nieważne. — Wyciągnęła gwałtownie rękę, odruchowo ujął ją. — Jestem Rachel Rosen. Sądzę, że pan nazywa się Deckard.

— To nie był mój pomysł — oznajmił.

— Tak, inspektor Bryant nam powiedział. Ale jest pan oficjalnym przedstawicielem Wydziału Policji z San Francisco, a to oznacza kwestionowanie faktu, że nasz produkt ma na celu jedynie przynieść dobro społeczeństwu. — Spojrzała na niego spod długich, zapewne sztucznych rzęs.

— Humanoidalny robot jest taką samą maszyną jak każda inna — stwierdził Rick. — Jego funkcja w bardzo krótkim czasie może oscylować między dobrodziejstwem a zagrożeniem. W przypadku dobrodziejstwa nie jest to nasz problem.

— Ale kiedy występuje zagrożenie, wtedy pan wkracza — rzekła Rachel Rosen. — Czy to prawda, panie Deckard, że jest pan łowcą?

Wzruszył ramionami i niechętnie kiwnął głową.

— Uznanie androida za nieożywiony przedmiot przychodzi panu bez trudu — dodała dziewczyna. — W związku z tym może go pan, jak się to określa, „usunąć”.

— Czy wybraliście dla mnie grupę doświadczalną? — zapytał. — Chciałbym... — Przerwał. Zobaczył nagle ich zwierzęta.

Uświadomił sobie, że tak potężną korporację było na nie stać. Najwidoczniej w podświadomości spodziewał się takiej kolekcji, czuł więc obecnie nie zdziwienie, ale coś w rodzaju tęsknoty. Spokojnym krokiem odszedł od dziewczyny, kierując się w stronę najbliższej zagrody. Mógł już czuć ich zapach, a właściwie kilka zapachów bijących od stojących lub siedzących stworzeń. A także śpiących, jak w przypadku czegoś, co przypominało szopa.

Nigdy dotąd w całym swoim życiu nie widział na własne oczy szopa. Znał to zwierzę jedynie z trójwymiarowych filmów w telewizji. Z jakiegoś powodu pył zaatakował ten gatunek niemal tak gwałtownie jak ptaki i do chwili obecnej nie ocalał prawie ani jeden szop. Odruchowo wyciągnął mocno zużytego Sidneya i sprawdził notowania tego zwierzęcia z wszystkimi wariantami. Ostatnie ceny podane były oczywiście kursywą, podobnie jak na perszerony. Nie oferowano do sprzedaży żadnego, za żadną cenę. Katalog Sidneya podawał jedynie kwotę, na jaką opiewała ostatnia transakcja związana z szopem. Suma była astronomiczna.

— Nazywa się Bill — powiedziała stojąca za jego plecami dziewczyna. — Szop Bill. Dostaliśmy go dopiero w ubiegłym roku od jednej ze związanych z nami spółek. — Wskazała obok niego i dopiero wtedy zwrócił uwagę na uzbrojonych strażników, którzy stali z gotowymi do strzału lekkimi, szybkostrzelnymi skotami. Od chwili wylądowania nie spuszczali oczu z Deckarda. A przecież, pomyślał, mój hover ma wyraźnie widoczne oznakowania pojazdu policyjnego.

— Wielki producent androidów — stwierdził z namysłem — inwestuje swoje nadwyżki kapitałowe w żywe zwierzęta.

— Niech pan spojrzy na sowę — zwróciła jego uwagę Rachel. — O tam, obudzę ją dla pana. — Popatrzyła w stronę małej, odległej klatki, w której w samym środku sterczało rozłożyste, uschnięte drzewo.

Nie ma już sów, nieomal mu się wyrwało. Albo tak nam wmówiono. Sidney, pomyślał. Podaje je w swoim katalogu jako wymarły gatunek: mała, czyściutka literka W pojawiająca się regularnie w całym katalogu. Kiedy dziewczyna szła przed nim, sprawdził i okazało się, że miał rację. Sidney nigdy nie popełnia błędów, powiedział w myśli. Przecież o tym wiemy. Na czym innym moglibyśmy polegać?

— Jest sztuczna — powiedział w nagłym olśnieniu. Rozczarowanie, które nim owładnęło, było ostre i intensywne.

— Nie. — Uśmiechnęła się do Ricka. Jej równe, drobne zęby były tak samo białe, jak oczy i włosy — czarne.

— Ale Sidney określa je jako wymarłe — oznajmił, usiłując pokazać jej katalog. Udowodnić.

— Nie dokonujemy zakupów u Sidneya ani u żadnego innego handlarza zwierząt — odparła dziewczyna. — Wszystkie nabytki sprowadzamy od osób prywatnych i ceny, które płacimy, nie są rejestrowane. Mamy również naszych własnych przyrodników — dodała. — Obecnie pracują w Kanadzie. Pozostało tam jeszcze stosunkowo sporo lasów. Wystarcza małym zwierzętom i swego czasu wystarczało ptakom.

Przez długą chwilę stał patrząc na drzemiącą na grzędzie sowę. Przez głowę przebiegały mu tysiące myśli — o wojnie, o dniach, kiedy sowy spadały z nieba. Przypominał sobie, jak za jego dziecinnych lat wymierał gatunek po gatunku i codziennie donosiły o tym gazety — jednego dnia lisy, następnego borsuki, aż wreszcie ludzie przestali czytać ciągle nekrologi zwierząt.

Pomyślał również o swojej potrzebie posiadania prawdziwego zwierzęcia. Ponownie poczuł ogarniającą go nienawiść do swojej elektrycznej owcy, o którą musiał się troszczyć. Zupełnie jakby żyła naprawdę. Tyrania przedmiotu, pomyślał. Ona nie wie, że ja w ogóle istnieję. Podobnie jak androidy nie umie przyjąć do świadomości istnienia kogoś innego. Nigdy dotąd nie myślał o podobieństwach elektrycznego zwierzęcia i andka. Elektryczne zwierzę, myślał, może być uznane za podgrupę andków, coś w rodzaju

znacznie bardziej prymitywnego robota. Albo na odwrót — androida można uznać za wysoce rozwiniętą, ewolucyjną wersję pseudozwierzęcia. Obydwa punkty widzenia napawały go odrazą.

— Gdybyście państwo sprzedawali swoją sowę — zapytał Rachelę Rosen — to ile byście za nią chcieli i jak duża byłaby zaliczka?

— Nigdy nie sprzedalibyśmy naszej sowy. — Przyglądała mu się wzrokiem, w którym zadowolenie mieszało się ze współczuciem. — A nawet gdybyśmy ją sprzedawali, nie sądzę, aby było pana na nią stać. Jakie zwierzę ma pan w domu?

— Owcę — odparł. — Suffolka o czarnym pysku.

— No cóż, powinien pan być szczęśliwy.

— Jestem — odparł. — Po prostu zawsze chciałem mieć sowę, nawet dawno temu, zanim wszystkie padły martwe. — Zreflektował się. — Wszystkie, oprócz waszej.

— Nasz obecny program finansowy i plany ogólne zakładają zdobycie dodatkowej sowy, którą chcielibyśmy skojarzyć ze Scrapperem — powiedziała Rachel, wskazując sowę na grzędzie. Ptak na chwilę otworzył żółte szczeliny oczu, które po chwili zamknęły się, gdy sowa ponownie podjęła drzemkę. Jej pierś uniosła się i opadła, jakby ptak westchnął przez sen.

Oderwał się od tego widoku — czuł, jak gorycz zaczyna przenikać jego poprzednie uczucie podziwu i pożądania — i powiedział:

— Chciałbym przeprowadzić obecnie test grupy laboratoryjnej. Czy możemy zejść na dół?

— Mój wuj odebrał telefon pańskiego przełożonego i do tej pory zapewne...

— Jesteście państwo rodziną? — powiedział Rick. — Tak wielka korporacja jest interesem rodzinnym!

Rachel kontynuowała przerwane zdanie:

— Wujek Eldon powinien do tej pory już przygotować grupy androidów i kontrolną. A więc chodźmy. — Ruszyła w stronę windy. Ręce miała ponownie wetknięte głęboko w kieszenie płaszcza. Nie obejrzała się i poirytowany Rick wahał się przez chwilę, zanim podążył za nią.

— Co pani ma mi za złe? — zapytał, gdy schodzili razem.

Zastanowiła się, jakby do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy.

— No cóż — powiedziała — pan, mizerny pracownik Wydziału Policji, znalazł się w wyjątkowej sytuacji. Rozumie pan, co mam na myśli? — Zerknęła na niego kątem oka. W jej wzroku wyraźnie malowała się złośliwość.

— Jaką część obecnej produkcji państwa — zapytał — stanowią typy wyposażone w Nexus-6?

— Całość — odparła Rachel.

— Jestem pewien, że test Voigta-Kampffa będzie miał do nich zastosowanie.

— A jeżeli nie, zostaniemy zmuszeni do wycofania typu Nexus-6 z rynku. — Jej czarne oczy zapłonęły. Patrzyła na niego z gniewem, kiedy winda przestała zjeżdżać w dół i drzwi się otworzyły. — I to dlatego, że policja nie potrafi wykonać porządnie pracy i odszukać garstki rozwiniętych robotów, które wyrwały się spod kontroli...

Wytworny mężczyzna, starszy i szczupły, podszedł do nich, wyciągając dłoń. Miał zafetowany wyraz twarzy, zupełnie jakby wszystko zaczęło nabierać zbyt szybkiego tempa.

— Jestem Eldon Rosen — przedstawił się Rickowi, gdy ściskali sobie dłonie. — Niech pan posłucha, Deckard. Zdaje pan sobie sprawę, że tu, na Ziemi, niczego nie wytwarzamy, prawda? Nie możemy po prostu zatelefonować do działu produkcji i zamówić jakiś zestaw wyrobów. Nie oznacza to, że nie chcemy, czy nie mamy ochoty współdziałać z wami. W każdym razie zrobiłem wszystko, co mogłem. — Trzęsącą się lewą dłonią przeczesał rzadniejące włosy.

Rick wskazał wydziałową walizeczkę i powiedział:

— Jestem gotów. Możemy zaczynać. — Nerwowość starszego Rosena dodała mu pewności siebie. Boją się mnie, pomyślał z zaskoczeniem. Rachel Rosen także. Prawdopodobnie mogę zmusić ich do zaprzestania produkcji Nexusów-6. To, co zrobię w ciągu następnej godziny, będzie miało wpływ na strukturę ich działań. Możliwe, że określi przyszłość Korporacji Rosena tutaj, w Stanach Zjednoczonych, a także w Rosji i na Marsie.

Dwoje członków rodziny Rosenów przyglądało mu się z obawą i Rick był w stanie wyczuć fałsz w ich zachowaniu. Przyjeżdżając tu, ściągnął na nich nicosć, wprowadził pustkę i ciszę gospodarczej śmierci. Sprawują władzę nad zbyt wielką potęgą, pomyślał. Przedsiębiorstwo to uważane jest za jedną z przemysłowych dźwigni obecnego systemu. Produkcja androidów w gruncie rzeczy została tak ściśle powiązana z wysiłkiem kolonizacyjnym, że jeśli jeden z członów legnie w gruzach, drugi wkrótce podąży jego śladem. Korporacja Rosena oczywiście doskonale to rozumiała. Eldon Rosen najwidoczniej musiał zdawać sobie z tego sprawę od chwili, gdy zadzwonił do niego Harry Bryant.

— Na państwa miejscu nie przejmowałbym się tym — powiedział Rick, w czasie gdy Rosenowie prowadzili go szerokim, jaskrawo oświetlonym korytarzem. Czuł pełen zadowolenia spokój. Chwila ta, bardziej niż jakakolwiek zapamiętana do tej pory, sprawiała mu przyjemność. No cóż, wkrótce przekonają się, co może, a czego nie może dokonać jego aparatura testująca.

— Jeżeli nie macie państwo zaufania do skali Voigta-Kampffa — poinformował — to być może wasza organizacja będzie w stanie opracować alternatywny test. W końcu spoczywa na was część odpowiedzialności. O, dziękuję.

Rosenowie wprowadzili go do eleganckiego, przypominającego salon pomieszczenia wyposażonego w dywany, lampy, sofę i nowoczesne stoliki, na których leżały świeże czasopisma — w tym, jak zauważył, nawet lutowe uzupełnienie katalogu Sidneya, którego jeszcze nie miał okazji oglądać. Prawdę mówiąc, lutowy suplement miał się znaleźć w kolportażu dopiero za trzy dni. Najwyraźniej Korporacja Rosena miała specjalne układy z Sidneyem.

Z irytacją wziął do ręki uzupełnienie.

— To naruszenie społecznego zaufania. Nikt nie powinien przed czasem znać zmian cen.

W gruncie rzeczy mogło to być złamanie prawa federalnego, próbował przypomnieć sobie odpowiedni przepis i z niezadowoleniem stwierdził, że nie może.

— Zabieram to ze sobą — oznajmił. Otworzył walizeczkę i wrzucił suplement do środka.

Po chwili milczenia Eldon Rosen odezwał się zmęczonym tonem.

— Oficerze, proszę posłuchać. Nie mieliśmy zamiaru wykorzystywać uprzedniej...

— Nie jestem oficerem policji — rzekł Rick. — Jestem łowcą. — Z otwartej walizeczki wyjął aparaturę Voigta-Kampffa, usadowił się przy stojącym obok stoliku i zaczął łączyć dość proste elementy składowe wykrywacza kłamstwa.

— Może pan przysłać pierwszego badanego — poinformował Eldona Rosena, który sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdezorientowanego niż dotąd.

— Chciałabym to obserwować — powiedziała Rachel i również usiadła. — Nigdy nie widziałam, jak przeprowadza się test empatyczny. Co pan mierzy za pomocą tych rzeczy?

— To — powiedział Rick unosząc płaski, samoprzylepny dysk z przymocowanymi przewodami — sprawdza rozszerzenie naczyń włoskowatych w tkance twarzy. Wiemy, że jest to bezwarunkowy odruch, tak zwany rumieniec, będący reakcją na bodziec, którym jest wstrząs moralny. Reakcji tej nie można kontrolować w świadomy sposób, podobnie jak przewodnictwa elektrycznego skóry, rytmu oddechu czy też pracy serca. — Pokazał jej następny instrument, ołówkową latarkę o wąskim promieniu światła. — To z kolei rejestruje zmiany napięcia mięśni ocznych. Obok zjawiska czerwienienia się, można zarejestrować niewielkie, ale zauważalne ruchy...

— Które nie występują u androidów — skończyła za niego Rachel.

— Pytania kontrolne nie wywołują takich reakcji u androidów. Choć biologicznie istnieją. Potencjalnie.

— Proszę przeprowadzić na mnie test — oznajmiła Rachel.

— Dlaczego? — spytał zaskoczony Rick.

— Wybraliśmy ją jako pański pierwszy obiekt — ochryłym głosem odezwał się Eldon Rosen. — Może jest androidem. Mamy nadzieję, że zdoła to pan ustalić.

Usiadł wykonując całą serię niezgrabnych ruchów, wyjął papierosa, zapalił go i skupił się na aparaturze.

Rozdział V

Wąski, biały promień świecił równo w lewy kącik oka Racheli Rosen. Do jej policzka przyklejony był krążek z drucianej siatki. Dziewczyna sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej.

Rick Deckard siedział w miejscu, z którego widział dwie wskazówki aparatury testującej Voigta-Kampffa.

— Mam zamiar przedstawić kilka sytuacji społecznych — powiedział. — Pani wyrazi swoją reakcję najszybciej, jak potrafi. Oczywiście będę mierzył czas.

— I oczywiście — stwierdziła wyzywającym tonem Rachel — moje słowne odpowiedzi nie będą brane pod uwagę. Jedynie reakcje mięśni oka i naczyń włoskowatych, które traktuje pan jako wskaźniki. Ale będę odpowiadała — chcę przez to przejść i... — Przerwała. — Proszę zaczynać, panie Deckard.

Rick wybrał pytanie trzecie:

— Otrzymała pani w prezencie urodzinowym portfel z cielęcej skóry. — Obydwie wskazówki wychyliły się gwałtownie z zielonych pól na czerwone, a potem cofnęły.

— Nie przyjmę go — odparła Rachel. — A także zameldowałabym na policji o osobie, która mi go dała.

Rick zaznaczył udzieloną odpowiedź i ciągnął dalej, przechodząc do ósmego pytania ze skali profilu osobowości Voigta-Kampffa.

— Spotyka pani małego chłopca, który pokazuje pani swoją kolekcję motyli, a także słoik, w którym je zabija.

— Prowadzę go do lekarza. — Głos Racheli był cichy, ale stanowczy. Znowu obie wskazówki wychyliły się, ale nie tak daleko. Odnotował to również.

— Siedzi pani i ogląda telewizję — ciągnął dalej — i nagle spostrzega pani osę, która pełźnie po pani przegubie.

— Zabiję ją — odpowiedziała Rachel. Tym razem wskazówki prawie nie drgnęły, jedynie przez chwilę zadygotały słabo. Zrobił notatkę i ostrożnie odszukał następne pytanie.

— W czasopiśmie znajduje pani całostronicowe, kolorowe zdjęcie nagiej dziewczyny — przerwał.

— Bada pan, czy jestem androidem — spytała ironicznie Rachel — czy lesbijką? — Wskazówki nie wychyliły się.

— Pani mąż lubi ten obrazek — ciągnął dalej. Wskazówki w dalszym ciągu nie odnotowały reakcji. — Dziewczyna — dodał — leży na brzuchu, na wielkiej, niedźwiedziej skórze. — Wskazówki pozostały nieruchome. Odpowiedź androida, zauważył w duchu. Nie była w stanie dostrzec głównego czynnika — futra martwego zwierzęcia. Jej czy raczej tego umysł był skupiony na innych czynnikach. — Pani mąż wiesza obrazek na ścianie gabinetu — skończył pytanie i tym razem wskazówki poruszyły się.

— Z całą pewnością mu na to nie pozwolę — odparła Rachel.

— Dobrze — rzekł i skinął głową. — A teraz proszę zastanowić się nad taką sytuacją. Czyta pani powieść napisaną dawno temu, przed wojną. Bohaterowie zwiedzają Fisherman's Wharf w San Francisco. Zgłodnieli i wchodzi do restauracji, w której podaje się dary morza. Jeden z bohaterów zamawia homara, którego kucharz na jego oczach wrzuca do garnka z gotującą wodą.

— O Boże! — zawołała Rachel. — To straszne! Czy rzeczywiście tak robili? To obrzydliwe! Naprawdę żywego homara? — Wskazówki jednak nie zareagowały prawidłowo. Zasadniczo odpowiedź była prawidłowa. Ale udawana.

— Wynajmuje pani chatę w górach — rzekł — w rejonie wciąż jeszcze zielonym. Zbudowana jest z sękatych bali sosnowych i ma wielki kominek.

— Tak — rzuciła Rachel, kiwając ze zniecierpliwieniem głową.

— Na ścianach ktoś rozwiesił stare mapy. Są tam też ryciny Curiera i Ivesa, a nad kominkiem umieszczono głowę jelenia, byka o wielkim porożu. Pani współtowarzysze podziwiają urządzenie chaty i pani postanawia...

— Na pewno nie zgodzę się na głowę jelenia — powiedziała Rachel. Ale wskazówki wychyliły się jedynie w obrębie zielonego pola.

— Zachodzi pani w ciążę — ciągnął Rick — z człowiekiem, który obiecał się z panią ożenić. Mężczyzna ten odchodzi z inną kobietą, pani najlepszą przyjaciółką. Dokonuje pani aborcji i...

— Nigdy nie przeprowadziłabym aborcji — oświadczyła Rachel. — A poza tym to niemożliwe. Dostaje się za nią dożywocie, a policja zawsze czuwa. — Tym razem obydwie wskazówki wychyliły się gwałtownie na czerwone pole.

— Skąd pani o tym wie? — zapytał z zaciekawieniem Rick. — O trudnościach z wykonaniem aborcji?

— Wszyscy wiedzą — odparła Rachel.

— Odniosłem wrażenie, że mówi pani na podstawie osobistego doświadczenia. — Obserwował bacznie wskazówki. Ponownie wychyliły się przez całą skalę. — Jeszcze

jedno. Spotyka się pani z mężczyzną, który zaprasza panią do swego mieszkania. Kiedy się tam już znaleźliście, proponuje pani drinka. Widzi pani wewnątrz sypialni. Jest ciekawie ozdobiona afiszami corridy i podchodzi pani, żeby obejrzyć je z bliska. Mężczyzna idzie za panią i zamyka drzwi. Obejmuje panią i mówi...

— Co to takiego afisze corridy? — przerwała mu Rachel.

— To rysunki, najczęściej kolorowe i dużego formatu, które przedstawiają matadora z czerwoną płachtą i byka, który próbuje wziąć go na rogi. — Pytanie go zaskoczyło. — Ile ma pani lat? — zapytał. Mógł to być poważny czynnik.

— Osiemnaście — odparła Rachel. — No dobrze. A więc mężczyzna zamyka drzwi i obejmuje mnie. Co mówi?

— Czy wie pani, jak kończyły się corridy? — spytał Rick.

— Przypuszczam, że ktoś bywał ranny.

— Byka w końcu zawsze zabijano. — Czekał, obserwując dwie wskazówki. Dygotały bez przerwy, ale nic poza tym. Żadnego konkretnego odczytu. — Ostatnie pytanie — rzekł. — Dwuczęściowe. Ogląda pani stary film w telewizji, film nakręcony przed wojną. Pokazany jest na nim bankiet. Goście zjadają się surowymi ostrygami.

— Pfuj — zareagowała Rachel. Wskazówki wychyliły się szybko.

— Główne danie — ciągnął Rick — stanowi gotowany pies nadziewany ryżem. — Wskazówki wychyliły się nieco mniej, znacznie mniej niż przy surowych ostrygach. — Czy surowe ostrygi są dla pani mniej do przyjęcia niż gotowany pies? Najwidoczniej tak. — Odłożył ołówek, wyłączył promień światła i zdjął z jej policzka przylepiony krążek. — Jest pani androidem — oświadczył. — Takie są ustalenia testu — poinformował ją czy raczej to oraz Eldena Rosena, który przyglądał mu się z pełną bólu troską. Twarz starszego człowieka wykrzywiła się z gniewu. — Mam rację, prawda? — spytał Rick. Odpowiedź nie padła od żadnego z Rosenów. — Proszę posłuchać — oznajmił perswazyjnym tonem. — Nie ma między nami żadnej sprzeczności interesów. Dla mnie to, że test Voigta-Kampffa działa, jest niemal tak samo ważne jak dla was.

— Rachel nie jest androidem — odparł starszy Rosen.

— Nie wierzę — zaprotestował Rick.

— Dlaczego miałby kłamać? — zaatakowała go Rachel. — Kłamać powinniśmy raczej w odwrotnej sytuacji.

— Chcę, żeby przeprowadzono analizę pani szpiku kostnego — stwierdził Deckard. — W końcu możemy określić, czy jest pani androidem, czy nie, w sposób organiczny. Przyznaję, że jest to powolne i bolesne, ale...

— Z prawnego punktu widzenia — rzekła Rachel — nie mogę zostać zmuszona do poddania się badaniom szpiku kostnego. Zostało to uznane przez sąd za równoznaczne z samooskarżeniem. A poza tym analiza, kiedy przeprowadza się ją na żywej osobie — a nie na ciele usuniętego androida — trwa bardzo długo. Stosujecie ten swój przeklę-

ty test ze względu na specjali. Trzeba ich badać ciągle i dzięki temu wasze instytucje policyjne przemyściły Voigta-Kampffa. Ale przed chwilą powiedział pan prawdę — to koniec testu. — Podniosła się, odeszła od niego i stanęła odwrócona do niego tyłem, z rękami opartymi na biodrach.

— Nie chodzi tu o legalność analizy szpiku kostnego — powiedział głucho Eldon Rosen. — Problem polega na tym, że pański test empatyczny zawiódł w przypadku mojej siostrzenicy. Mogę wytłumaczyć dlaczego jej wyniki przypominały odczyty androida. Rachel wychowała się na pokładzie „Salader 3”. Urodziła się tam i spędziła czternaście ze swoich osiemnastu lat życia. Jej wychowanie i nauka opierały się wyłącznie na wideotece i wiadomościach o Ziemi, jakimi dysponowało dziewięciu innych, dorosłych członków załogi. A potem, jak pan wie, po przebyciu jednej szóstej drogi do Proximy, statek zawrócił. W przeciwnym razie Rachel nigdy nie zobaczyłaby Ziemi — albo wróciłyby dopiero w bardzo podeszłym wieku.

— Miałyby pan podstawy mnie usunąć — rzuciła Rachel przez ramię. — W czasie policyjnej obławy mogłabym zostać zabita. Wiem o tym od chwili, kiedy dostałam się tu cztery lata temu. Przechodziłam test Voigta-Kampffa nie po raz pierwszy. W gruncie rzeczy bardzo rzadko opuszczam ten budynek. Ryzyko jest ogromne ze względu na blokady drogowe urządzone przez was i przez policjantów, i na te wszystkie lotne punkty kontrolne, które mają wyłapać nie zarejestrowanych specjalistów.

— Oraz androidy — dodał Eldon Rosen. — Chociaż oczywiście społeczeństwu się o tym nie mówi. Nie powinno wiedzieć, że androidy są na Ziemi, między nami.

— Nie sądzę, żeby istotnie były — odparł Rick. — Jestem zdania, że najrozmaitsze organizacje policyjne tutaj i w Związku Radzieckim już je wyłapały. Zaludnienie jest stonkowo niewielkie, każdy — prędzej czy później — natknie się na punkt kontrolny.

— Taka w każdym razie była koncepcja.

— Jakie otrzymał pan instrukcje — spytał Eldon Rosen — gdyby okazało się, że zidentyfikował pan człowieka jako androida?

— To sprawa Wydziału. — Zaczął układać aparaturę w walizeczce, a dwójka Rosenów obserwowała go w milczeniu. — Oczywiście — dodał — polecono mi, żebym zaprzestał dalszego testowania. Jeżeli badanie zawodzi raz, kontynuowanie próby nie ma sensu. — Zatrzasnął zamki.

— Moglibyśmy pana oszukać — powiedziała Rachel. — Nic nas nie zmuszało do przyznania, że wprowadziliśmy pana w błąd. Podobnie w przypadku pozostałych dziewięciu wybranych przez nas osobników. — Gestykulowała gwałtownie. — Mogliśmy po prostu przyjąć wyniki pańskich testów, jakiegokolwiek by były.

— Powinienem zastrzec sobie wcześniejsze dostarczenie mi listy. Identyfikacja w zalakowanej kopercie. I porównać zbieżność z wynikami moich testów. — Powinna być zbieżność. I teraz widzę, uświadomił sobie, że bym ją uzyskał. Bryant miał rację. Dzięki Bogu, nie zacząłem polować na podstawie tego testu.

— Tak, przypuszczam, że powinien pan tak postąpić — stwierdził Eldon Rosen. Zerknął na Rachel, która skinęła głową. — Rozważaliśmy taką możliwość — przyznał niechętnie.

— Problem — rzekł Rick — wynika całkowicie z waszych metod działania, panie Rosen. Nikt nie zmuszał waszej korporacji, aby doprowadzała produkcję humanoidalnych robotów do punktu, w którym...

— Produkowaliśmy to, czego chcieli koloniści — odparł Eldon Rosen. — Postępowaliśmy zgodnie z uświęconą przez czas zasadą stanowiącą fundament każdego przedsięwzięcia handlowego. Gdyby nasza firma nie produkowała typów, które stopniowo coraz bardziej przypominają ludzi, zrobiliby to inni. Kiedy pracowaliśmy nad modulem mózgowym Nexus-6, zdawaliśmy sobie sprawę z podejmowanego ryzyka. Ale wasz test Voigta-Kampffa był pomyłką, zanim jeszcze wyprodukowaliśmy ten typ androida. Gdyby nie udało się panu określić androida Nexus-6 jako androida, gdyby określił go pan jako człowieka... ale tak się nie stało. — Ton jego głosu stawał się twardy i ostry. — Pański Wydział Policji, podobnie jak inne, mogły usunąć i najprawdopodobniej usunęły autentycznych ludzi o nieukształtowanych umiejętnościach empatycznych, takich jak moja siostrzenica. Pańska sytuacja, panie Decker jest wyjątkowo niekorzystna moralnie. Nasza nie.

— Innymi słowy — powiedział ostro Rick — nie będę miał szansy przebadać choćby jednego Nexusa-6. Dlatego, że państwo podrzuciliście mi najpierw tę schizoidalną dziewczynę. — I mój test, uświadomił sobie, został zaprzepaszczony. Nie powinienem dać się na to złapać, powiedział sam do siebie. Jednak jest już za późno.

— Mamy pana w garści, panie Deckard — przytaknęła Rachel Rosen cichym, spokojnym głosem. Odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła.

* * *

Wciąż nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Korporacja Rosena tak łatwo zdołała go złapać w pułapkę. To specjaliści, uświadomił sobie. Gigantyczna korporacja, taka jak ta, dysponuje wielkim doświadczeniem. W gruncie rzeczy posiada swego rodzaju zbiorowy umysł. A Eldon i Rachel Rosen są rzecznikami tej zbiorowej osobowości. Najwidoczniej jego błąd polegał na traktowaniu ich jako pojedynczych osobników. Był to błąd, którego już nie popełni.

— Pański przełożony, pan Bryant — oznajmił Eldon Rosen — z trudnością będzie mógł zrozumieć, w jaki sposób pozwolił nam pan zdezawuować aparaturę testującą, zanim jeszcze rozpoczęła się próba. — Uniósł dłoń w stronę sufitu i Rick zobaczył obiektyw kamery. Jego straszliwy błąd, który popełnił w rozgrywce z Rosenami, został zarejestrowany. — Uważam, że powinniśmy przede wszystkim — zaproponował Eldon — usiąść i... — Skinął uprzejmie ręką. — Możemy dojść do porozumienia, panie Dec-

kard. Nie ma powodu do niepokoju. Android odmiany Nexus-6 istnieje. W Korporacji Rosena uważamy to za niepodważalny fakt i sądzę, że obecnie również i pan jest tego zdania.

Rachel pochyliła się w stronę Ricka i zapytała:

— Czy chciałby pan mieć sowę?

— Wątpię, abym kiedykolwiek ją miał. — Ale doskonale wiedział, co miała na myśli, zdawał sobie sprawę, jakiego rodzaju interes chcą z nim ubić Rosenowie. Czuł wzbierające w nim nieznanne dotąd napięcie. Potęgowało się coraz bardziej, aż wreszcie poczuł jego powolną eksplozję w każdej części ciała. Poczuł niemal bolesną świadomość tego, co się dzieje.

— Ale sowa — rzekł Rosen — jest czymś, czego pan pragnie. — Spojrzał pytająco na siostrzenicę. — Nie przypuszczam, że wyobraża sobie...

— Oczywiście, że tak — zaprotestowała Rachel. — Wie dokładnie, do czego to wszystko zmierza. Prawda, panie Deckard? — Pochyliła się w jego stronę, tym razem przysuwając się bliżej. Poczuł jej delikatny zapach, niemal ciepło. — Praktycznie już to pan osiągnął, panie Deckard. Praktycznie już pan ma swoją sowę! — Odwróciła się w stronę Eldona Rosena i rzekła: — Jest łowcą, pamiętasz? Utrzymanie zapewniają mu nagrody, a nie pensja. Czyż nie tak, panie Deckard?

Skinął głową.

— Ile androidów uciekło tym razem? — zapytała Rachel.

— Osiem. — Odpowiedział po chwili. — Początkowo. Dwa już zostały usunięte, ale przez kogoś innego, nie przeze mnie.

— Ile pan dostaje za każdego androida? — spytała Rachel.

Wzruszył ramionami i odparł:

— To zależy.

— Jeżeli nie ma pan testu, który może pan zastosować — powiedziała Rachel — nie ma pan również sposobu identyfikacji androida. A skoro nie może pan zidentyfikować androida, nie będzie pan mógł zdobyć nagrody. Ponieważ należy odrzucić skalę Voigta-Kampffa...

— Zastąpi ją nowa skala — rzekł Rick. — To się już zdarzało. — Mówiąc ściśle, trzykrotnie. Ale wtedy nowe skale, bardziej współczesne narzędzia analityczne, były już w pogotowiu. Nie powstała najmniejsza przerwa. Tym razem było inaczej.

— Kiedyś skala Voigta-Kampffa stanie się przestarzała — zgodziła się Rachel. — Ale jeszcze nie teraz. Jesteśmy zgodni w opinii, że jest w stanie identyfikować typy Nexus-6 i chcielibyśmy, żeby na jej podstawie kontynuował pan swoją szczególną, osobliwą pracę. — Kołysząc się do przodu i tyłu ze splecionymi na piersiach rękami patrzyła na niego z napięciem. Próbowwała zgłębić jego reakcje.

— Powiedz mu, że może mieć sowę — wychrypiął Eldon Rosen.

— Może pan mieć sowę — powiedziała Rachel, przyglądając mu się. — Tę, która jest na dachu. Scrapy. Ale jeżeli uda nam się znaleźć samca, będziemy chcieli ją sparzyć. I całe potomstwo będzie nasze, to całkowicie bezdyskusyjny warunek.

— Podzielę miot — odparł Rick.

— Nie — zareagowała natychmiast Rachel, siedzący za nią Eldon Rosen pokręcił głową, podtrzymując jej protest. — Dzięki temu, cała linia genetyczna sów należałaby do pana przez pozostałą część wieczności. I jeszcze jeden warunek. Nie może pan zapisać sowy nikomu w spadku. Po pańskiej śmierci zostanie zwrócona spółce.

— Brzmi to — stwierdził Rick — jak zaproszenie do podpisania na siebie wyroku śmierci. Dostalibyście wtedy swoją sowę natychmiast. Nie mogę się zgodzić, to zbyt niebezpieczne.

— Jest pan łowcą — rzekła Rachel. — Potrafi się pan posługiwać pistoletem laserowym i ma go pan przy sobie nawet teraz. Jeżeli nie może pan uchronić sam siebie, to w jaki sposób chce pan usunąć sześć pozostałych andków Nexus-6? Są o wiele sprytniejsze niż stare W-4 Korporacji Gozzi.

— Ale to ja na nie poluję — wyjaśnił. — W przypadku zaś wprowadzenia tej klauzuli o zwrocie sowy, ktoś polowałby na mnie. — Pomyśl, że ktoś mógłby go tropić, wcale mu się nie podobał. Z własnego doświadczenia wiedział, jaki ma to wpływ na androidy. Świadomość, że jest się ściganym, wywoływała wyraźne zmiany nawet w nich.

— Dobrze — zgodziła się Rachel. — W tym przypadku możemy ustąpić. Może pan zapisać sowę spadkobiercom. Ale nalegamy na otrzymanie pełnych miotów. Jeżeli nie może się pan na to zgodzić, niech pan wraca do San Francisco i przyzna swoim przełożonym, że skala Voigta-Kampffa, przynajmniej w pana zastosowaniu, nie pozwala odróżnić andka od istoty ludzkiej. A potem niech pan poszuka sobie innej pracy.

— Proszę dać mi trochę czasu — oznajmił Rick.

— Dobrze — odparła Rachel. — Zostawiamy pana, tu będzie wygodnie. — Spojrzała na zegarek.

— Pół godziny — oznajmił Eldon Rosen. Wraz z Rachel ruszył w milczeniu w kierunku drzwi. Deckard uświadomił sobie, że powiedzieli wszystko, co chcieli. Reszta należała do niego.

Gdy Rachel zaczęła zamykać drzwi, Rick rzekł posępnie:

— Udało się państwu idealnie mnie zmanipulować. Macie zarejestrowaną na taśmie moją pomyłkę, wiecie, że moja praca zależy od użycia Voigta-Kampffa, a poza tym macie tę cholerną sowę.

— Pańską sowę, mój drogi — powiedziała Rachel. — Pamięta pan? Każemy przywiązać do nogi ptaka pański adres domowy i wysłać do San Francisco. Wróci pan do domu i to już tam będzie.

To, pomyślał. Wciąż nazywa sowę to. Nie ona.

— Chwileczkę — powiedział.

Rachel zatrzymała się w drzwiach i zapytała:

— Podjął pan decyzję?

— Chciałbym zadać pani jeszcze jedno pytanie z testu Voigta-Kampffa — wyjaśnił.

— Proszę znowu usiąść.

Rachel zerknęła na wuja. Skinął głową, podeszła więc niechętnie i usiadła jak poprzednio.

— Po co komplikuje pan sprawę? — zadała pytanie, unosząc brwi z wyraźną niechęcią i zmęczeniem. Rick zawodowym instynktem wyczuł jej napięcie.

Znowu skierował promień światła w kącik jej prawego oka i przykleił krążek do policzka. Rachel patrzyła sztywno na światło, wyrazem twarzy podkreślając swoje obrzydzenie.

— Widzi pani moją walizeczkę? — zapytał Rick szukając w jej wnętrzu kwestionariuszy Voigta-Kampffa. — Ładna, prawda? Przydziałowa.

— No, no, no — mruknęła bez zainteresowania Rachel.

— Ze skórki niemowlęcia — wyjaśnił. Pogładził czarną skórę walizeczki. — Stuprocentowo autentyczna. — Zobaczył, jak dwie wskazówki po chwili wychyliły się gwałtownie. Reakcja nastąpiła, ale zbyt późno. Znał prawidłowy czas reakcji do ułamka sekundy. Powinien być zerowy.

— Dziękuję, panno Rosen — oznajmił i znowu złożył aparaturę. Zakończył powtórny test. — To wszystko.

— Wychodzi pan? — zapytała Rachel.

— Tak — odparł. — Już jestem gotów.

— A co z pozostałymi dziewięcioma badanymi? — zapytała ostrożnie.

— W pani przypadku test był w pełni zadowalający — odpowiedział. — Mogę wyciągnąć wnioski wyłącznie na jego podstawie. Jest w dalszym ciągu zupełnie przydatny. — Potem zwrócił się do Eldona Rosena, który stał z przygnębionym wyrazem twarzy opierając się o framugę drzwi. — Czy ona wie?

Czasami nie wiedziały. Wielokrotnie testowano implantację sztucznej pamięci, najczęściej ludząc się, że dzięki temu ulegną zmianie ich reakcje w czasie testów.

— Nie — odparł Eldon Rosen. — Zaprogramowaliśmy ją całkowicie. Sądzę jednak, że ostatnio zaczęła podejrzewać. — Domyśliłaś się — zapytał dziewczynę — kiedy poprosił o jeszcze jedną próbę.

Błada Rachel skinęła sztywno głową.

— Nie obawiaj się go — powiedział Rosen. — Nie jesteś zbiegłym androidem, który przebywa nielegalnie na Ziemi. Jesteś własnością Korporacji Rosena, wykorzystywaną przez nas w kampanii reklamowej dla emigrantów. — Podeszedł do dziewczyny i pocieszającym gestem położył jej dłoń na ramieniu. Czując jego dotyk, dziewczyna drgnęła.

— Ma rację — dodał Rick. — Nie mam zamiaru pani usunąć, panno Rosen. Do wi-
dzenia. — Skierował się w stronę drzwi, a potem zatrzymał się na chwilę i zapytał ich
oboje: — Czy sowa jest prawdziwa?

Rachel szybko spojrzała na starszego Rosena.

— I tak wyjeżdża — odparł Eldon Rosen. — To nie ma teraz znaczenia. Ptak jest
sztuczny. Nie ma już sów.

— Hmm — mruknął Rick i sztywno wyszedł na korytarz. Oboje patrzyli, jak odcho-
dził. Nie było już nic do dodania. A więc tak działa największy producent androidów,
powiedział w myśli Rick. Podstępnie i to w sposób, z jakim nigdy dotąd nie zetknął się
łowca. Niesamowity i zagmatwany, nowy typ osobowości. Nic dziwnego, że instytucje
ochrony prawa i porządku mają kłopoty z Nexusami-6.

Nexus-6. Wreszcie się z nim spotkał. Uświadomił sobie, że dziewczyna musi być Ne-
xusem-6. Po raz pierwszy widział jednego z nich. I niemal im się udało. Prawie zdoła-
li podważyć test Voigta-Kampffa, jedyną metodę, którą możemy wykrywać andki. Kor-
poracja Rosena wykonała dobrą robotę. I w każdym razie starała się ze wszystkich sił
ochronić swoje wyroby.

A ja muszę stawić czoło jeszcze sześciu takim jak ona, pomyślał. Zanim skończę.

Zarobi te pieniądze z nagród. Co do centa.

Zakładając, że uda mu się przeżyć.

Rozdział VI

Telewizor huczał. Isidore schodząc po pokrytych kurzem schodach budynku na niższe piętro rozpoznawał już znajomy głos Przyjaznego Bustera, który radośnie mamrotał do swojej olbrzymiej, obejmującej cały system publiczności.

— ...hej, hej, ludkowie! Zip, klik, zip! Pora na krótką informację o jutrzejszej pogodzie. Najpierw wschodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Satelita Mangusta donosi, że opad pyłu nasili się szczególnie do południa, a potem osłabnie i zaniknie. A więc ludkowie, wszyscy, którzy macie zamiar wyjść, powinniście poczekać do popołudnia, no nie? A jeżeli mówimy o czekaniu, pozostało tylko dziesięć godzin do mojej wiekopomnej wiadomości, mojego specjalnego wystąpienia! Powiedzcie swoim przyjaciołom, żeby mnie oglądali! Wyjawię coś, co was zadziwi. Może pomyślicie, że to po prostu zwykłe...

Gdy Isidore zastukał do drzwi mieszkania, telewizor natychmiast ucichł. Nie tylko zamilkł, ale przestał istnieć, śmiertelnie przerażony jego pukaniem.

Za zamkniętymi drzwiami wyczuł obecność życia. Tam było coś poza telewizorem. Jego niepełnosprawne zmysły wytworzyły albo może wyczuły niemy, pełen męki strach kogoś, kto cofał się przed nim, kogo próba ucieczki zagoniła pod najdalszą ścianę mieszkania.

— Hej — zawołał. — Mieszkam na górze. Usłyszałem pański telewizor. Spotkajmy się, dobrze? — Czekał nasłuchując. Żadnego dźwięku, żadnego ruchu. Jego słowa nie zdołały wyswobodzić tej osoby. — Przyniosłem kostkę margaryny — powiedział stojąc tuż przy drzwiach tak, aby jego głos przeniknął przez nie. — Nazywam się J. R. Isidore i pracuję dla znanego weterynarza pana Hannibala Sloata, na pewno pan o nim słyszał. Jestem osobą szanowaną, mam pracę. Prowadzę ciężarówkę pana Sloata.

Drzwi otworzyły się lekko i zobaczył skuloną, zniekształconą dziwnym, perspektywicznym skrótem postać dziewczyny, która cofała się, ale mimo wszystko trzymała drzwi, jakby stanowiły dla niej fizyczną podporę. Lęk sprawiał, że wyglądała na chorą. Strach deformował linie jej ciała. Robiła wrażenie, jakby ktoś ją połamał, a potem złośliwie pozszywał na nowo. Jej wpatrzone w niego, olbrzymie oczy lśniły, gdy dziewczyna usiłowała się uśmiechnąć.

— Myślała pani, że w tym budynku nikt nie mieszka — powiedział, nagle wszystko rozumiejąc. — Myślała pani, że jest opuszczony.

Dziewczyna skinęła głową i szepnęła:

— Tak.

— Ale przecież dobrze jest mieć sąsiadów — zdziwił się Isidore. — O rany, dopóki pani się nie sprowadziła, nie miałem żadnego.

I Bóg świadkiem, to wcale nie było przyjemne.

— Pan mieszka tu sam? — spytała dziewczyna. — W całym budynku? — Sprawiała już wrażenie o wiele mniej załęcznionej. Wyprostowała się i przyglądała dłonią ciemne włosy. Dostrzegł teraz, że ma zgrabną, choć drobną figurę i ładne oczy w oprawie długich, czarnych rzęs. Najwyraźniej zaskoczona jego przyjściem ubrana była tylko w spodnie od piżamy. A kiedy spojrzął poza jej ramię, zobaczył panujący w pokoju bałagan. Walizki leżały porozrzucane tu i ówdzie, otwarte, z częściowo wysypującą się na zaśmieconą podłogę zawartością. Ale to było zrozumiałe, przecież dopiero się sprowadziła.

— Oprócz pani mieszkam tu tylko ja — odparł Isidore. — I nie będę sprawiał kłopotów. — Czuł smutek. Jego dar, który zawierał w sobie wartość autentycznego, przedwojennego rytuału, nie został przyjęty. Na dobrą sprawę dziewczyna robiła wrażenie, jakby wcale nie rozumiała, do czego ta kostka margaryny miała służyć. Sprawiała wrażenie przede wszystkim niezwykle oszołomionej. Jakby wyłoniła się z głębi i unosiła teraz w coraz bardziej zwężających się kręgach strachu. — Dobry stary Buster — powiedział, usiłując rozluźnić spiętą dziewczynę. — Lubi go pani? Oglądam ten program każdego ranka, a potem w nocy, po powrocie do domu. Oglądam przy obiedzie i jeszcze później do chwili, kiedy idę do łóżka. Przynajmniej robiłem tak, dopóki nie zepsuł mi się telewizor.

— Kogo...? — zaczęła dziewczyna i urwała nagle. Przygryzła wargę, jakby poczuła nagle straszną złość. Najwidoczniej na siebie.

— Przyjaznego Bustera — wyjaśnił. Wydało mu się dziwne, że dziewczyna nigdy nie słyszała o najpopularniejszym na Ziemi komiku telewizyjnym.

— Skąd pani przyjechała? — spytał ze zdziwieniem.

— To nie ma znaczenia. — Zerknęła szybko na niego. Coś, co dostrzegła, w jakiś sposób zmniejszyło jej niepokój i ciało dziewczyny wyraźnie się rozluźniło. — Będę bardzo zadowolona z towarzystwa — oznajmiła — ale później, kiedy bardziej się tu zadomowię. Teraz, oczywiście, to wykluczone.

— Dlaczego wykluczone? — Był zdziwiony, wszystko w niej budziło zdziwienie. Może, pomyślał, zbyt długo był sam. To ja stałem się dziwny. Mówią, że kurcze mózdzki takie bywają. Myśl ta wprowadziła go w jeszcze bardziej ponury nastrój. — Mógłbym pomóc pani rozpakować walizki — zaproponował. Niemal zamknęła mu drzwi przed nosem. — I umeblować się.

— Nie mam nowych mebli — odpowiedziała dziewczyna. — Wystarczą mi rzeczy — wskazała pokój za plecami — które są tutaj.

— One się nie nadają — wyjaśnił. Widział to na pierwszy rzut oka. Krzesła, dywan, stoły — wszystko było spróchniałe, zapadło się we wspólną ruinę, stając się ofiarami despotycznych sił czasu. I opuszczenia. Od lat nikt w tym mieszkaniu nie żył, zniszczenie stało się niemal całkowite. Nie mógł sobie wyobrazić, jak miała zamiar mieszkać w tym otoczeniu. — Proszę posłuchać — powiedział z przejęciem. — Jeżeli przejdziemy się po budynku i poszukamy, najprawdopodobniej zdołamy znaleźć dla pani rzeczy, które nie są aż tak zniszczone. Lampę w jednym mieszkaniu, stół w innym.

— Zrobię to sama — rzekła dziewczyna. — Dziękuję.

— Chce pani iść do tych mieszkań sama? — Nie mógł w to uwierzyć.

— Dlaczego nie? — Znowu zadygotała nerwowo, uświadamiając sobie, że ponownie powiedziała coś nie tak.

— Próbowałem — stwierdził Isidore. — Raz. Od tej pory kiedy wracam do domu, idę prosto do mojego mieszkania i nie myślę o niczym innym. Pokoje, w których nikt nie mieszka — setki pokoiów i każdy z nich pełen jest rodzinnych fotografii, ubrań i rzeczy, które należały do jakichś ludzi. Ci, którzy umarli, nie mogli nic wziąć, a ci którzy wyemigrowali, nie chcieli. Ten budynek, poza moim mieszkaniem, jest całkowicie zchłamiony.

— Zchłamiony? — Nie rozumiała.

— Chłam, to bezużyteczne przedmioty, takie jak reklamy przysyłane dawniej pocztą, albo okładki po zużytych, papierowych zapalkach albo opakowanie po wczorajszej gumie. Kiedy nikogo nie ma w pobliżu, chłam sam się rozmnaża. Na przykład jeżeli pójdzie pani spać, pozostawiając takie rzeczy w mieszkaniu, to kiedy obudzi się pani następnego ranka, chłamu będzie już dwa razy tyle. Zawsze staje się go coraz więcej.

— Rozumiem. — Dziewczyna patrzyła na niego niepewnie, nie wiedząc, czy mu wierzyć. Nie była pewna, czy mówił to poważnie.

— Oto Pierwsze Prawo Chłamu — oznajmił. — „Chłam wypycha niechłam.” Brzmi to podobnie jak prawo Greshama o pieniądzu. A w tych mieszkaniach nie było nikogo, kto mógłby walczyć z chłamem.

— I dlatego opanował je całkowicie — zakończyła za niego dziewczyna. Skinęła głową. — Teraz rozumiem.

— Pani mieszkanie — powiedział — jest zbyt zchłamione, aby w nim żyć. Możemy zmniejszyć stopień zchłamienia. Jak już powiedziałem, możemy poszukać w innych mieszkaniach. Ale... — przerwał.

— Co?

— Nie możemy wygrać — odparł Isidore.

— Dlaczego? — Dziewczyna wyszła do korytarza, zamykając za sobą drzwi. Stała ze złożonymi na piersiach rękami i patrzyła na niego, próbując go zrozumieć. Albo tak mu się wydawało. Przynajmniej go słuchała.

— Nikt nie może wygrać z chłłamem — wyjaśnił. — Chyba że chwilowo, w jednym miejscu, takim jak moje mieszkanie. Udało mi się na jakiś czas stworzyć stan równowagi między naporem chłłamu i niechłłamem. Ale jeżeli kiedyś umrę albo wyprowadzę się, chłłam znowu wszystko ogarnie. To powszechna zasada, która funkcjonuje w całym wszechświecie. Cały wszechświat zmierza w stronę ostatecznego stanu całkowitego, absolutnego zchłłamienia. Poza, oczywiście, wspinaczką Wilbura Mercera — dodał.

Dziewczyna spojrzała na niego.

— Nie widzę żadnego związku.

— Do tego sprowadza się cały merceryzm. — Znowu poczuł ogarniające go zdziwienie. — Nie uczestniczy pani w zespoleniu? Nie ma pani skrzynki empatycznej?

Po chwili milczenia dziewczyna odparła ostrożnie.

— Nie wzięłam jej ze sobą. Myślałam, że znajdę tu jakąś.

— Ale przecież skrzynka empatyczna — wyjąkał z podnieceniem — jest najbardziej osobistą rzeczą, jaką człowiek posiada! To przedłużenie ciała, sposób, w jaki człowiek styka się z innymi, w jaki przestaje być sam. Ale pani to wie. Wszyscy to wiedzą. Mercer pozwala nawet takim jak ja... — przerwał gwałtownie. Ale było już za późno, już to powiedział i z wyrazu jej twarzy, z odruchu nagłej odrazy, zorientował się, że dziewczyna wie. — Niemal zdałem test na inteligencję — powiedział cichym, drżącym głosem. — Nie jestem bardzo specjalny, tylko w umiarkowanym stopniu. Nie takim, jak niektórzy. Ale właśnie Mercera to wcale nie interesuje.

— Jeżeli o mnie chodzi — stwierdziła dziewczyna — może pan to uznać za moje podstawowe zastrzeżenie, jakie mam do merceryzmu. — Głos miała czysty, obojętny. Uświadomił sobie, że chciała w ten sposób jedynie stwierdzić fakt. Swój stosunek do kurych mózdzków.

— Chyba wrócę na górę — powiedział i zaczął się cofać, ściskając kostkę margaryny. Czuł, jak w jego dłoni staje się miękka i wilgotna.

Dziewczyna obserwowała go, na jej twarzy wciąż malował się ten sam obojętny wyraz. Aż nagle zawołała:

— Poczekaj.

— Dlaczego? — zapytał, odwracając się.

— Jesteś mi potrzebny. Musisz mi pomóc zdobyć odpowiednie umeblowanie. Z innych mieszkań, tak jak powiedziałeś. — Podeszła do niego. Jej obnażony tors był smukły i zgrabny, bez zbędnego grama tłuszczu. — O której wracasz z pracy do domu? Mogłbyś mi wtedy pomóc.

— Czy mogłaby pani przygotować dla nas obiad? — zapytał Isidore. — Gdybym przyniósł do domu produkty?

— Nie. Mam zbyt dużo do zrobienia. — Dziewczyna odrzuciła jego prośbę bez wysiłku i Isidore zaakceptował to, nie rozumiejąc. Teraz, kiedy początkowy strach dziewczyny zniknął, zaczęło się w niej pojawiać coś innego. Coś dziwniejszego. I żałosnego. Chłód. Zupełnie jak powiew z próżni między nie zamieszkanymi światami, pomyślał, na dobrą sprawę znikąd. Nie było to coś, co powiedziała albo zrobiła, ale to czego nie zrobiła i nie powiedziała. — Kiedy indziej — powiedziała dziewczyna, kierując się w stronę drzwi do mieszkania.

— Czy zapamiętała pani moje nazwisko — zapytał skwapliwie. — Nazywam się John Isidore i pracuję u...

— Mówiłeś mi u kogo pracujesz. — Zatrzymała się na chwilę przy drzwiach. Otwierając je, powiedziała: — U jakiejś nieprawdopodobnej osoby, która nazywa się Hannibal Sloat. Jestem pewna, że istnieje on jedynie w twojej wyobraźni. Nazywam się... — wchodząc do mieszkania obrzuciła go ostatnim, pozbawionym ciepła spojrzeniem, zahęcała się i powiedziała. — Jestem Rachel Rosen.

— Z Korporacji Rosena? — zapytał. — Największego w całym systemie producenta humanoidalnych robotów wykorzystywanych w naszym programie kolonizacyjnym?

Na jej twarzy natychmiast pojawił się trudny do określenia wyraz, przemknął w ułamku sekundy i równie szybko zniknął.

— Nie — odpowiedziała. — Nigdy o nich nie słyszałam. Nic o nich nie wiem. Jak sądzę, to kolejny z twoich wymysłów. John Isidore i jego osobista, prywatna skrzynka empatyczna. Biedny Isidore...

— Ale pani nazwisko wskazuje...

— Moje nazwisko — odparła dziewczyna — brzmi Pris Stratton. To moje nazwisko po mężu. Zawsze go używam. Nigdy nie posługuję się innym imieniem, tylko Pris. Możesz zwracać się do mnie Pris. — Zastanowiła się przez chwilę, a potem dodała: — Nie, lepiej zwracaj się do mnie panno Stratton. Bo na dobrą sprawę zupełnie się nie znamy. W każdym razie ja ciebie nie znam. — Drzwi za nią zatrzęsły się i Isidore został sam w zakurzonej, mrocznym korytarzu.

Rozdział VII

No cóż, tak to jest, pomyślał J. Isidore stojąc z zaciśniętą w dłoni miękką kostką margaryny. Może kiedyś jednak pozwoli nazywać się Pris. A jeżeli zdołam znaleźć puszkę przedwojennych warzyw, może zmieni zdanie na temat przygotowania obiadu.

A jeżeli ona nie umie gotować? — pomyślał nagle. Dobrze, w takim razie ja go zrobię, przygotuję obiad dla nas obojga. I pokażę jej, jak to robić, gdyby w przyszłości nabrała jednak ochoty. Pewnie zechce, kiedy już jej pokażę. Jeśli dobrze się orientował, większość kobiet, nawet tak młodych jak ona, lubiła gotować. To był jakiś instynkt.

Zszedł po ciemnych schodach i wrócił do swojego mieszkania.

Ona naprawdę nie ma kontaktu z rzeczywistością, pomyślał nakładając biały kombi-nezon roboczy. Nawet jeżeli się teraz pośpieszy, już i tak spóźnił się do pracy i Sloat będzie zły, ale co z tego? Na przykład nigdy nie słyszała o Przyjaznym Busterze. A to przecież niemożliwe — Buster był najważniejszy ze wszystkich żyjących osób, oczywiście poza Wilburem Mercerem... Ale Mercer, uznał po namyśle, nie jest istotą ludzką, najwyraźniej stanowi archetyp osobowości z gwiazd, narzucony naszej kulturze przez jakiś kosmiczny wzorzec. W każdym razie słyszałem, że ludzie tak mówili — na przykład pan Sloat. A Hannibal Sloat powinien przecież wiedzieć.

Dziwne, że jest taka niekonsekwentna, kiedy mówi o swoim nazwisku, zastanawiał się. Może potrzebuje pomocy. Czy ja potrafię jej w czymś pomóc? — zapytał sam siebie. Specjal, kurzy mózdzek, czy ja coś rozumiem? Nie mogę się ożenić, nie mogę wyemigrować i pył w końcu mnie zabije. Nie mam nic do zaoferowania.

Ubrał się, wyszedł z mieszkania i powędrował schodami do góry na dach, gdzie stał zaparkowany jego zdezelowany, stary hover.

* * *

Godzinę później, prowadząc już ciężarówkę przedsiębiorstwa, odebrał pierwsze w tym dniu szwankujące zwierzę. Elektrycznego kota. Leżał z tyłu w plastikowej, pyloszczelnej klatce transportowej i dyszał nierówno. Można niemal pomyśleć, że jest

prawdziwy, zauważył Isidore, wracając do Szpitala Zwierząt Van Nessa — niewielkiego przedsiębiorstwa o starannie wybranej, celowo mylącej nazwie, które ledwo wiązało koniec z końcem w bezwzględnie współzawodniczącym ze sobą świecie usług remontowych pseudozwierząt.

Cierpiący kot jęknął.

Ojej, powiedział do siebie Isidore. Miauczy, jakby rzeczywiście zdychał. Może jego obliczony na dziesięć lat akumulator ma zwarcie i wszystkie obwody przepalają się jeden po drugim. Poważna awaria. Milt Borogrove, technik Szpitala Zwierząt Van Nessa, będzie miał pełne ręce roboty. A ja nie podałem właścicielowi kosztorysu, pomyślał ponuro Isidore. Facet po prostu rzucił mi kota, mówiąc, że w nocy zaczął nawalać, a potem, jak sędzę, wystartował do pracy. W każdym razie jakakolwiek wymiana słów nagle się urwała — właściciel kota wzbił się z rykiem w niebo swoim nowiutkim, robionym na zamówienie hoverze. A był to zupełnie nowy klient.

Isidore powiedział do kota:

— Czy zdołasz wytrzymać do warsztatu? — Kot w dalszym ciągu popiskiwał cicho.
— Po drodze doładuję ci akumulator — postanowił Isidore.

Skierował ciężarówkę w stronę najbliższego wolnego dachu i tam zaparkował nie wyłączając silnika. Wczołgał się do tyłu ciężarówki i otworzył plastikową pyłoodporną klatkę transportową. Widok jego białego ubrania i napisu na ciężarówce, dawał pełne złudzenie, że prawdziwy weterynarz udziela pomocy prawdziwemu zwierzęciu.

Elektryczny mechanizm umieszczony pod futrem, sprawiającym wrażenie całkowicie autentycznego, bulgotał i puszczał bąble. Kot miał wizyjne szkliste soczewki i zaciśnięte kurczowo metalowe szczęki. Wmontowane w pseudozwierzęta obwody „chorobowe” nigdy nie przestawały zadziwiać Isidore’a. Konstrukcja, którą obecnie trzymał na kolanach, została zmontowana w taki sposób, że kiedy ulegał uszkodzeniu podstawowy element, całe zwierzę sprawiało wrażenie nie uszkodzonego, ale chorego. Mógłby mnie oszukać, powiedział do siebie Isidore, macając sztuczny brzuch w poszukiwaniu pulpitu kontrolnego (bardzo małego w tej odmianie pseudozwierzęcia) oraz terminalu szybkiego ładowania. Nie mógł ich znaleźć. Nie mógł również zbyt długo szukać, mechanizm niemal całkowicie przestał funkcjonować. Jeżeli nastąpiło krótkie spięcie, pomyślał, to może powinienem próbować odłączyć jeden z przewodów prowadzących od akumulatora. Wtedy mechanizm się wyłączy, ale uszkodzenie nie będzie się powiększało. A potem w warsztacie Milt naładuje go z powrotem.

Zręcznie przesunął palcami po pseudokościstym grzbiecie. Przewody powinny być w tym właśnie miejscu. Cholernie dobra robota, absolutnie idealna imitacja. Kabli nie dawało się wyczuć przy najdokładniejszym nawet badaniu. To musi być robota Wheelrighta i Carpentera — kosztowały dużo, ale natychmiast rozpoznawało się doskonałą jakość.

Poddał się. Fałszywy kot przestał działać. Najwidoczniej spięcie, jeżeli właśnie spowodowało uszkodzenie, zniszczyło zasilanie i podstawowe serwomechanizmy. Naprawa będzie kosztować mnóstwo pieniędzy, pomyślał pesymistycznie. No cóż, pewnie zwierzakowi nie robiono profilaktycznego czyszczenia i smarowania trzy razy do roku. Na tym wszystko polega. Właściciel będzie miał nauczkę — i to bolesną.

Wrócił na fotel kierowcy, ustawił stery na wznoszenie, wzbił się znowu w powietrze i podjął lot w stronę warsztatu naprawczego.

W każdym razie nie musiał już słuchać szarpiących nerwy pojękiwań produktu, mógł się rozluźnić. Ciekawe, pomyślał, chociaż wiem, że to imitacja dźwięków wydawana przez pseudozwierzę, w którym przepalają się serwomechanizmy i zasilanie, ale jednak czuję skurcz żołądka. Chciałbym, pomyślał z bólem, znaleźć jakąś inną pracę. Gdybym nie oblał testu na inteligencję, nie musiałbym pełnić tych paskudnych obowiązków i znosić towarzyszących im bolesnych przeżyć emocjonalnych. Z drugiej jednak strony te syntetyczne cierpienia pseudozwierząt zupełnie nie przeszkadzały Miltowi Borogrove ani Hannibalowi Sloatowi. Może więc wszystko tkwi we mnie, powiedział do siebie John Isidore. Może kiedy spadasz w dół po drabinie ewolucji tak jak ja, kiedy toniesz w świecie grobów, ponieważ jesteś specjalem... No cóż, lepiej dać sobie spokój z takimi rozważaniami. Najbardziej przygnębiały go chwile, kiedy porównywał swoje obecne możliwości umysłowe z tymi, które posiadał poprzednio. Każdego dnia jego inteligencja i siły witalne ulegały degradacji. On i i tysiące innych specjali na całej Ziemi, wszyscy podążali w stronę stosu popiołów. Zamieniali się w żywy chłam.

Żeby zapewnić sobie towarzystwo, włączył radio w ciężarówce i nastawił je na słuchowisko Przyjaznego Bustera, które podobnie jak wersja telewizyjna trwało przez pełne dwadzieścia trzy gorące godziny na dobę... Podczas pozostałej godziny emitowano religijny sygnał zakończenia programu, dziesięć minut ciszy i znowu religijny sygnał rozpoczęcia programu.

— ... cieszę się, że znowu jesteś w naszej audycji — mówił właśnie Przyjazny Buster. — Poczekaj, Amando, minęły całe dwa dni od chwili, kiedy cię odwiedziliśmy. Zaczęłaś już kręcić jakiś nowy film?

— Cóż, miałam fczoraj pójść ma zdjęcia, ale chcieli, szebym saczela o siódmej...

— Siódmej rano? — wtrącił się Przyjazny Buster.

— Tak, masz rasję, Buuster, to miała być szósta, ha, ha! — Amanda Werner roześmiała się swoim słynnym śmiechem, równie często naśladowanym jak śmiech Bustera. Amanda Werner i kilka innych pięknych, eleganckich, o stromych piersiach zagranicznych dam, z nieokreślonych, niezbyt znanych krajów, a także kilku sielankowych tak zwanych humorystów stanowiło jądro wszystkich powtórek Bustera. Kobiety takie jak Amanda Werner nigdy nie grały w filmach, nigdy nie występowały w sztukach. Żyły dziwnym, przepięknym życiem jako goście nie kończących się występów Bustera, pojawiając się, jak to kiedyś obliczył Isidore, przynajmniej przez siedemdziesiąt godzin w tygodniu.

W jaki sposób Busterowi udawało się znaleźć czas na nagranie obu występów — radiowego i telewizyjnego? — zastanawiał się Isidore. A w jaki sposób Amanda Werner znajdowała czas na to, żeby być jego gościem co drugi dzień, miesiąc po miesiącu, rok po roku? W jaki sposób potrafili tak prowadzić rozmowę? Nigdy się nie powtarzali — przynajmniej on tego nie spostrzegł. Ich uwagi zawsze były świeże, dowcipne, zaimprowizowane i spontaniczne. Włosy Amandy lśniły, oczy błyszczały, zęby połyskiwały. Nigdy nie była zmęczona, nigdy nie traciła okazji, aby błyskotliwie odpowiedzieć na nieprzerwany strumień dowcipów, zjadliwych uwag i dykteryjek Bustera. Show Przyjaznego Bustera, transmitowany przez radio i telewizję za pośrednictwem satelitów telekomunikacyjnych na całą Ziemię, docierał również do emigrantów na skolonizowanych planetach. Podejmowano próby nadawania programów aż do Proximy na wypadek, gdyby kolonizacja ludzka sięgnęła aż tak daleko. Kiedy „Salander 3” dotrze do celu, podróżujący nim ludzie spotkają tam już oczekującego na nich Przyjaznego Bustera. I na pewno się ucieszą.

Jednak jedna konkretna rzecz w Przyjaznym Busterze drażniła Johna Isidore. Delikatnie, w niemal niedostrzegalny sposób Buster wyśmiewał skrzynki empatyczne. Nie jeden raz, ale wielokrotnie. W gruncie rzeczy robił to również w tej chwili.

— ... żaden kamień mnie nie trafia — trajkotał Buster do Amandy Werner. — A jeżeli przejdę na drugą stronę góry, chcę, żeby czekało tam na mnie parę butelek Budweisera! — Publiczność w studiu roześmiała się i Isidore usłyszał lekkie oklaski. — I stamtąd wygłoszę moje starannie udokumentowane wystąpienie, wystąpienie, które usłyszycie dokładnie za dziesięć godzin!

— I ja tesz, kochanie! — powiedziała na wydechu Amanda. — Weś mnie se sobą! Pójtę i kiedy pętą szuć w ciepie kamieniami, osłonię cię. — Publiczność znowu ryknęła śmiechem, a John Isidore poczuł zmieszanie i ogarniającą go bezsilną wściekłość, sączące się przez skórę na karku. Dlaczego Przyjazny Buster wciąż kpi z merceryzmu? Nikomu innemu zdawał się nie przeszkadzać, ONZ nawet chyba go pochwałała. Amerykańska i sowiecka policja oświadczyły publicznie, że merceryzm zmniejszył przestępczość, powodując większe zainteresowanie obywateli problemami sąsiadów. Sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych Titus Corning kilkakrotnie stwierdził, że ludzkość potrzebuje więcej empatii. Może Buster jest zazdrosny, doszedł do wniosku Isidore. Jasne, to mogłoby wszystko wyjaśnić — on i Wilbur Mercer współzawodniczą ze sobą. Ale o co?

O rząd dusz, uznał Isidore. Walczą o kontrolę nad naszymi psychikami. Z jednej strony skrzynka empatyczna, żarty i kpiny Bustera z drugiej. Muszę powiedzieć to Hannibalowi Sloatowi, postanowił. Zapytać go, czy to prawda. On na pewno będzie wiedział.

* * *

Kiedy zaparkował swoją ciężarówkę na dachu Szpitala Zwierząt Van Nessa, szybko zaniósł plastikową klatkę z nieruchomym pseudokotem na dół, do biura pracodawcy. Kiedy wszedł, pan Sloat podniósł wzrok znad kartek inwentarza części. Jego szara, pomarszczona twarz drgała jak zmacona woda. Hannibal Sloat był zbyt stary, aby emigrować i choć nie sklasyfikowano go jako specjalą, musiał spędzić resztę życia na Ziemi. Przez minione lata pył przeżerał go, zabarwił szarością rysy jego twarzy, wyszarzał jego myśli. Pod jego wpływem Sloat skurczył się, jego nogi wychudły i poruszały niepewnie. Oglądał świat przez okulary dosłownie pokryte skorupą pyłu. Z jakiegoś powodu Sloat nigdy nie czyścił szkieł. Wyglądało to, jakby się poddał, pogodził z radioaktywnym opadem, który dawno temu zaczął grzebać go pod sobą. Obecnie zaćmił mu już wzrok. W ciągu kilku lat, które jeszcze mu pozostały, zniszczy inne zmysły. Pozostanie jedynie wysoki, ćwierkający głos, aż wreszcie zamilknie i on.

— Co tam masz? — spytał pan Sloat.

— Kot ze zwarcie w zasilaniu. — Isidore postawił klatkę na zasypianym dokumentami biurku szefa.

— Po co mi go pokazujesz? — zdziwił się Sloat. — Zanieś go na dół, do warsztatu Milta. — Jednak po chwili namysłu otworzył klatkę i wyciągnął pseudozwierzę. Kiedyś sam był technikiem remontowym. I to bardzo dobrym.

— Myślę, że Przyjazny Buster i merceryzm walczą o zdobycie kontroli nad naszymi duszami.

— Jeżeli to prawda — odparł Sloat badając kota — to Buster wygrywa.

— Obecnie wygrywa — rzekł Isidore — ale w końcu przegra.

Sloat podniósł głowę i spojrzał na niego.

— Dlaczego?

— Bo Wilbur Mercer wciąż się odnawia. Jest nieśmiertelny. Na szczycie wzgórza zostaje powalony, zapada się do świata grobów, ale potem niezmiennie się podnosi. A my wraz z nim. A więc my również jesteśmy nieśmiertelni. — Czuł się wspaniale, mówiąc tak płynnie. Zazwyczaj w obecności pana Sloata jąkał się.

— Buster też jest nieśmiertelny, podobnie jak Mercer — odparł Sloat. — Nie ma żadnej różnicy.

— W jaki sposób to możliwe? Jest przecież człowiekiem.

— Nie wiem — powiedział Sloat. — Ale to prawda. Choć oczywiście, nigdy tego nie potwierdzą.

— To dlatego Przyjazny Buster może robić czterdziestoosmiodziesiętny show w ciągu jednego dnia?

— Właśnie — przytaknął Sloat.

— A co z Amandą Werner i innymi kobietami?

— Również są nieśmiertelne.

— Czy są wyższą formą życia z innego systemu?

— Nigdy nie byłem w stanie ustalić tego z całą pewnością — powiedział pan Sloat badając wciąż kota. Zdjął pokryte pyłem okulary i bez ich pomocy zaglądał do na wpół otwartego pyszczka. — Tak jak z całą pewnością zrobiłem to w przypadku Wilbura Mercera — zakończył niemal niesłyszalnym głosem. Potem zaklął. Była to wiązanka przekleństw, która w odczuciu Isidore trwała przez pełną minutę. — Ten kot — oznajmił w końcu Sloat — nie jest sztuczny. Wiedziałem, że coś takiego kiedyś się zdarzy. I już nie żyje. — Popatrzył w dół, na kocie zwłoki. I znowu zaklął.

Krępy, dziobaty Milt Borogrove, ubrany w brudny, niebieski fartuch z płótna żaglowego, pojawił się w drzwiach gabinetu.

— Co się stało? — zapytał. Widząc leżącego kota, wszedł do środka i podniósł zwierzę.

— Kurzy mózdzek go przyniósł — powiedział Sloat. Nigdy dotąd nie używał tego określenia przy Isidore.

— Gdyby żył — stwierdził Milt — moglibyśmy go zanieść do weterynarza prawdziwych zwierząt. Ciekawe, ile jest wart. Czy ktoś ma egzemplarz Sidneya?

— Cz-cz-y p-p-pańskie ubezpieczenie n-n-ie o-o-obejmuje t-t-ego? — Isidore zapytał pana Sloata. Czuł, jak dygoczą mu nogi i miał wrażenie, że cały pokój robi się ciemnobrazowy z migoczącymi na jego tle zielonymi plamkami.

— Obejmuje — niemal warknął wreszcie Sloat. — Ale boli mnie sama strata. Strata kolejnej żywej istoty. Czy nie mogłeś się zorientować, Isidore? Czy nie zauważyłeś różnicy?

— Pomyślałem — wykrztusił wreszcie Isidore — że to bardzo dobre wykonanie. Takie dobre, że wprowadziło mnie w błąd. Chodzi o to, że robi wrażenie żywego i przy takim dobrym wykonaniu...

— Nie sądzę, żeby Isidore mógł zauważyć różnicę — wtrącił łagodnym tonem Milt. — Dla niego wszystkie są żywe, nawet pseudozwierzęta. Pewnie próbował go ocalić. Co z nim robiłeś? — zwrócił się do Isidore'a. — Próbowałaś doładować mu akumulator? Albo zlokalizować spięcie?

— T-t-tak — przyznał Isidore.

— Najprawdopodobniej stan był już tak ciężki, że nic by mu nie pomogło — stwierdził Milt. — Daj mu spokój, Han. W jednym ma rację — imitacje zaczynają być cholernie podobne do prawdziwych, zwłaszcza z montowanymi w nowych modelach obwodami chorobowymi. A poza tym żywe zwierzęta umierają, na tym polega ryzyko związane z ich posiadaniem. Nie jesteśmy do tego przyzwyczajeni, bo widzimy tylko imitacje.

— Przeklęta strata — powtórzył Sloat.

— Zgodnie z M-m-mercerem — zauważył Isidore — ź-ź-życie zawsze powraca. Dla z-z-zwierząt cykl również się z-z-zamyka. Chodzi mi o to, że wszyscy wspinamy się wraz z nim, umieramy...

— Powiedz to facetowi, do którego należał kot — odparł pan Sloat.

Isidore nie był pewien, czy szef nie żartuje i zapytał:

— Chce pan, żebym to zrobił? Ale to pan zawsze prowadzi wideorozmowy. — Bał się wideofonów i przekonał się, że rozmowa, zwłaszcza z kimś obcym, jest dla niego absolutnie niewykonalnym zadaniem. Pan Sloat oczywiście o tym wiedział.

— Nie zmuszaj go — poprosił Milt. — Ja to zrobię. — Wyciągnął rękę w stronę słuchawki. — Jaki to numer?

— Mam go gdzieś tutaj — Isidore zaczął grzebać w kieszeniach roboczego kitła.

— Chcę, żeby kurzy mózdzek to załatwił — powtórzył Sloat.

— N-n-nie mogę rozmawiać przez wideofon — zaprotestował Isidore, czując jak łomocze mu serce. — Dlatego, że jestem kudłaty, brzydki, zgarbiony, szczerbaty i siwy. Choruję na chorobę radiacyjną. Myślę, że niedługo umrę.

Milt uśmiechnął się i zwrócił do Sloata.

— Przypuszczam, że gdybym się czuł tak jak on, również nie byłbym w stanie korzystać z wideofonu. No, Isidore, jeżeli nie dasz mi numeru właściciela kota, nie będę mógł zadzwonić i sam będziesz musiał to zrobić. — Wyciągnął przyjaznym gestem rękę.

— Zadzwoni kurzy mózdzek — powiedział zdecydowanym głosem Sloat — albo wylatuje z pracy. — Nie patrzył ani na Isidore'a ani na Milta, spoglądał nieruchomym wzrokiem prosto przed siebie.

— Dajże spokój — zaprotestował Milt.

— N-n-nie lubię, jak się m-m-mnie n-n-nazywa ku-u-rzym mózdzkiem — zaprotestował Isidore. — P-p-przecież p-p-pył również panu bardzo zaszkodził. Choć nie uszkodził p-p-pańskiego mózgu, jak w m-m-moim przypadku. — Jestem zwolniony, uświadomił sobie. Nie mogę rozmawiać przez wideofon. A potem przypomniał sobie nagle, że właściciel kota wystartował do pracy. Nie będzie nikogo w domu. — Ch-chyba mogę do niego zadzwonić — powiedział, znajdując wreszcie kwitek z zapisanymi na nim danymi.

— Widzisz? — zwrócił się pan Sloat do Milta. — Może to zrobić, jeżeli musi.

Isidore usiadł przy wideofonie, wziął do ręki słuchawkę i wybrał numer.

— Tak — stwierdził Milt — ale nie powinien być do tego zmuszany. I ma rację. Pył rzeczywiście ci zaszkodził. Jesteś niemal ślepy i za parę lat nie będziesz słyszał.

— Ciebie też dopadło, Borogrove. Skórę masz koloru psiego łajna.

Na wideoekranie pojawiła się twarz zadbanej kobiety środkowoeuropejskiego typu, o włosach zaczesanych w twardy kok.

— Tak? — spytała.

— P-p-pani Pilsen? — spytał Isidore, czując narastające w nim przerażenie. Rzecz jasna, nie pomyślał o tym, że właściciel kota może mieć żonę, która oczywiście będzie w domu. — Chciałbym p-p-porozmawiać z panią o państwa k-k-k-k-k... — Przerwał, pocierając nerwowo podbródek. — O państwa kocie.

— Ach tak, to pan zabierał Horacego — stwierdziła pani Pilsen. — Czy ma zapalenie płuc? Mąż podejrzewał właśnie to.

— Kot państwa umarł — oznajmił Isidore.

— Och nie, dobry Boże.

— Damy państwu drugiego — powiedział. — Jesteśmy ubezpieczeni. — Zerknął na pana Sloata, wyglądało na to, że się zgadza. — Właściciel naszej firmy, pan Hannibal Sloat... — Zaciął się. — Osobiście...

— Nie — rzucił Sloat. — Damy im czek. Cena według katalogu Sidneya.

— ... osobiście wybierze dla państwa zastępczego kota — usłyszał swój głos Isidore. Zaczął rozmowę, której nie był w stanie przeprowadzić, a teraz zorientował się, że nie może jej zakończyć. To, co mówił, rozwijało się według jakiejś swojej wewnętrznej logiki, której nie był w stanie powstrzymać i wszystko musiało toczyć się do własnego zakończenia. Pan Sloat i Milt Borogrove patrzyli na niego w osłupieniu, on zaś mówił dalej. — Proszę określić, jakiego kota państwo sobie życzy. Maść, płęć, rasa: czy manxański, perski, abisyński...

— Horacy nie żyje — powiedziała pani Pilsen.

— Miał zapalenie płuc — stwierdził Isidore. — Zmarł w czasie przejazdu do szpitala. Nasz starszy lekarz doktor Hannibal Sloat wyraził przekonanie, że stan w jakim się znajdował, wykluczał możliwości ratunku. Ale czy to, że możemy dać państwu zastępstwo, pani Pilsen, nie jest szczęśliwą okolicznością? Czy nie mam racji?

— Istniał tylko jeden taki kot jak Horacy — powiedziała pani Pilsen ze łzami w oczach. — Kiedy był jeszcze kociakiem, często przychodził i patrzył tak, jakby chciał zadać jakieś pytanie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co to było za pytanie. Może teraz zna już na nie odpowiedź. — Znowu zaczęła płakać. — Myślę, że kiedyś wszyscy je poznamy.

Nagle Isidore poczuł przyływ natchnienia.

— A co by pani powiedziała na idealną, elektryczną kopię państwa kota? Możemy zdobyć wspaniały produkt Wheelrighta i Carpentera, który w każdym szczególe będzie wiernie odtwarzał dawne zwierzę w niezmienionej...

— Och, to obrzydliwe! — zaprotestowała pani Pilsen. — O czym pan mówi? Proszę, broń Boże nie proponować tego mojemu mężowi. Niech pan nawet nie mówi o tym, bo on się wścieknie. Kochał Horacego bardziej niż jakiegokolwiek kota, którego mieliśmy do tej pory, a miał koty od dziecka.

Milt odebrał słuchawkę od Isidore'a i odezwał się do kobiety.

— Możemy dać pani czek w wysokości wynikającej z wyceny Sidneya albo, jak sugerował pan Isidore, możemy wybrać dla państwa innego kota. Bardzo nam przykro, że kot państwa umarł, ale jak już wspomniał pan Isidore, zwierzę miało zapalenie płuc, które najczęściej okazuje się śmiertelne. — Mówił z profesjonalną płynnością. Spośród trzech osób pracujących w Szpitalu Zwierząt Van Nessa Milt najlepiej załatwiał służbowe rozmowy telefoniczne.

— Nie mogę powiedzieć o tym mężowi — stwierdziła pani Pilsen.

— W porządku, proszę pani — rzekł Milt i skrzywił się lekko. — Zadzwonimy do niego. Czy mogłaby nam pani podać telefon do jego pracy? — Próbował namacać papier i ołówek, który podsunął mu pan Sloat.

— Proszę posłuchać — powiedziała pani Pilsen, która wreszcie zdołała się chyba pozbierać. — Może ten drugi pan miał rację. Może powinnam zamówić elektryczny zamiennik Horacego, ale by Ed nic nie wiedział. Czy może to być tak wierna kopia, że mój mąż nie zauważy różnicy?

— Jeżeli pani sobie tego życzy — z powątpiewaniem w głosie odparł Milt. — Ale z doświadczenia wiemy, że właściciela zwierzęcia nigdy nie da się oszukać. Jedynie przypadkowych obserwatorów, takich jak sąsiedzi. Widzi pani, kiedy podejdzie się rzeczywiście blisko do pseudozwierzęcia...

— Ed nigdy nie zbliża się do Horacego, mimo że go kocha. To ja zajmuję się jego potrzebami, takimi jak skrzynka z piaskiem. Sądzę, że mogłabym spróbować z pseudozwierzęciem, a jeżeli się nie uda, wtedy znajdziecie nam panowie prawdziwego, który zastąpiłby Horacego. Nie chcę tylko, żeby mój mąż wiedział. Myślę, że nie przeżyłby tego. Dlatego nigdy nie zbliżał się do Horacego, obawiał się. A kiedy Horacy zachorował — jak pan powiedział na zapalenie płuc — Ed wpadł w panikę i nie był w stanie stawić temu czoła. Dlatego tak długo czekaliśmy, zanim was wezwaliśmy. Zbyt długo... Wiedziałam, zanim panowie zadzwoniliście. — Skinęła głową. Zdołała już opanować łzy. — Ile czasu to zajmie?

Milt zastanowił się przez chwilę.

— Możemy przygotować kopię w ciągu dziesięciu dni. Dostarczymy w dzień, gdy pani mąż będzie w pracy. — Zakończył rozmowę, pożegnał się i odłożył słuchawkę. — Zorientuje się — powiedział do pana Sloata. — W ciągu pięciu sekund. Ale ona tego chce.

— Właściciele, którzy kochają swoje zwierzęta — stwierdził posępnie pan Sloat — w takich sytuacjach zupełnie się załamują. Jestem zadowolony, że zazwyczaj nie mamy do czynienia z prawdziwymi zwierzętami. Czy uświadamiacie sobie, że weterynarze prawdziwych zwierząt muszą ciągle przeprowadzać podobne rozmowy? — Popatrzył uważnie na Johna. — Na swój sposób wcale nie jesteś taki głupi, Isidore. Załatwiłeś to zupełnie dobrze. Mimo że Milt musiał w pewnym momencie przejąć sprawę.

— Doskonale dawał sobie radę — stwierdził Milt. — Boże, ależ to było trudne. — Podniósł martwego Horacego. — Wezmę go na dół, do warsztatu. Han, zadzwoń do Wheelrighta i Carpentera i wezwij ich konstruktorów, żeby to zmierzyl i sfotografowali. Nie pozwolę im zabrać ciała do warsztatów. Chcę sam porównać kopię.

— Myślę, że powinien porozmawiać z nimi Isidore — postanowił pan Sloat. — Wszystko zaczął i po tym, jak poradził sobie z panią Pilsen, chyba da sobie radę z Wheelrightem i Carpenterem.

— Po prostu nie pozwól im zabrać Horacego — rzekł Milt. — Będą chcieli tak zrobić, bo to cholernie ułatwi im pracę. Bądź stanowczy.

— Aha — odparł Isidore, mrugając. — Dobra. Może powinienem zadzwonić do nich od razu, zanim zaczną się rozkładać. — Czuł ogromne uniesienie.

Rozdział VIII

Po zaparkowaniu podrasowanego, policyjnego hovera na dachu Pałacu Sprawiedliwości w San Francisco na Lombard Street, łowca Rick Deckard z walizką w ręku zszedł do biura Harry'ego Bryanta.

— Strasznie szybko wróciłeś — oznajmił jego przełożony, odchyłając się w fotelu i biorąc szczyptę tabaki „Szczególna Nr 1”.

— Mam to, po co mnie pan wysłał — Rick usiadł przed biurkiem. Postawił walizkę na podłodze. Jestem zmęczony, uświadomił sobie. Teraz, kiedy powrócił, ta myśl zaczęła opanowywać go coraz silniej. Zastanawiał się, czy będzie w stanie zorganizować się w wystarczającym stopniu, żeby podjąć czekającą go pracę.

— Jak się ma Dave? — zapytał. — Wystarczająco dobrze, żebyśmy mogli z nim porozmawiać? Chciałbym to zrobić, zanim zabiorę się za pierwszego andka.

— Najpierw zajmiesz się Polokovem — stwierdził Bryant. — Tym, który zlaserował Dave'ego. Lepiej będzie załatwić go od razu, bo wie, że mamy go w spisie.

— Zanim rozmawiam z Dave'em?

Bryant sięgnął po arkusz żółtawej przebitki. Była to rozmyta trzecia czy czwarta kopia.

— Polokov pracował dla miasta jako zbieracz śmieci.

— Czy do tego nie zatrudnia się wyłącznie specjali?

— Polokov udaje specjalą, mikrocefala. Jest bardzo zdegenerowany — albo symuluje. W ten sposób udało mu się nabrać Dave'ego. Polokov najwidoczniej do tego stopnia wygląda i zachowuje się jak mikrocefal, że Dave dał się zaskoczyć. Czy jesteś teraz pewien skali Voigta-Kampffa? Musisz być absolutnie pewien po tym, co się zdarzyło w Seattle, tym...

— Jestem — odparł Rick krótko. Nie wdawał się w szczegóły.

— Wierzę ci na słowo — stwierdził Bryant. — Ale nie może być nawet najmniejszego potknięcia...

— W polowaniu na andki nigdy nie mogło być potknięć. W tym przypadku jest tak samo.

— Nexus-6 jest inny.

— Już znalazłem pierwszego — rzekł Rick. — A Dave znalazł dwa. Trzy, jeżeli liczyć Polokova. Dobra, dzisiaj usunę Polokova, a wieczorem albo jutro porozmawiam z Dave'em.

Sięgnął po zamazaną kopię karty informacyjnej androida Polokova.

— Jeszcze jedna sprawa — dodał Bryant. — Sowiecki gliniarz z WOP tu jedzie. Kiedy byłeś w Seattle, zatelefonował do mnie. Jest na pokładzie rakiety Aerołotu, która za mniej więcej godzinę wyląduje na komunalnym lotnisku. Nazywa się Sandor Kadalyi.

— Czego chce? — Gliniarze z WOP bardzo rzadko, jeżeli w ogóle, pojawiali się w San Francisco.

— WOP jest do tego stopnia zainteresowana nowymi typami Nexusa-6, że chcą, aby ich człowiek ci towarzyszył. Jako obserwator. A jeżeli będzie w stanie, również jako pomocnik. Od ciebie zależy, czy i kiedy go wykorzystasz. Ale wyraziłem już zgodę, żeby się do ciebie przyłączył.

— A co z nagrodą? — zapytał Rick.

— Nie będziesz musiał się nią dzielić — wyjaśnił Bryant uśmiechając się krzywo.

— Po prostu nie uważałbym tego za uczciwe. — Pod żadnym pozorem nie miał zamiaru dzielić się swoją zdobyczą z typem z WOP. Przeczytał uważnie kartę informacyjną Polokova. Był to opis mężczyzny albo raczej andka, a także jego adres i miejsce pracy: Zakład Oczyszczania Strefy Zatoki, którego biura mieściły się w Geary.

— Chcesz poczekać z usunięciem andka do chwili, kiedy sowiecki policjant przyjedzie tu, żeby ci pomóc? — spytał Bryant.

Rick najeżył się.

— Zawsze pracowałem sam. Oczywiście, decyzja należy do pana, postąpię tak, jak pan mi poleci. Ale najchętniej zabrałbym się za Polokova natychmiast, nie czekając na przyjazd Kadalyiego.

— A więc załatw to sam — postanowił Bryant. — A przy następnym, którym będzie panna Luba Luft — masz tu również jej kartę informacyjną — możesz wykorzystać Kadalyiego.

Rick wepchnął przebitkowe kopie do walizeczki, wyszedł z gabinetu przełożonego i ponownie skierował się na dach, do zaparkowanego hovera. A teraz złożmy wizytę panu Polokowowi, pomyślał i poklepał pistolet laserowy.

* * *

Podejmując pierwszą próbę odnalezienia androida Polokova, Rick pojechał do biur Zakładu Oczyszczania Strefy Zatoki.

— Szukam jednego z waszych pracowników — oznajmił surowej, siwowłosej kobiecie obsługującej centralę telefoniczną. Biuro Zakładu zrobiło na nim wrażenie — było

duże, nowocześnie urządzone i zatrudniano w nim wielu wysokiej klasy wyspecjalizowanych urzędników. Grube dywany i kosztowne biurka z prawdziwego drewna przypominały mu, że zbieranie i usuwanie odpadów od czasów wojny stało się jednym z najważniejszych przemysłów na Ziemi. Cała planeta zaczynała się rozpadać, przekształcać w śmietnisko i aby nadawała się do zamieszkania przez pozostałą na niej ludność, należało odpadki od czasu do czasu wywozić... W przeciwnym razie, jak lubił powtarzać Przyjazny Buster, Ziemia nie umrze pod warstwą pyłu radioaktywnego, ale chłamu.

— Tym zajmuje się pan Ackers — poinformowała go kobieta. — To kierownik kadr. — Wskazała na imponujących rozmiarów, ale wykonane z imitacji dębu biurko, przy którym siedział malutki, pedantyczny mężczyzna w okularach, pogrążony bez reszty w swojej papierkowej pracy.

Rick okazał swój policyjny identyfikator.

— Gdzie w chwili obecnej znajduje się wasz pracownik Polokov? W pracy czy w domu?

Pan Ackers niechętnie sięgnął do dokumentów, przestudiował je i odparł:

— Powinien być w pracy. Zgniatą hovery w zakładach Daly City i wrzuca je do Zatok. Ale... — Kadrowiec zapoznał się z kolejnym dokumentem, potem podniósł słuchawkę wideofonu i połączył się z kimś w tym samym budynku.

— Nie ma go — powiedział do Ricka odkładając słuchawkę po skończeniu rozmowy. — Polokov nie przyszedł dziś do pracy. Bez powodu. Co on takiego zrobił, funkcjonariuszu?

— Gdyby się pokazał — odparł Rick — niech mu pan nie mówi, że byłem tu i pytałem o niego. Rozumie pan?

— Tak, rozumiem — odparł Ackers niechętnie, jakby urażony, że zlekceważono jego głęboką wiedzę w zakresie procedury policyjnej.

Podrasowanym hoverem wydziału Rick poleciał następnie do budynku w Tenderloin, gdzie mieszkał Polokov. Nigdy go nie dopadniemy, powiedział w duchu. Bryant i Holden czekali zbyt długo. Zamiast wysłać mnie do Seattle, Bryant powinien pozwolić mi pójść tropem Polokova. Najlepiej, gdyby zrobił to jeszcze ubiegłej nocy, natychmiast po tym, jak oberwał Dave Holden.

Cóż za ponure miejsce, zauważył idąc po dachu do windy. Porzucone pomieszczenia zwierząt, pokryte wielomiesięczną warstwą kurzu. A w jednej z klatek już nie działające pseudozwierzę — kurczak. Zjechał windą na piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie zajmowane przez Polokova i zobaczył nieoświetlony, przypominający podziemną jaskinię korytarz. Promieniem policyjnej latarki oświetlił korytarz i ponownie spojrzął na przebitkową kopię. Polokov został poddany testowi Voigta-Kampffa. A więc można opuścić tę część procedury i od razu zabrać się do likwidacji androida.

Lepiej byłoby dostać go z tego miejsca, stwierdził. Postawił walizkę z wyposażeniem, otworzył ją po omacku, wyjął nadajnik rozproszonych fal Penfilda, wcisnął klawisz ustawiający częstotliwość katalepsji. Sam chroniony był przed rozproszonym promieniowaniem skierowaną na niego bezpośrednio falą niwelującą, którą emitował metalowy korpus nadajnika.

Teraz wszyscy są zamrożeni na sztywno, powiedział do siebie, wyłączając nadajnik. Wszyscy w okolicy — ludzie i andki. Nic mi nie grozi, muszę tylko wejść i zlaserować go. Zakładając, oczywiście, że jest w mieszkaniu, a to mało prawdopodobne.

Użył uniwersalnego klucza, który analizował i otwierał wszystkie rodzaje znanych zamków i wszedł do mieszkania Polokova z pistoletem laserowym w rękę.

Androida nie było. Tylko na wpół rozpadające się umeblowanie, miejsce opanowane przez chłam i rozpad. Żadnych osobistych przedmiotów. To, co przywitało tu Ricka, składało się z przedmiotów, które Polokov odziedziczył zajmując te pomieszczenia. Kiedy będzie je opuszczać, pozostawi wszystko następnemu lokatorowi — jeżeli taki kiedykolwiek się zjawi.

Wiedziałem, powiedział w myśli. No cóż, w ten sposób straciłem pierwszy tysiąc dolarów nagrody. Andek najprawdopodobniej zwiął gdzieś na Antarktydę. Poza moją jurysdykcję. Inny łowca, z innego wydziału policji, usunie Polokova i odbierze nagrodę. Chyba muszę się zająć andkami, których jeszcze nie ostrzeżono. Na przykład Lubą Luft.

Wrócił na dach, do hovera i połączył się telefonicznie z Harrym Bryantem.

— Z Polokovem mi się nie udało. Najprawdopodobniej wyjechał natychmiast po zlaserowaniu Dave'ego. — Popatrzył na zegarek. — Czy chce pan, żebym pojechał po Kadalyiego na lotnisko? Zyskalibyśmy na czasie, a bardzo bym chciał zająć się panną Luft. — Miał już rozłożoną przed sobą jej kartę informacyjną i czytał ją uważnie.

— Doskonały pomysł — oznajmił Bryant. — Ale pan Kadalyi już tu jest. Samolot Aeroflotu, którym przyleciał, wylądował przed czasem — podobno jak zwykle. Chwileczkę. — Niewidzialna narada. — Poleci i spotka się z tobą tam, gdzie jesteś — oznajmił Bryant wracając na wizję. — A tymczasem przeczytaj mi o panie Luft.

— Śpiewaczka operowa. Rzekomo z Niemiec. Obecnie na kontrakcie w zespole Opery w San Francisco. — Pokiwał z namysłem głową, analizując informacje zawarte na karcie. — Musi mieć dobry głos, skoro tak szybko udało się jej nawiązać kontakty. W porządku, poczekam tu na Kadalyiego. — Określił Bryantowi miejsce, w którym się znajduje i wyłączył się.

Będę udawał miłośnika opery, postanowił Rick po zapoznaniu się z pozostałymi danymi. Szczególnie chciałbym zobaczyć ją w partii Donny Anny z „Don Giovanniego”. W moich prywatnych zbiorach mam taśmy takich dawnych sław jak Elisabeth Schwarzkopf, Lotte Lehmann i Lisa Della Casa. Nie zabraknie nam tematów do rozmowy w czasie, gdy będę ustawiał aparaturę Voigta-Kampffa.

Rozległ się sygnał samochodowego wideofonu. Podniósł słuchawkę.

Odezwał się telefonista z Wydziału Policji:

— Panie Deckard, telefon do pana z Seattle. Pan Bryant powiedział, żeby go przełączyć. Z Korporacji Rosena.

— Dobrze — odparł Rick. Czego chcą? — zastanawiał się. Jak już zdołał się zorientować, Rosenowie przynosili zawsze złe nowiny. I najprawdopodobniej to się nie zmieni, bez względu, jakie mają zamiary.

Na małym ekranie pojawiła się twarz Racheli Rosen.

— Witam, funkcjonariuszu Deckard. — Zwróciło jego uwagę, że ton głosu Rachel brzmiał ugodowo. — Czy jest pan bardzo zajęty, czy też może pan ze mną porozmawiać?

— Proszę mówić — odparł.

— Omawialiśmy w spółce pańską sytuację związaną ze zbiegłymi androidami typu Nexus-6 i ponieważ znamy je bardzo dobrze, uznaliśmy, że będzie miał pan więcej szans, jeżeli jedno z nas zgodzi się z panem współpracować.

— W jaki sposób?

— No cóż, chcielibyśmy, żeby ktoś panu towarzyszył, kiedy zaczniesz ich pan szukać.

— Dlaczego? Co to da?

— Jeżeli z Nexusem-6 nawiąże kontakt człowiek, może to obudzić jego czujność — oznajmiła Rachel. — Ale jeśli dokona tego inny Nexus-6...

— Mówisz o sobie.

— Tak — skinęła głową. Twarz miała poważną.

— Otrzymałem aż za wiele pomocy od was.

— Ale ja naprawdę sądzę, że pan mnie potrzebuje.

— Wątpię. Przemyślę to i dam znać. — W jakiejś odległej, niesprecyzowanej przyszłości, powiedział w duchu. Albo najprawdopodobniej nigdy. Jeszcze tylko tego mi brakuje — Rachela Rosen wyskakująca na każdym kroku jak diabełek z pudełka.

— Mówi pan tak, żeby mnie zbyć — stwierdziła. — Nigdy pan do mnie nie zadzwoni. Nie orientuje się pan, jak sprawny jest zbiegły Nexus-6. Wykonanie tego zadania okaże się dla pana po prostu niemożliwe. Uważamy, że jesteśmy to panu winni z powodu... Wie pan. Z powodu tego, co zrobiliśmy.

— Zastanowię się. — Zaczął odkładać słuchawkę.

— Beze mnie — dodała Rachel — jeden z nich okaże się szybszy od pana.

— Do widzenia — powiedział i odłożył słuchawkę. Co to za świat, zadał sobie pytanie, w którym android telefonuje do łowcy i oferuje mu pomoc. Zadzwoił do centrali policyjnej.

— Proszę nie łączyć ze mną żadnych rozmów z Seattle — polecił.

— Tak jest, panie Deckard. Czy pan Kadalyi dotarł już do pana?

— Ciągłe na niego czekam. Lepiej niech się pośpieszy, bo nie mam zamiaru zbyt długo tu siedzieć. — Znowu odłożył słuchawkę.

Gdy zaczął ponownie czytać kartę informacyjną Luby Luft, w odległości kilku jardów wylądowała na dachu taksówka. Wsiadł z niej rumiany mężczyzna około pięćdziesięciu pięciu lat, o wyglądzie Świętego Mikołaja, ubrany w ciężki, solidnie wyglądający płaszcz wyraźnie rosyjskiego kroju. Uśmiechając się, podszedł z wyciągniętą ręką do maszyny Ricka.

— Pan Deckard? — spytał mężczyzna. Miał bardzo słowiańską wymowę. — Łowca z Wydziału Policji San Francisco? — Pusta taksówka wystartowała i Rosjanin odprowadził ją roztargnionym spojrzeniem. — Jestem Sandor Kadalyi — oznajmił. Otworzył drzwi i wcisnął się obok Ricka.

Kiedy Deckard witał się z Kadalyim, zauważył u przedstawiciela WOP niezwykle typ pistoletu laserowego, wzór jakiego nigdy jeszcze nie widział.

— Ach, to? — powiedział Kadalyi. — Ciekawy, prawda? — Wyciągnął broń z kabury na pasku. — Dostałem go na Marsie.

— Myślałem, że znam każdą produkowaną ręczną broń — rzekł Rick. — Nawet te, które są wytwarzane i używane wyłącznie w koloniach.

— Robimy je sami — odparł Kadalyi, uśmiechnięty jak słowiański Mikołaj. Jego rumiana twarz promieniała dumą. — Funkcjonalna różnica polega na... Proszę, niech go pan weźmie. — Podał pistolet Rickowi, który obejrzał go okiem fachowca o wieloletnim doświadczeniu.

— Na czym polegają funkcjonalne różnice? — spytał Rick. Nie mógł niczego zauważyć.

— Niech pan naciśnie spust.

Rick wycelował w górę, za okno maszyny i nacisnął spust. Nic się nie stało, promień nie pojawił się. Ze zdziwieniem odwrócił się do Kadalyiego.

— Obwód spustowy nie jest podłączony — oznajmił wesoło Kadalyi. — Mam go przy sobie. Widzi pan? — Rozchylił dłoń, pokazując niewielką część. — W pewnych granicach mogę nim również celować. Bez względu na to, w którą stronę skierowana jest broń.

— Pan nie jest Polokovem, ale Kadalyim — powiedział Rick.

— Czy nie chciał pan powiedzieć na odwrót? Sprawia pan wrażenie nieco zmieszanego.

— Chciałem powiedzieć, że jesteś Polokovem, androidem, a nie przedstawicielem sowieckiej policji. — Czubkiem buta Rick wdusił alarmowy przycisk w podłodze maszyny.

— Dlaczego mój pistolet laserowy nie strzela? — zdziwił się Kadalyi-Polokov włączając i wyłączając trzymany w dłoni zminiaturyzowany układ spustowo-celowniczy.

— Fala rozpraszająca — wyjaśnił Rick. — Polaryzuje promień lasera i rozprasza go w wiązkę zwykłego światła.

— W takim razie muszę ci po prostu skrócić twój cieniutki kark. — Android upuścił trzymany element i ze zduszonym rykiem schwycił oburącz Ricka za gardło.

Gdy dłonie androida zamknęły się na jego szyi, Rick wystrzelił ze swego służbowego, staroświeckiego pistoletu, który nosił w kaburze pod pachą. Pocisk magnum kaliber 0.38 cala trafił androida w głowę i rozwalił obudowę mózgu. Sterujący zespół Nexus-6 eksplodował, rozlatując się na drobne odłamki i gwałtowny, wściekły podmuch przeleciał przez wnętrze pojazdu. Wirujące kawałki elektronicznego mózgu opadały jak radioaktywny pył na Ricka. Szczątki usuniętego androida odleciały do tyłu, zderzyły się z drzwiami hovera, odbiły i mocno uderzyły Deckarda. Ze wszystkich sił zaczął spychać z siebie drgające szczątki.

Rozdygotany, sięgnął w końcu po słuchawkę wideofonu i zadzwonił do Pałacu Sprawiedliwości.

— Czy mogę złożyć meldunek? — powiedział. — Powtórzcie Harry'emu Bryantowi, że dostałem Polokova.

— Dostał pan Polokova. Bryant zrozumie, o co chodzi?

— Tak — odparł Rick i odłożył słuchawkę. Chryste, niewiele brakowało, pomyślał. Chyba musiałem za mocno zareagować na ostrzeżenie Racheli Rosen. Zareagowałem na odwrót i omal mnie to nie zgubiło. Ale dostałem Polokova, pomyślał. Nadnercze stopniowo przestało pompować swoje produkty do krwiobiegu, uderzenia serca zwolniły, stały się normalne, oddech uspokoił się. Ale mimo wszystko Deckard ciągle jeszcze dygotał. Właśnie udało mi się zarobić tysiąc dolarów, uświadomił sobie. A więc było warto. I moje reakcje są szybsze niż Dave'ego Holdena. Choć oczywiście, muszę przyznać, że to, co stało się Dave'emu, najwyraźniej przygotowało mnie psychicznie. Dave nie miał takiego ostrzeżenia.

Znowu wziął słuchawkę i tym razem poprosił o połączenie z domem i Iran. Jednocześnie udało mu się zapalić papierosa. Drżenie rąk zaczęło ustępować.

Na ekranie pojawiła się twarz jego żony, opuchnięta po przewidzianej przez nią sześciogodzinnej pełnej samooskarżeń depresji.

— Och, hallo Rick.

— Co się stało z 594, które wybrałem dla ciebie przed wyjściem? Przyjemne uświadomienie sobie...

— Zmieniłam je. Kiedy tylko wyszedłeś. A czego chciałeś? — W jej głosie zabrzmiały ponure, jęklive tony przygnębienia. — Jestem taka zmęczona, nie pozostał mi nawet cień nadziei, nic. Kiedy myślę o naszym małżeństwie i możliwości, że zostaniesz zabity przez któregoś andka. Czy to chciałeś mi powiedzieć, Rick? Że andek cię dopadł? — Głos Przyjaznego Bustera huczał i wył w tle, zagłuszając jej słowa. Widział jak żona porusza ustami, ale słyszał tylko telewizor.

— Poczekaj — przerwał jej. — Czy mnie słyszysz? Mam coś. Nowy typ androida, z którym najwyraźniej nikt poza mną nie może dać sobie rady. Usunąłem już jednego, a więc zdobyłem na początek tysiąc dolarów. Czy wiesz, ile dostaniemy, kiedy skończę tę robotę?

Iran patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. — Och — powiedziała kiwając głową.

— Jeszcze ci nie powiedziałem! — Teraz jednak nie mógł tego zrobić. Tym razem jej depresja stała się tak głęboka, że nawet go nie słyszała. Choć tak bardzo się starał, miał wrażenie, że mówi w próżnię. — Zobaczymy się wieczorem — skończył z goryczą w głosie i z trzaskiem odłożył słuchawkę. Niech ją diabli, powiedział do siebie. Po co właściwie ryzykuję życiem? Nie obchodzi ją nawet, czy będziemy mieli strusia, nic do niej nie dociera. Szkoda, że nie pozbyłem się jej dwa lata temu, kiedy rozważaliśmy możliwość separacji. Wciąż mogę to zrobić, pomyślał.

Z namysłem pochylił się, zebrał z podłogi wozu zmięte papiery, w tym również informację o Lubie Luft. Nie mam żadnego wsparcia, stwierdził. Większość androidów, które znam, posiada w sobie więcej witalności i chęci życia niż moja żona. Nie może nic mi dać.

Ta konkluzja spowodowała, że pomyślał o Rachel Rosen. Uświadomił sobie, że jej uwaga o sposobie myślenia Nexusa-6 okazała się słuszna. Ponieważ Rachela raczej nie będzie zgłaszała pretensji do nagrody, mógłby skorzystać z jej pomocy.

Potyczka z Kadalyim-Polokovem zmieniła jego punkt widzenia w dość zdecydowany sposób.

Włączył silnik hovera i wystrzelił świecą w niebo, kierując się w stronę starego gmachu opery, gdzie zgodnie z notatkami Dave'ego Holdena mógł o tej porze zastać Lubę Luft.

Teraz zaczął myśleć i o niej. Niektóre kobiece androidy wydawały się zupełnie przystojne, niektóre pociągały go fizycznie i było to dość dziwne uczucie. Intelktualnie zdawał sobie sprawę, że są maszynami, ale mimo wszystko reagował na nie emocjonalnie.

Na przykład Rachel Rosen. Nie, pomyślał, jest zbyt chuda. Ma nieszczególne kształty, zwłaszcza biust. Sylwetka jak u dziecka, płaska i bez wyrazu. Może postarać się o coś lepszego. Ile lat według karty informacyjnej ma Luba Luft? Prowadząc maszynę wyciągnął pomięte notatki i znalazł jej rzekomy wiek. Dwadzieścia osiem. Ocena na podstawie wyglądu, który w przypadku andków był jedynym nadającym się do zastosowania kryterium.

Dobrze, że wiem coś na temat opery, pomyślał Rick. To kolejna moja przewaga nad Dave'em. Jestem lepiej zorientowany w zagadnieniach kulturalnych.

Spróbuję jeszcze z jednym andkiem, zanim poproszę Rachel o pomoc, postanowił. Jeżeli panna Luft okaże się szczególnie trudnym przypadkiem — miał jednak przecucie, że tak się nie stanie, ponieważ to Polokov był agresywnym osobnikiem — inne, nieświadome, że ktoś na nie poluje, będą padały jeden po drugim, trafiane jak kaczuszki na strzelniczy.

Gdy zniżał lot, kierując się w stronę ozdobnego, obszernego dachu opery, śpiewał na głos wiązkę arii z pseudowłoskimi, wymyślanymi na bieżąco słowami. Nawet bez programatora nastroju Penfielda, czuł jak ogarnia go optymistyczny nastrój. I pożądlive, radosne oczekiwanie.

Rozdział IX

W wykonanym ze stali i kamienia gigantycznym wnętrzu brzucha wieloryba, którym był amfiteatr starej opery, odbywała się hałaśliwa, rozlegająca się echem, kiepsko zorganizowana próba. Gdy Rick Deckard wszedł do środka, poznał muzykę — „Czarodziejski flet” Mozarta, ostatnie sceny pierwszego aktu. Mauretańscy niewolnicy — innymi słowy chór — zaczęli swoją pieśń o takt za wcześniej, co zniweczyło prosty rytm magicznych dzwonków.

Cóż za przyjemność, Rick uwielbiał „Czarodziejski flet”. Wszedł na balkon, nikt najwyraźniej nie zwrócił na niego uwagi, i usadowił się wygodnie. Teraz Papageno w swym fantastycznym płaszczu z ptasich piór przyłączył się do Paniny, aby zaśpiewać słowa, które zawsze wyciskały łzy z oczu Ricka.

Cóż, pomyślał Rick, w prawdziwym życiu nie istnieją takie magiczne dzwonki, dzięki którym twój nieprzyjaciel znika bez śladu. Szkoda. A Mozart wkrótce po napisaniu „Czarodziejskiego fletu” zmarł — tuż po trzydziestce — na chorobę nerek. I został pochowany w bezimiennym grobie dla nędzarzy.

Kiedy o tym myślał, zaczął się zastanawiać, czy Mozart miał przeczucie, że jego przyszłość nie istnieje, że już wykorzystał przeznaczoną mu odrobinę czasu. Może ja czuję to również, pomyślał Rick obserwując toczącą się próbę. Próba się skończy, przedstawienie się skończy, śpiewacy umrą, ostatni zapis muzyki zostanie w taki czy inny sposób zniszczony, aż wreszcie zniknie samo nazwisko Mozart i pył zwycięży. Jeżeli nie na tej planecie, to na innej. Możemy przez jakiś czas go unikać. Tak jak andki mogą unikać mnie i istnieć jeszcze nieco dłużej. Ale dopadnę je, a jeżeli nie ja, to jakiś inny łowca. Na swój sposób, uświadomił sobie, jestem częścią niszczącego formę procesu entropii. Korporacja Rosena tworzy, a ja niszczę. Albo przynajmniej tak to mogą odbierać.

Na scenie Papageno i Panina rozpoczęli duet. Przerwał swój wewnętrzny monolog i zaczął słuchać.

Papageno: *Moje dziecię, cóż teraz możemy powiedzieć?*

Panina: *Prawdę. To właśnie powiemy.*

Rick pochylił się do przodu i przyglądał się uważnie Paninie spowitej w ciężkie szaty. Z jej kwefu na ramiona i twarz spływał welon. Sprawdził kartę informacyjną i odchylił się w fotelu zadowolony. A więc widziałem już mojego trzeciego androida typu Nexus-6, uświadomił sobie. To Luba Luft. Trochę to ironiczne, że otrzymała tego typu rolę. Obojętne, jak bardzo żywotny, sprawny i przystojny jest zbiegły android, to jednak nie może powiedzieć prawdy — w każdym razie o sobie.

Luba Luft śpiewała na scenie i Ricka zaskoczyło piękno jej głosu. Można go było porównać nawet do głosów największych sław, które miał w swojej kolekcji historycznych nagrań. Musiał przyznać, że Korporacja Rosena stworzyła dobry produkt. I znowu pomyślał o sobie *sub specie aeternitatis*, jako o niszczycielu formy sprowadzonym w to miejsce przez wszystko, co tu widział i słyszał. Być może, im lepiej ona działa, im lepszą jest śpiewaczką, tym bardziej jestem potrzebny. Gdyby androidy utrzymały się poniżej standardów, były takie jak starożytne q-40 produkowane przez Spółkę Derain, nie powstałby problem i nie byłoby zainteresowania moimi usługami. Ciekawe, kiedy powinienem to zrobić, zadał sobie pytanie. Chyba najszybciej, jak to możliwe. Po zakończeniu próby, kiedy wróci do swojej garderoby.

Po skończeniu aktu przerwano również próbę. Dyrygent oznajmił po angielsku, francusku i niemiecku, że zostanie wznowiona za półtorej godziny, a potem wyszedł. Muzycy pozostawili instrumenty i także opuścili salę. Rick wstał i przeszedł za kulisy, do garderób. Szedł bez pośpiechu za ostatnimi członkami obsady i zastanawiał się. Załatwię wszystko natychmiast, tak będzie najlepiej. Na rozmowę z nią i przeprowadzenie testu poświęcę minimum czasu. Gdy tylko się upewnię — ale nie mógł uzyskać tej pewności, dopóki nie przeprowadzi testu. Może Dave źle ją ocenił, pomyślał. Mam nadzieję. Ale wątpił w to. Instynktownie zadziałał już jego zawodowy zmysł. A jeszcze nigdy go nie zawiódł, przez wszystkie lata, kiedy pracował w wydziale.

Zatrzymał statystę i zapytał o garderobę panny Luft. Mężczyzna ucharakteryzowany i ubrany w kostium egipskiego włócznika wskazał mu drogę. Rick podszedł do drzwi, zobaczył wypisane atramentem na kartoniku słowa: PANNA LUFT PRYWATNE i zastukał.

— Proszę.

Wszedł do środka. Dziewczyna siedziała przy toalecie, trzymając na kolanach wyraźnie zużyty, oprawny w płótno egzemplarz roli. Stawiała tu i ówdzie długopisem znaki. Wciąż miała na sobie kostium sceniczny, zdjęła jedynie kwef i postawiła na półce.

— Tak? — powiedziała, podnosząc wzrok. Sceniczny makijaż powiększył jej oczy. Były olbrzymie, orzechowe i wpatrywały się w niego bez mrugnięcia powieką. — Jak pan widzi, jestem zajęta. — Mówiła po angielsku bez śladu obcego akcentu.

— W porównaniu z Schwarzkopf wypada pani korzystniej — oświadczył Rick.

— Kim pan jest?

W jej głosie rozbrzmiewała pełna chłodu rezerwa — i ten rodzaj chłodu, który tak często spotykał u innych androidów. Zawsze to samo — wspaniały intelekt, zdolność wielkich dokonań, ale również to. Nienawidził tego. Ale również, gdyby zabrakło tej cechy, nie mógłby ich wytropić.

— Jestem z Wydziału Policji San Francisco — oznajmił.

— Och? — Wielkie, pełne wyrazu oczy nie mrugnęły, nie pojawił się w nich błysk żadnego uczucia. — O co panu chodzi? — Dziwne, ale ton jej głosu był nadal bardzo uprzejmy.

Usiadł na krześle i otworzył zamek błyskawiczny walizeczki.

— Przysłano mnie, abym przeprowadził z panią standardowy test profilu osobowości. Zajmie zaledwie kilka minut.

— Czy to konieczne? — Wskazała wielki, oprawny w płótno egzemplarz roli. — Mam jeszcze bardzo dużo do zrobienia. — Teraz zaczęła robić wrażenie zaniepokojonej.

— Konieczne. — Wyjął aparaturę Voigta-Kampffa i zaczął ją regulować.

— Test na inteligencję?

— Nie. Empatię.

— Będę musiała założyć okulary. — Wyciągnęła rękę, żeby otworzyć szufladę toaletki.

— Jeżeli może pani robić znaki w roli bez użycia okularów, może pani również przejść bez nich test. Pokażę pani kilka obrazków i zadam kilka pytań. Poza tym... — Wstał i podszedł do niej. Pochylił się i przycisnął samoprzylepny krążek z siatką czujników do jej mocno umalowanego policzka. — Jeszcze światło — dodał poprawiając kąt padania promienia latarki. — I to wszystko.

— Pan uważa, że jestem androidem, prawda? — Jej głos stawał się niemal niesłyszalny. — Nie jestem androidem. Nie byłam na Marsie. Nigdy nawet nie widziałam androida! — Jej przedłużone rzęsy zatrzepotały mimowolnie. Zobaczył, że próbuje sprawiać wrażenie zupełnie spokojnej. — Czy ma pan informacje, że w tej obsadzie znajduje się android? Bardzo chętnie panu pomogę, a gdybym była androidem, to czy zrobiłabym to chętnie?

— Androida nie obchodzi, co się stanie z innym androidem — powiedział. — Jest to dla nas jedna ze wskazówek.

— W takim razie — stwierdziła panna Luft — pan musi być androidem.

Zaniemówił i wytrzeszczył na nią oczy.

— Bo przecież pańska praca — ciągnęła dalej — polega na ich zabijaniu, prawda? Jest pan kimś, kogo nazywają... — Próbowała sobie przypomnieć.

— Łowcą — wyjaśnił Rick. — Ale nie jestem androidem.

— Jeżeli chodzi o test, który chce pan ze mną przeprowadzić. — Głos jej zaczął stawać się coraz silniejszy. — Czy pan mu się poddał?

— Tak. — Skinął głową. — Dawno temu, kiedy zacząłem pracować w wydziale.

— Może to fałszywa pamięć? Czy androidy nie mają czasami fałszywej pamięci?

— Moi przełożeni znają wynik testu — stwierdził Rick. — To obowiązkowe.

— Może kiedyś był człowiek, który wyglądał jak pan i gdzieś, kiedyś pan go zabił i zajął jego miejsce. A pańscy przełożeni nie wiedzą o tym. — Uśmiechnęła się do niego. Jakby prosząc, żeby się przyznał.

— Zaczniemy test — oznajmił wyjmując arkusze z pytaniami.

— Poddam się testowi — powiedziała Luba Luft — jeżeli pan zrobi to pierwszy.

Znowu popatrzył na nią, oniemiały.

— Czy nie byłoby to uczciwsze? — spytała. — Wtedy mogłabym być pana pewna. Nie wiem, sprawia pan jakieś szczególne, takie obce i twarde wrażenie. — Zadrżała, ale znowu się uśmiechnęła. Z nadzieją.

— Nie byłaby pani w stanie przeprowadzić testu Voigta-Kampffa. Wymaga to dużego doświadczenia. A teraz proszę posłuchać uważnie. Pytania te będą dotyczyły sytuacji towarzyskich, w jakich mogłaby się pani znaleźć. Chcę żeby pani na nie odpowiedziała. I chcę, aby udzieliła pani tych odpowiedzi jak najszybciej. Jednym z rejestrowanych przeze mnie czynników jest możliwe wystąpienie opóźnienia reakcji.

Wybrał pierwsze pytanie.

— Siedzi pani, oglądając telewizję i nagle zauważa pani osę pełzającą po pani przegubie.

Spojrzał na zegarek, odliczając sekundy. Popatrzył również na dwie skale.

— Co to takiego osa? — spytała Luba Luft.

— Latający owad, który żądli.

— Och, jakie to dziwne. — Jej olbrzymie oczy rozszerzyły się z dziecięcym zdziwieniem, jakby podzielono się z nią jakąś podstawową zagadką stworzenia. — To one wciąż istnieją? Nigdy nie widziałam nic takiego.

— Wymarły z powodu pyłu. Czy rzeczywiście nie wie pani, jak wygląda osa? Przecież osy żyły jeszcze po pani urodzeniu. Wyginęły dopiero...

— Proszę mi podać niemiecką nazwę.

Próbował przypomnieć sobie, jak po niemiecku nazywa się osa, ale nie mógł.

— Mówi pani doskonale po angielsku — oznajmił ze złością.

— Mam doskonałą wymowę — poprawiła go. — To konieczne ze względu na rolę. Ze względu na Purcella, Waltona i Vaughan Willams. Ale nie mam zbyt bogatego słownictwa. — Spojrzała na niego figlarnie.

— *Wespe* — powiedział, przypomniawszy sobie wreszcie niemieckie słowo.

— Ach, tak, *eine Wespe*. — Roześmiała się. — A jak brzmiało pytanie? Już je zapomniałam.

— Spróbujmy innego. — W obecnej sytuacji nie sposób już było uzyskać jakąś sensowną odpowiedź. — Ogląda pani w telewizji stary film zrealizowany jeszcze przed wojną. Przedstawiony jest na nim bankiet. Głównym daniem — opuścił pierwszą część pytania — jest gotowany pies nadziewany ryżem.

— Nikt nie zabiłby i nie zjadł psa — odparła Luba Luft. — Przecież jest wart majątek. Ale, jak sądzę, byłby to nieprawdziwy pies, *ersatz*. Prawda? Tyle że one są przecież zrobione z drutów i silników. Nie można ich jeść.

— To było przed wojną — warknął.

— Przed wojną jeszcze się nie urodziłam.

— Ale widziała pani stare filmy w telewizji.

— Czy film był realizowany na Filipinach?

— Dlaczego?

— Bo na Filipinach — odparła Luba Luft — jedzono gotowane psy nadziewane ryżem. Pamiętam, że gdzieś o tym czytałam.

— Chodzi mi o pani odpowiedź — powiedział. — Chcę uzyskać pani społeczną, emocjonalną i moralną reakcję.

— Na film? — zapytała. — Wyłączyłabym go i zaczęłabym oglądać Przyjaznego Bustersa.

— Dlaczego by go pani wyłączyła?

— No cóż — odparła z zapalem. — Któż, u diabła, chciałby oglądać stary film nakręcony na Filipinach? Czy cokolwiek się zdarzyło na Filipinach poza Marszem Śmierci z Bataan i czy miałby pan ochotę to oglądać? — Spojrzała na niego pytająco. Na aparaturze wskazówki tańczyły we wszystkie strony.

Po chwili przerwy powiedział ostrożnie.

— Wynajęła pani domek w górach.

— *Ja*. — Skinęła głową. — Proszę dalej, Słucham.

— Znajduje się on w zielonej jeszcze strefie.

— Przepraszam. — Przyłożyła dłoń do ucha. — Nigdy nie słyszałam takiego określenia.

— Miejsce, w którym rosną jeszcze drzewa i krzewy. Domek utrzymany jest w wiejskim stylu, wykonany z sękatych bali i znajduje się w nim wielki kominek. Na ścianach ktoś rozwiesił stare mapy, grafiki Curriera i Ivesa, a ponad kominkiem umieścił głowę jelenia, pełne poroże byka. Ludzie, z którymi pani się znajduje, podziwiają urządzenie wnętrza i...

— Nie rozumiem słów „Currier”, „Ives” i „urządzenie wnętrza” — powiedziała Luba Luft. Jednak sprawiała wrażenie, że stara się jakoś zrozumieć te określenia. — Chwileczkę. — Podniosła rękę. — Z ryżem, jak pies. Currier to jest to, co dodaje się do ryżu. Po niemiecku to się nazywa curry.

Nie mógł za nic w świecie zrozumieć, czy Luba Luft umyślnie wprowadza ten szum semantyczny. Po chwili zastanowienia postanowił zadać następne pytanie. Cóż jeszcze mu pozostało?

— Umawia się pani z mężczyzną — powiedział. — On zaprasza panią do swojego mieszkania. Kiedy się już tam pani znalazła...

— *O nein* — przerwała mu Luba. — Nie znalazłabym się. To łatwa odpowiedź.

— Ależ pytanie nie dotyczy tego!

— Czy zadał pan niewłaściwe pytanie? Ale ja je rozumiałam. Dlaczego pytanie, które rozumiałam, jest niewłaściwe? Czy nie powinnam go zrozumieć? — Potarła nerwowo policzek... I odczepiła samoprzylepny krążek. Upadł na podłogę, odskoczył i potoczył się pod toaletkę. — *Ach, Gott* — mruknęła, usiłując go podnieść. Rozległ się trzask pękającego materiału. To jej kunsztowny kostium.

— Sam go znajdę — powiedział i odsunął ją na bok. Ukląkł, przez chwilę macał pod toaletką, aż jego palce odnalazły wreszcie krążek.

Kiedy wstał, patrzył prosto w lufę laserowego pistoletu.

— Pańskie pytania — oznajmiła suchym, oficjalnym tonem Luba Luft — zaczęły dotyczyć spraw seksu. Przewidywałam, że do tego dojdzie. Nie jest pan wcale policjantem, ale zbrodźcą seksualnym.

— Może pani obejrzeć moją legitymację. — Sięgnął do kieszeni. Zobaczył, że jego ręka znowu zaczęła się trząść, podobnie jak przy spotkaniu z Polokovem.

— Jeżeli pan to robi — ostrzegła Luba Luft — zabiję pana.

— I tak to pani robi. — Zastanawiał się, jaki przebieg miałyby to spotkanie, gdyby poczekał, aż przyłączy się do niego Rachel Rosen. No cóż, nie warto już roztrząsać tej sprawy.

— Chciałabym zobaczyć inne pańskie pytania. — Wyciągnęła dłoń. Niechętnie podał jej kartki. — „W czasopiśmie znajduje pani pełnostronicowe zdjęcie nagiej dziewczyny.” No cóż, mamy następne. „Zaszła pani w ciążę z mężczyzną, który obiecał się z panią ożenić. Mężczyzna ucieka z inną kobietą, pani najlepszą przyjaciółką. Przeprowadza pani aborcję”. Tendencja pańskich pytań jest oczywista. Mam zamiar powiadomić policję. — Wciąż trzymając skierowany w jego kierunku pistolet laserowy przeszła przez pokój, podniosła słuchawkę wideofonu i połączyła się z centralą. — Proszę mnie połączyć z Komendą Policji San Francisco — powiedziała. — Chcę wezwać policjanta.

— Postępuje pani jak najśluszniej — stwierdził z ulgą Rick. Mimo wszystko wydawało mu się jednak dziwne, że Luba podjęła taką właśnie decyzję. Dlaczego po prostu go nie zabiła? Kiedy zjawi się policja, jej szanse zostaną zniweczone i wszystko potoczy się zgodnie z jego planem.

Z całą pewnością sądzi, że jest człowiekiem, uznał. Najwyraźniej nie wie.

Po kilku minutach, w czasie których Luba uważnie mierzyła do niego z pistoletu laserowego, pojawił się potężny gliniarz w staroświeckim granatowym mundurze z gwiazdą na piersi i z pistoletem u boku.

— W porządku — natychmiast zwrócił się do Luby. — Proszę to odłożyć.

Położyła pistolet na toalecie. Policjant sięgnął po broń i sprawdził, czy jest załadowana.

— A teraz proszę wyjaśnić, co się tu dzieje? — zapytał Lubę. Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się w stronę Ricka.

— Kim pan jest? — zapytał.

— Przyszedł do mojej garderoby — powiedziała Luba Luft. — Nigdy przedtem go nie widziałam. Udawał, że przeprowadza wywiady, czy coś w tym rodzaju i chciał ze mną rozmawiać. Pomyślałam, że wszystko jest w porządku i wyraziłam zgodę. A wtedy zaczął mi zadawać nieprzyzwoite pytania.

— Proszę mi okazać swoją legitymację — zażądał gliniarz wyciągając dłoń w stronę Ricka.

Deckard wyjął kartę identyfikacyjną i powiedział.

— Jestem łowcą.

— Znam wszystkich łowców — odparł policjant przeglądając portfel. — W której komendzie pan pracuje?

— Moim przełożonym jest inspektor Harry Bryant — wyjaśnił Rick. — Przejąłem listę Dave'ego Holdena, po tym jak Dave trafił do szpitala.

— Jak już powiedziałem, znam wszystkich łowców — powtórzył gliniarz — ale nigdy o panu nie słyszałem. — Oddał Rickowi legitymację.

— Niech pan zadzwoni do inspektora Bryanta — zażądał Rick.

— Nie ma żadnego inspektora Bryanta — odparł policjant.

Rick zrozumiał, co się dzieje.

— Jesteś androidem — powiedział do gliniarza. — Podobnie jak panna Luft. — Podszedł do wideofonu i sam podniósł słuchawkę. — Mam zamiar zadzwonić do komendy.

— Zastanawiał się, co zdoła zrobić, zanim androidy go powstrzymają.

— Numer do komendy... — odezwał się policjant.

— Znam go — Rick wybrał cyfry i połączył się z centralą. — Chciałbym mówić z inspektorem Bryantem — oznajmił.

— Kto mówi?

— Rick Deckard. — Stał przy wideofonie i czekał. W tym samym czasie stojący z boku policjant spisywał zeznania Luby Luft. Żadne z nich nie zwracało na niego uwagi.

Po chwili na ekranie pojawiła się twarz Harry'ego Bryanta.

— Co się dzieje? — zapytał Ricka.

— Mam pewne kłopoty — odparł Rick. — Jedno z listy Dave'ego zdołało zadzwonić i przywołać tu rzekomego policjanta ze służby patrolowej. Wydaje mi się, że nie jestem w stanie mu udowodnić, kim jestem. Mówi, że zna wszystkich łowców z wydziału i nigdy o mnie nie słyszał. O panu również — dodał.

— Pozwól mi z nim porozmawiać — polecił Bryant.

— Inspektor Bryant chce z panem mówić — Rick podał policjantowi słuchawkę. Gliniarz przestał przesłuchiwać pannę Luft i podszedł do wideofonu.

— Posterunkowy Crams — zameldował energicznym głosem. Po chwili dodał: — Halo? — Przez chwilę powtarzał „halo”, poczekał jeszcze trochę, a potem odwrócił się do Ricka. — Nie mam nikogo na linii. Ani na ekranie.

Rick odebrał słuchawkę od policjanta i powiedział:

— Panie Bryant?

Słuchał i czekał, ale na próżno.

— Zadzwoń jeszcze raz.

Odłożył słuchawkę, odczekał chwilę, ponownie wybrał znajomy numer. Wideofon dzwonił, ale nikt nie odpowiadał. Sygnał rozbrzmiewał znowu i znowu.

— Może ja spróbuję — powiedział posterunkowy Crams i wziął słuchawkę z ręki Ricka. — Musiał pan źle się połączyć. — Wybrał cyfry na klawiaturze wideofonu.

— Numer do komendy jest 842...

— Znam numer — odparł Rick.

— Mówi posterunkowy Crams — odezwał się gliniarz do słuchawki. — Czy w komendzie pracuje inspektor Bryant? — Chwila ciszy. — No cóż, a łowca o nazwisku Rick Deckard? — Znowu chwila ciszy. — Jest pan pewien? Czy mógł niedawno... Aha, rozumiem, sir, dobrze, dziękuję. Nie, panuję nad sytuacją. — Posterunkowy Crams odłożył słuchawkę i odwrócił się do Ricka.

— Przecież się połączyłem — powiedział Rick. — Mówiłem z nim. Powiedział, że z panem porozmawia. To na pewno wina wideofonu. Gdzieś musiało nastąpić przerwanie połączenia. Czy pan nie rozumie? Twarz Bryanta pojawiła się na ekranie, a potem po prostu znikła. — Był zupełnie zdezorientowany.

— Mam zeznania panny Luft, Deckard — oznajmił posterunkowy Crams. — Jedźmy więc do Pałacu Sprawiedliwości, żebym mógł pana zarejestrować.

— To zboczenie — stwierdziła Luba Luft. — Zimno mi się robi na jego widok.

— Zadygotała.

— Premierę jakiej opery przygotowujecie teraz państwo? — zapytał ją Crams.

— „Czarodziejski flet” — odparł Rick.

— Nie pana pytałem, ale ją. — Policjant popatrzył na niego z niechęcią.

— Bardzo bym chciał dostać się wreszcie do Pałacu Sprawiedliwości — powiedział Rick. — Powinniśmy wyjaśnić całą tę sprawę. Ruszył w stronę drzwi garderoby, ścisnąc w rękę uchwyt walizeczki.

— Najpierw pana zrewiduję.

Posterunkowy Crams zręcznie go obszukał i znalazł pistolety Ricka — służbowy i laserowy. Zabrał oba, a następnie przez chwilę wachał lufę służbowego.

— Z tego niedawno strzelano — oznajmił.

— Niedawno usunąłem z niego andka — wyjaśnił Rick. — Mam jego szczątki w hoverze na dachu.

— Dobra — stwierdził Crams. — Pójdziemy i obejrzymy je.

Kiedy wychodzili z garderoby, panna Luft podeszła za nimi do drzwi. — On już tu nie wróci, prawda, panie posterunkowy? Bardzo się go boję, jest taki dziwny.

— Jeżeli na górze, w jego maszynie są zwłoki kogoś, kogo zabił — odparł Crams — to na pewno nie wróci. — Popchnął Ricka do przodu i razem wjechali windą na dach opery.

Posterunkowy Crams otworzył drzwi hovera Ricka i w milczeniu przyjrzał się ciału Polakova.

— Android — starał się wyjaśnić Rick. — Wysłano mnie po niego. Omal mnie nie dostał udając, że jest...

— Złóży pan zeznania w Pałacu Sprawiedliwości — przerwał mu Crams. Popchnął Ricka w stronę swojej zaopatrzonej w policyjne oznakowanie, stojącej nie opodal maszyny. Siedząc już w środku połączył się z kimś przez radio i polecił mu przyjechać do ciała Polakova. — Dobra, Deckard — powiedział odkładając słuchawkę. — Ruszamy.

Patrolowy hover wzbił się z dachu i skierował na południe.

Rick zauważył, że coś jest nie tak. Posterunkowy Crams prowadził maszynę w niewłaściwym kierunku.

— Pałac Sprawiedliwości — powiedział — jest na Lombard.

— To dawny Pałac Sprawiedliwości — odparł Crams. — Nowy znajduje się na Mission. Tamten stary budynek rozpada się, to ruina. Od lat nikt już z niego nie korzysta. Czy dawno temu rejestrowano pana po raz ostatni?

— Proszę mnie tam zawieźć — zażądał Rick. — Na Lombard Street. — Teraz zrozumiał już wszystko. Zobaczył, co współpracujące ze sobą androidy zdołały osiągnąć. Nie przeżyje tej podróży. Dla niego był to już koniec, tak jak niewiele brakowało, aby koniec spotkał Dave'ego — i najprawdopodobniej spotka.

— Dziewczyna była cholernie przystojna — odezwał się posterunkowy Crams. — Oczywiście w tym kostiumie trudno ocenić jej figurę. Ale jest cholernie dobra.

— Niech pan przyzna, że jest androidem — poprosił Rick.

— Dlaczego? Przecież to nieprawda. A pan co, włóczy się, zabijając ludzi i wmawiając sobie, że były androidami? Teraz rozumiem, dlaczego panna Luft tak się bała. Słusznie, że po nas zadzwoniła.

— W takim razie niech mnie pan zawiezie do Pałacu Sprawiedliwości na Lombard.

— Już mówiłem...

— To przecież zajmie tylko trzy minuty — powiedział Rick. — Chcę to zobaczyć. Każdego ranka przychodzę tam do pracy i podpisuję listę. Chcę na własne oczy zobaczyć, że ten budynek jest od lat opuszczony, jak mi pan powiedział.

— Może jest pan androidem? — rzekł Crams. — Z fałszywą pamięcią, w jaką je opatrują. Czy pan o tym pomyślał? — Uśmiechnął się przyjaźnie i w dalszym ciągu leciał na południe.

Rick uświadomił sobie swoją klęskę. Opadł na siedzenie maszyny i bezradnie czekał, co nastąpi dalej. Bez względu na to, co androidy zaplanowały, miały go teraz w swojej mocy.

Ale załatwiłem jednego z nich, powiedział w duchu. Dopadłem Polokova. A Dave usunął dwa.

Policyjna maszyna posterunkowego Cramsa zawisła nad Mission, szykując się do lądowania

Rozdział X

Na dachu budynku Pałacu Sprawiedliwości na Mission Street, w którego stronę opadał hover, sterczał szereg barokowych, ozdobnych wieżyczek. Skomplikowany i nowoczesny wygląd gmachu wydał się Rickowi bardzo interesujący — z wyjątkiem jednego szczegółu. Nigdy przedtem go nie widział.

Policyjna maszyna wylądowała. I po paru minutach Ricka rejestrowano.

— 304 — powiedział posterunkowy Crams do sierżanta siedzącego przy pulpicie. — I 612,4. I jeszcze jedno. Podszywanie się pod funkcjonariusza policji.

— 406,7 — stwierdził sierżant, wypełniając blankiety. Pisał niedbale, z lekko znudzoną miną. Wyraz jego twarzy i gesty podkreślały, że jest to całkowicie zwyczajna sprawa. Nic ważnego.

— Tędy — polecił Rickowi Crams, prowadząc go w stronę niewielkiego, białego stołika, przy którym technik obsługiwał znajomą aparaturę. — Zdejmiemy tu wzory funkcji encefalograficznych. W celach identyfikacyjnych.

— Wiem — odparł ostro Rick. W dawnych czasach, kiedy sam był zwykłym policjantem, przyprowadził do takiego stołu wielu podejrzanych. Takiego, ale nie tego właśnie, konkretnego stołu.

Kiedy zdjęto mu już wzory encefalograficzne, przeprowadzono go do równie znajomego pokoju. Odruchowo zaczął przygotowywać swoje wartościowe przedmioty do złożenia w depozycie. To nie ma sensu, powiedział sobie. Kim są ci ludzie? Jeżeli to miejsce rzeczywiście istnieje, to dlaczego o tym nie wiedział? I dlaczego oni nie wiedzą o nas? Dwie równoległe instytucje policyjne, pomyślał — nasza i ta. Które na dodatek nigdy dotąd się ze sobą nie zetknęły, a przynajmniej on nic o tym nie wiedział. Może jednak były w kontakcie? — pomyślał. Może to nie pierwszy przypadek. Trudno uwierzyć, pomyślał, że coś takiego nie zdarzyłoby się już dawno temu. Jeżeli to rzeczywiście instytucja policyjna, jeżeli naprawdę są tymi, za których się podają.

Mężczyzna w cywilnym ubraniu ruszył z miejsca, w którym stał, podszedł do Ricka Deckarda wolnym, miarowym krokiem i przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

— Co to za jeden? — zapytał posterunkowego Cramsa.

— Podejrzany o zabójstwo — odparł Crams. — Mamy ciało — znaleźliśmy je w jego samochodzie, ale on twierdzi, że to android. Sprawdzimy, przesyłając szpik kostny do laboratorium. Podszywał się również pod funkcjonariusza policji, a konkretnie łowcę. Robił to w celu uzyskania dostępu do garderoby kobiety, gdzie zadawał jej dwuznaczne pytania. Miała wątpliwości, czy jest tym, za kogo się podaje i dlatego nas wezwała. — Crams zrobił krok do tyłu i powiedział: — Czy chce pan skończyć przesłuchanie?

— Dobrze. — Starszy funkcjonariusz policji, ubrany po cywilnemu, niebieskooki, o wąskim nosie z rozszerzającymi się nozdrzami i mało ekspresyjnych ustach, przyjrzał się Rickowi, a potem wyciągnął rękę i ujął jego walizeczkę.

— Co pan tu ma, panie Deckard? — zapytał.

— Materiały związane z testem osobowości Voigta-Kampffa — odparł Rick. — Zostałem aresztowany przez posterunkowego Cramsa, w czasie kiedy przeprowadzałem badanie podejrzaney. — Patrzył, jak oficer policji przegląda zawartość walizeczki, starannie badając każdy przedmiot. — Pytania, które zadawałem pannie Luft, należą do standardowego zestawu V-K, opublikowanego w...

— Czy zna pan George'a Gleasona i Phila Rescha? — spytał oficer.

— Nie — odpowiedział Deckard. Żadne z tych nazwisk nic mu nie mówiło.

— Są łowcami z Północnej Kalifornii. Ale pracują w naszej komendzie. Może przebywając tutaj spotka się pan z nimi. Czy jest pan androidem, panie Deckard? Pytam o to, bo kilkakrotnie w przeszłości mieliśmy do czynienia ze zbiegłymi andkami, które udawały ścigających podejrzanego łowców z innych stanów.

— Nie jestem androidem — odparł Rick. — Może pan przeprowadzić ze mną test Voigta-Kampffa. Przechodziłem go przedtem i nie mam żadnych zastrzeżeń, żeby poddać się mu znowu. Ale wiem, jaki będzie rezultat. Czy mogę zadzwonić do mojej żony?

— Wolno panu wykonać jeden telefon. Woli pan zadzwonić do niej czy do swojego adwokata?

— Zadzwonię do żony — stwierdził Rick. — Ona będzie mogła załatwić mi adwokata.

Oficer w cywilu podał mu monetę pięćdziesięciocentową i wskazał dłonią.

— Tam jest wideofon. — Patrzył, jak Rick idzie przez pokój w stronę aparatu. Potem ponownie zajął się badaniem zawartości walizeczki Ricka.

Rick wrzucił monetę i wybrał swój domowy numer. Miał wrażenie, że stoi przez całą wieczność, czekając.

Na ekranie pojawiła się twarz.

— Halo — zapytała kobieta.

To nie była Iran. Nigdy w życiu jej nie widział.

Odłożył słuchawkę i wolnym krokiem wrócił do oficera policji.

— Nie miał pan szczęścia? — spytał policjant. — No cóż, może pan zadzwonić jeszcze raz, nasze zasady pod tym względem są liberalne. Nie mogę zaproponować panu przeprowadzenia rozmowy z osobą mogącą wpłacić kaucję, bo pańskie przestępstwo w obecnej chwili nie podlega warunkowemu zwolnieniu. Jednak kiedy zostanie pan postawiony w stan oskarżenia...

— Wiem — przerwał mu kwaśno Rick. — Znam policyjną procedurę.

— Proszę, oto pańska walizeczka — powiedział oficer, podając mu ją. — Chodźmy do mojego gabinetu... Chciałbym z panem jeszcze porozmawiać. — Poszedł przed Rickiem bocznym korytarzem. Po chwili zatrzymał się i odwrócił w jego stronę. — Nazywam się Garland. — Wyciągnął rękę i wymienili krótki uścisk dłoni.

— Proszę usiąść — powiedział Garland. Otworzył drzwi do gabinetu i wcisnął się za wielkie, czyste biurko.

Rick usiadł twarzą do biurka.

— Chodzi mi o ten test Voigta-Kampffa, o którym pan wspomniał — rzekł Garland, wskazując walizeczkę Ricka. — Oraz o materiały, które ma pan przy sobie. — Nabił i zapalił fajkę, a potem pykał nią przez chwilę. — Czy to analityczny instrument do wykrywania andków?

— To nasz podstawowy test — wyjaśnił Rick. — Jedyne, który obecnie stosujemy. I jedyny, który jest w stanie zidentyfikować nowy zespół mózgowy Nexus-6. Nie słyszał pan o nim?

— Słyszałem o kilku skalach analityczno-profilowych, które stosuje się do androidów. Ale nie o tej. — W dalszym ciągu uważnie obserwował Ricka. Twarz miał napiętą. Deckard nie mógł się zorientować, o czym Garland myśli.

— A poza tym te rozmazane, przebitkowe kopie — ciągnął Garland. — Te, które miał pan w walizeczce. Polokov, panna Luft... Pańskie zadania. Następne dotyczy mnie.

Rick wytrzeszczył na niego oczy, a potem schwycił walizeczkę.

Po chwili leżały przed nim rozłożone kopie. Garland mówił prawdę. Deckard uważnie studiował kartę. Milczeli przez jakiś czas. Wreszcie policjant odchrząknął i zakaszłał nerwowo.

— To nieprzyjemne uczucie — powiedział. — Nagle znalazłem się na liście zadań łowcy. Albo kogoś, kimkolwiek pan jest, Deckard. — Przycisnął guzik stojącego na biurku interkomu i powiedział: — Przyslijcie mi któregoś z łowców, mniejsza o to którego. Dobra, dziękuję. — Zwolnił przycisk. — Phil Resch będzie tu mniej więcej za minutę — poinformował Ricka. — Zanim zaczniemy dalsze postępowanie, chciałbym zobaczyć jego listę.

— Sądzi pan, że ja mogę się na niej znajdować? — spytał Rick.

— To możliwe. Wkrótce się przekonamy. W takich delikatnych sytuacjach lepiej zachować ostrożność. Nie zostawiać niczego przypadkowi. Na przykład ta dotycząca mnie

karta informacyjna. — Wskazał rozmazaną kopię. — Nie podano w niej, że jestem inspektorem policji. Niewłaściwie określono zawód, pisząc, że jestem agentem ubezpieczeniowym. Poza tym wszystko się zgadza — rysopis, wiek, przyzwyczajenia, adres domowy. Tak, to ja, nie ma wątpliwości. Niech pan sam sprawdzi. — Podsunął kartkę Rickowi, który wziął ją i przeczytał.

Drzwi gabinetu otworzyły się i pojawił się w nich wysoki, chudy mężczyzna o ostrych rysach, kręconej, spiczastej bródce w okularach o rogowej oprawie. Garland wstał i gestem ręki wskazał Ricka.

— Phil Resch, Rick Deckard. Obaj panowie jesteście łowcami i chyba najwyższa pora, żebyście się poznali.

Phil Resch witając się z Rickiem, powiedział:

— W jakim mieście pan pracuje?

— W San Francisco — odezwał się za Deckarda Garland. — Proszę, zobacz jego rozkład zadań. Na tę następną pozycję. — Podał Reschowi kartę, którą Rick czytał przed chwilą, tę, na której znajdował się jego opis.

— O rany, Gar — rzekł Resch. — To ty.

— To jeszcze nie wszystko. — Ma w zleceniach usunięcie również Luby Luft, tej śpiawczki operowej, i Polokova. Pamiętasz Polokova? Nie żyje. Ten łowca, albo android, albo kimkolwiek on jest dopadł go i teraz przeprowadzamy w laboratorium badania jego szpiku kostnego. Żeby sprawdzić, czy były uzasadnione podstawy...

— Rozmawiałem z Polokovem — przerwał mu Phil Resch. — To ten wielki Święty Mikołaj z sowieckiej policji? — Zamyślił się, szarpiąc swą rozczochraną brodę. — Uważam, że pomysł z dokonaniem analizy jego szpiku kostnego jest bardzo dobry.

— Dlaczego tak mówisz? — zapytał wyraźnie poirytowany Garland. — Zrobiłem to, aby usunąć prawne podstawy, które pozwalałyby Deckardowi twierdzić, że nikogo nie zabił, a jedynie „usunął androida”.

— Polokov zrobił na mnie wrażenie zimnego faceta — odparł Phil Resch. — Wyjątkowo wyrachowanego i obojętnego na wszystko.

— Wielu sowieckich policjantów jest takich — powiedział wyraźnie podrażniony Garland.

— Nigdy nie spotkałem Luby Luft — ciągnął Resch. — Ale słyszałem jej nagrania. Czy pan ją przetestował? — zwrócił się do Ricka.

— Zacząłem — odpowiedział Rick. — Ale nie udało mi się uzyskać dokładnych odczytów. Potem zawołała policjanta, który zakończył sprawę.

— A Polokova? — spytał Resch.

— Nie miałem szansy go przetestować.

— I domyślam się — powiedział Phil Resch, właściwie do siebie — że nie miał pan okazji przetestować inspektora Garlanda.

— Oczywiście, że nie — wtrącił się Garland. Twarz miał skrzywioną w grymasie oburzenia. Mówił urywanie, ostro i z goryczą.

— Jaki test pan stosuje? — zapytał Phil Resch.

— Skalę Voigta-Kampffa.

— Tego konkretnie nie znam. — Resch i Garland zdawali się być pogrążeni w pośpiesznych, zawodowych rozmyślaniach, choć nie na ten sam temat.

— Zawsze mówiłem — ciągnął Resch — że najlepszym miejscem, w którym mógłby ukryć się android, byłaby wielka organizacja policyjna, taka jak WOP. Od pierwszej chwili, kiedy spotkałem Polokova, czułem chęć, by go przetestować, ale nie miałem żadnego pretekstu. I nigdy taki pretekst by się nie pojawił... A dla pomysłowego androida na tym polegałaby wyjątkowa zaleta takiego miejsca.

Inspektor Garland wstał wolno, popatrzył na Phila Rescha i zapytał:

— Czy mnie również chciałeś przetestować?

Przez twarz Rescha przemknął delikatny uśmiezek. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamiast tego wzruszył ramionami. I nie odezwał się wcale. Sprawiał wrażenie, że mimo wyraźnie odczuwanego gniewu Garlanda, zupełnie nie obawia się swego przełożonego.

— Chyba niezbyt rozumiesz sytuację — rzekł Garland. — Ten mężczyzna — albo android — o nazwisku Rick Deckard przychodzi do nas z jakiejś mitycznej, nie istniejącej, widmowej instytucji policyjnej, która rzekomo działa w budynku starej komendy na Lombard. Nigdy o nas nie słyszał, a my nigdy nie słyszeliśmy o nim. A jednak wszystko wskazuje na to, że pracujemy po tej samej stronie barykady. Stosuje test, o którym nigdy nie słyszeliśmy. Lista, którą ma przy sobie, nie dotyczy androidów — to lista ludzi. Już zabił jednego człowieka — co najmniej jednego. I gdyby panna Luft nie zdołała się dostać do telefonu, zapewne zabiłby ją, a potem najprawdopodobniej zaczęłby węszyć za mną.

— Hmm — mruknął Resch.

— Hmm — z gniewem przedrzeźnił go Garland. Wyglądał, jakby znajdował się na granicy apopleksji. — Tylko tyle masz do powiedzenia?

Interkom zabrzączał i rozległ się z niego głos kobiety:

— Inspektorze Garland, protokół laboratorium z badania zwłok Polokova jest gotów.

— Chyba powinniśmy go wysłuchać — stwierdził Phil Resch.

Garland popatrzył na niego z wściekłością. Potem pochylił się i nacisnął guzik interkomu:

— Proszę go przeczytać, panno French.

— Badanie szpiku kostnego — powiedziała panna French — wykazało, że Polokov był humanoidalnym robotem. Czy chce pan szczegółową...

— Nie, to wystarczy — Garland opadł z powrotem na fotel i ponuro zapatrzył się na przeciwległą ścianę. Nie odezwał się ani do Ricka ani do Rescha.

— Na czym opiera się pański test Voigta-Kampffa, panie Deckard? — zapytał Phil Resch.

— Reakcja empatyczna. W rozmaitych sytuacjach społecznych. Pytania najczęściej dotyczą zwierząt.

— Nasz jest chyba prostszy — stwierdził Resch. — U humanoidalnych robotów reakcje zachodzące w górnych włóknach nerwowych rdzenia pacierzowego trwają kilka mikrosekund dłużej niż w ludzkim systemie nerwowym. — Sięgnął przez biurko inspektora Garlanda, przyciągnął do siebie blok do notowania i długopisem wykonał szybko szkic. — Używamy sygnału dźwiękowego albo błysku świetlnego. Badany przyciska guzik i dokonywany jest pomiar czasu. Oczywiście próbę trzeba przeprowadzić kilkakrotnie. Odstęp czasu różni się u andków i u ludzi. Ale po dokonaniu dziesięciu pomiarów, mamy już wiarygodną informację. I podobnie jak w pańskim przypadku z Polokovem, badanie szpiku kostnego potwierdza ocenę.

Zapadła cisza i po chwili Rick odezwał się znowu:

— Może mnie pan zbadać. Jestem gotów. Oczywiście, chciałbym również przetestować pana. Jeżeli wyrazi pan zgodę.

— Z całą pewnością — odparł Resch, przyglądając się jednak uważnie inspektorowi Garlandowi. — Od lat twierdzę — mruknął — że funkcjonariuszy policji w rutynowym trybie powinno się poddawać Testowi Reakcji Bonellego. Im wyższych rangą, tym lepiej. Prawda, inspektorze?

— To pańskie prawo — odparł Garland. — A ja zawsze się temu sprzeciwiałem. Ponieważ obniżałoby to morale pracowników komendy.

— Sądzę obecnie — wtrącił się Rick — że w świetle wyniku badań Polokova wykonanych przez pańskie laboratorium będzie musiał pan przestać się upierać.

Rozdział XI

— Chyba tak — odparł Garland i oskarżycielskim gestem wyciągnął palec w stronę Phila Rescha. — Ostrzegam cię. Rezultaty testów na pewno ci się nie spodobają.

— Wie pan, jakie będą? — zapytał Resch z wyraźnym zdziwieniem. Nie wyglądał na zadowolonego.

— Niemal w najdrobniejszym szczególe — stwierdził inspektor.

— Dobrze — skinął głową Resch. — Pójdę na górę i przyniosę aparaturę Bonelego. Podszedł do drzwi gabinetu, otworzył je i wyszedł na korytarz.

— Wrócę za trzy, cztery minuty — powiedział do Ricka. Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Inspektor Garland sięgnął do prawej górnej szuflady biurka, szperał w niej chwilę, a potem wyciągnął pistolet laserowy. Obracał go w ręku do chwili, kiedy lufa skierowała się w stronę Ricka.

— To nie będzie miało żadnego wpływu — rzekł Rick. — Resch zleci przeprowadzenie sekcji moich zwłok, takiej samej, jaką pańskie laboratorium przeprowadziło na Polokovie. I w dalszym ciągu będzie nalegał na poddanie pana i jego samego testowi reakcji Bonelego.

Pistolet laserowy przez chwilę tkwił nieruchomo, aż wreszcie inspektor Garland powiedział:

— Od samego początku to był paskudny dzień. Szczególnie, kiedy zobaczyłem, że posterunkowy Crams przyprowadził pana. Miałem niedobre przeczucie i dlatego się wtrąciłem.

Stopniowo opuszczał lufę lasera. Przez chwilę siedział z bronią w ręku, aż wreszcie wzruszył ramionami, włożył pistolet do szuflady, zamknął ją i schował klucz do kieszeni.

— Jakie będą rezultaty naszych testów? — zapytał Rick.

— Ten cholerny głupiec Resch — odparł Garland.

— Rzeczywiście nic nie wie?

— Nie. Nie wie, nie podejrzewa, nie ma najmniejszego pojęcia. W przeciwnym razie nie mógłby działać jako łowca — to przecież zajęcie dla ludzi, nie dla androidów. — Garland gestem wskazał walizeczkę Ricka. — A jeśli chodzi o zlecenia dotyczące innych podejrzanych, których ma pan przetestować i usunąć, znam ich wszystkich. — Przerwał na chwilę, a potem dodał: — Przylecieliśmy z Marsa razem, tym samym statkiem. Ale nie Resch. Zatrzymał się tydzień dłużej, instalowali mu system syntetycznej pamięci.

Garland umilkł.

— Co zrobi, kiedy się dowie? — zapytał Rick.

— Nie mam bladego pojęcia — odparł obojętnie Garland. — Z abstrakcyjnego, intelektualnego punktu widzenia może to być ciekawe zagadnienie. Może zabić mnie, siebie, może również zabić pana. Może zabić każdego, kogo zdoła — zarówno człowieka, jak i androida. Wiem, że gdy w grę wchodzi syntetyczna pamięć, takie rzeczy się zdarzają. Kiedy ktoś myśli, że jest człowiekiem.

— A więc instalowanie sztucznej pamięci wiąże się z ryzykiem.

— Zawsze jest ryzyko — powiedział Garland — kiedy się uwalniamy i uciekamy tu, na Ziemię, gdzie się nas nie uważa nawet za zwierzęta. Gdzie każdy robak i pluskwa drzewna są o wiele milej widziane niż my wszyscy razem wzięci. — Garland z poirytowaniem skubał dolną wargę. — Moim zdaniem, pańska sytuacja byłaby o wiele lepsza, gdyby Phil Resch zdołał przejść test Bonelego. Dzięki temu rezultat byłby łatwy do przewidzenia. Dla Rescha byłbym po prostu kolejnym andkiem, którego należy usunąć najszybciej, jak można. Ale pana sytuacja, Deckard, wcale nie jest taka dobra. Prawdę mówiąc, jest prawie równie zła jak moja. Wie pan, w którym momencie popełniłem błąd? Nie wiedziałem o Polokovie. Chyba przyleciał wcześniej — najwyraźniej tak musiało być. Razem z zupełnie inną grupą — i wcale się nie kontaktował z naszą. Kiedy przyjechałem, był już doskonale ulokowany w WOP. Zaryzykowałem z badaniami laboratoryjnymi, choć nie powinienem. Oczywiście, Crams podjął to samo ryzyko.

— Polokov omal nie wykończył i mnie — powiedział Rick.

— Tak, w nim coś było. Nie sądzę, by miał ten sam typ zespołu mózgowego, co my. Musiał być podrasowany albo pracować na doładowaniu — to była jakaś zmieniona struktura, nieznana nawet nam. I bardzo dobra. Niemal wystarczająco dobra.

— Kiedy zadzwoniłem do mieszkania — zapytał Rick — dlaczego nie połączyłem się z moją żoną?

— Wszystkie nasze linie wideofoniczne są zapętlone. Przerzucają połączenia do innych gabinetów w obrębie tego budynku. Działamy tu w homeostatycznej strukturze, Deckard. Tworzymy zamkniętą całość, odseparowaną od reszty San Francisco. Wiemy o nich, ale oni nie wiedzą o nas. Czasami jakaś pojedyncza osoba, taka jak pan, zabłądzi tu albo, jak w pańskim przypadku, zostanie tu przyprowadzona — dla naszego bezpieczeństwa. — Wykonał konwulsyjny ruch ręką w stronę drzwi gabinetu. — Oto wra-

ca nasz nadgorliwy Phil Resch wraz ze swoim przenośnym zestawem testowym. Czyż nie jest sprytny? Doprowadzi do zniszczenia swojego życia, mojego, a bardzo możliwe, że i pańskiego.

— Wy, androidy — stwierdził Rick — w trudnych chwilach niezbyt dbacie jeden o drugiego.

— Chyba ma pan rację — warknął Garland. — Wygląda na to, że brak nam pewnej szczególnej umiejętności, którą posiadacie wy, ludzie. Mam wrażenie, że to się nazywa empatia.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Stał w nich Phil Resch, trzymający w rękach urządzenie ze zwisającymi przewodami.

— Już jestem — oznajmił zamykając drzwi za sobą. Usiadł i podłączył aparaturę do kontaktu.

Garland podniósł prawą rękę i skierował ją w stronę Phila Rescha. Łowca i Rick Decard stoczyli się ze swoich krzeseł na podłogę. Jednocześnie Resch wyszarpnął pistolet laserowy i padając wystrzelił.

Promień lasera wymierzony z precyzją będącą skutkiem lat treningu przepalił głowę inspektora Garlanda. Ten pochylił się do przodu, a z jego dłoni wypadł i potoczył się po blacie biurka mikrolaser. Martwe ciało zakołysało się w fotelu i wreszcie, jak worek kartofli, przechyliło się na bok i z hukiem upadło na podłogę.

— Zapomniałem — powiedział Resch wstając — że to moja praca. Niemal mogę przepowiedzieć, co android ma zamiar zrobić. Pan pewnie też. — Schował pistolet, pochylił się i z zaciekawieniem obejrzał zwłoki swego byłego przełożonego. — Co panu powiedział w czasie mojej nieobecności?

— Że on... Że to było androidem. I że pan... — Rick przerwał. Obwody jego mózgu szumiały, obliczały i wybierały; zmienił drugą część zdania. — Wykryję to — zakończył. — Za parę minut.

— Czy coś jeszcze?

— Ten budynek jest pełen androidów.

— Trudno będzie nam się stąd wydostać — rzekł z namysłem Resch. — Zasadniczo mam oczywiście prawo wychodzić, kiedy zechcę. I zabierać ze sobą więźnia. — Nasłuchiwał przez chwilę, ale zza drzwi gabinetu nie rozległ się żaden dźwięk. — Chyba nic nie słyszeli. Najwidoczniej nie ma tu żadnego podsłuchu rejestrującego wszystko... choć powinien być. — Delikatnie trącił ciało androida czubkiem buta. — Doprawdy niezwykle, jak wielkie umiejętności parapsychiczne człowiek sobie wyrabia w tej pracy. Zanim jeszcze otworzyłem drzwi gabinetu, wiedziałem, że będzie do mnie strzelał. Mówiąc szczerze, jestem zaskoczony, że pana nie zabił, kiedy byłem na górze.

— Niemal to zrobił — odparł Rick. — Przez większość czasu trzymał mnie pod lufą lasera dużej mocy. Zastanawiał się nad tym. Ale to pan go niepokoił, nie ja.

— Kiedy łowca ściga, android ucieka — stwierdził bez cienia wesołości Resch. — Zdaje pan sobie sprawę, prawda, że musi pan wrócić do opery i zdjąć Lubę Luft, zanim ktokolwiek stąd będzie miał szansę ją ostrzec i powiadomić o tym, co się stało. Właściwie powinienem powiedzieć ostrzec to. Czy pan myśli o nich „to”?

— Kiedyś, tak — przyznał Rick. — Gdy miałem wyrzuty sumienia z powodu mojej pracy. Broniełem się, myśląc o nich w ten sposób, ale dziś taka sztuczka już mi nie jest potrzebne. Dobrze, pojedę bezpośrednio do opery. Zakładając, że uda się panu wy dostać mnie stąd.

— Posadźmy Garlanda przy biurku — zaproponował Resch. Przeciągnął ciało androida z powrotem na fotel i ułożył ręce i nogi tak, że pozycja ciała wydawała się w miarę naturalna — pod warunkiem, że nikt nie przyjrzałby mu się z bliska. Jeżeli nikt nie wejdzie do gabinetu byli bezpieczni. Phil Resch przycisnął guzik interkomu i powiedział:

— Inspektor Garland prosi, żeby przez najbliższe pół godziny nie łączyć z nim nikogo. Ma pracę, w której nie można mu przeszkadzać.

— Tak jest, panie Resch.

Phil Resch zwolnił przycisk interkomu i odezwał się do Ricka:

— Na czas, kiedy będziemy w budynku, muszę pana skuć kajdankami. Gdy wystartujemy, oczywiście pana uwolnię. — Wyjął kajdanki i zatrzasnął jedną obręczkę na przegubie Ricka, a drugą na swoim. — No dobrze, chodźmy, miejmy to już za sobą. — Wyprostował się, nabrał głęboko powietrza i otworzył drzwi gabinetu.

Umundurowani funkcjonariusze policji stali lub siedzieli wszędzie naokoło, zajęci swoją normalną, codzienną pracą. Nikt nie spojrzał w ich stronę ani nie zwrócił uwagi, że Phil Resch prowadzi Ricka przez hol.

— Obawiam się — oznajmił Resch, kiedy czekali na windę — że Garland posiada zainstalowany czujnik informujący o jego śmierci. Ale... — wzruszył ramionami. — Jeżeli miałby zadziałać, to właśnie teraz. W przeciwnym razie nie będzie to miało sensu.

Podjechała winda. Wysiadło z niej kilkoro policjantów i policjantek, stukając obcasami ruszyli przez hol w jakichś swoich sprawach. Nie zwrócili na Ricka ani Rescha najmniejszej uwagi.

— Jak pan sądzi, czy wasza komenda mnie przyjmie? — zapytał Resch, gdy drzwi zasunęły się, zamykając ich w środku. Wcisnął guzik z napisem „dach” i winda cicho ruszyła do góry. — W końcu jestem teraz bez pracy.

— Cóż, nie widzę powodu, aby mieli odmówić — odparł ostrożnie Rick. — Problem polega na tym, że mamy już dwóch łowców.

Będę musiał mu powiedzieć, pomyślał. Jeżeli tego nie zrobię, zachowam się nieetycznie i okrutnie. Panie Resch, jest pan androidem, powiedział w myśli. Wydostał mnie pan stąd i oto pańska nagroda. Jest pan tym, co obaj nienawidzimy. Kwintesencją tego, co obaj postanowiliśmy zniszczyć.

— Nie mogę się z tym pogodzić — mówił Phil Resch. — Wciąż wydaje mi się to nie-
możliwe. Przez trzy lata pracowałem pod kierownictwem androidów. Dlaczego nic nie
podejrzywałem?

— Może nie trwało to tak długo. Może dopiero niedawno opanowały ten budynek.

— Siedziały tu przez cały czas. Garland był moim przełożonym od samego począt-
ku, przez pełne trzy lata.

— Według tego, co Garland powiedział — rzekł Rick — cała grupa przybyła na Zie-
mię wspólnie. I nie było to przed trzema laty, ale zaledwie kilka miesięcy temu.

— A więc swego czasu istniał prawdziwy Garland — stwierdził Phil Resch. — I gdzieś,
w którymś momencie został zamieniony. — Na jego drapieżnej twarzy pojawił się gry-
mas, kiedy powoli zaczął do niego docierać sens ich rozmowy. — Albo wprowadzono
mi fałszywą pamięć. Może przez cały czas pamiętam tylko Garlanda, ale... — Jego wy-
krzywione narastającym cierpieniem oblicze drgało spazmatycznie. — Tylko androidy
mają system fałszywej pamięci. Okazało się, że u ludzi jest całkowicie nieskuteczny.

Winda przestała się wznosić. Jej drzwi rozsunęły się i przed nimi ukazało się zapeł-
nione jedynie pustymi maszynami lądowisko na dachu komendy policji.

— To mój hover — oznajmił Phil Resch otwierając drzwiczki stojącej nie opodal ma-
szyny i zaprosił Ricka gestem ręki do środka. Sam usiadł za kierownicą i zapuścił silnik.
Po chwili wzbili się w niebo i zakręciwszy na północ, skierowali znowu w stronę ope-
ry. Zamyślony Phil Resch sterował zupełnie odruchowo. Coraz bardziej pochłaniały go
ponure domysły.

— Posłuchaj, Deckard — odezwał się nagle. — Kiedy już usuniemy Lubę Luft... Chcę,
żeby pan... — Jego stłumiony, udręczony głos załamał się. — Wie pan. Niech pan prze-
prowadzi ze mną test Bonelego albo swój empatyczny. Żeby mnie sprawdzić.

— Potem będziemy się tym martwić — odparł wymijająco Rick.

— Nie chce pan, żebym się poddawał testom, prawda? — Phil Resch spojrział na nie-
go z nagłym zrozumieniem. — Przypuszczam, że pan wie, jakie będą wyniki. Garland
musiał coś panu powiedzieć. Podać jakieś informacje, których nie znam.

— Nawet nam obu trudno będzie uporać się z Lubą Luft — rzekł Rick. — W każdym
razie ja sam nie dam sobie z nią rady. Lepiej skupmy się chwilowo na tym.

— To nie tylko struktury fałszywej pamięci — powiedział Phil Resch. — Mam zwie-
rzę. Nie pseudozwierzę, ale prawdziwe. Wiewiórkę. Kocham ją, Deckard. Każdego cho-
lernego ranka karmię ją i zmieniam jej papier — wie pan, czyszczę klatkę, a potem kie-
dy wracam wieczorem z pracy, wypuszczam ją i wtedy biega po całym mieszkaniu. Ma
w klatce koło. Czy widział pan, jak wiewiórka biega w kole? Biegnie, koło się obraca, ale
wiewiórka pozostaje wciąż w jednym miejscu. Ale Buffy chyba to lubi.

— Myślę, że wiewiórki nie są zbyt bystre — stwierdził Rick.

Lecieli dalej w milczeniu.

Rozdział XII

Ricka Deckarda i Phila Rescha poinformowano w operze, że próba już się skończyła, a Luba Luft wyszła.

— Czy powiedziała, dokąd się wybiera? — zapytał Phil Resch inspicjenta, pokazując legitymację policyjną.

— Do muzeum — odparł pracownik teatralny, oglądając uważnie dokument. — Powiedziała, że chce zobaczyć wystawę Edvarda Muncha. Jutro się kończy.

A Luba Luft, pomyślał Rick, kończy się dzisiaj.

Gdy szli chodnikiem, kierując się w stronę muzeum, Phil Resch powiedział:

— Jakie, według ciebie, mamy szanse? Na pewno uciekła. Nie znajdziemy jej tam.

— Możliwe — rzekł Rick.

Weszli do budynku, dowiedzieli się, na którym piętrze znajduje się wystawa Muncha i wjechali na górę. Po chwili błądzili wśród obrazów i drzeworytów. Wystawę zwiedzało wiele osób, w tym również wycieczka ze szkoły podstawowej. Przenikliwy głos nauczycielki słychać było we wszystkich salach wystawowych. Rick pomyślał: wyobrażamy sobie, że andek tak właśnie mówi i wygląda. Nie jak Rachel Rosen czy Luba Luft. A także ten człowiek obok niego. Albo raczej to coś obok niego.

— Czy kiedykolwiek słyszałeś, żeby andek hodował jakieś domowe zwierzę? — zapytał Phil Resch.

Z jakichś niezrozumiałych powodów Rick uznał, że musi być brutalnie szczery. Może zaczął w ten sposób przygotowywać się do przyszłego zadania.

— W dwóch znanych mi przypadkach andki posiadały zwierzęta i opiekowały się nimi. Ale to rzadkość. Z tego, co wiem, wynika, że zazwyczaj im się to nie udaje. Andek nie potrafi utrzymać zwierzęcia przy życiu. Zwierzęta, żeby istnieć, muszą być otoczone atmosferą ciepła. Oczywiście, poza owadami i gadami.

— Czy wiewiórka by jej potrzebowała? Takiej atmosfery miłości? Buffy czuje się świetnie, futerko ma gładkie i lśniące. Zajmuję się nią i szczotkuję codziennie.

Resch stanął przy obrazie olejnym, zaczął wpatrywać się w niego uważnie. Na płótnie widniała bezwłosa, umęczona istota o głowie przypominającej odwróconą gruszkę. Z przerażeniem zasłaniała dłońmi uszy, a jej usta otwarte były w przeraźliwym, bezgłośnym krzyku. Poskręcane fale cierpienia, echo wrzasku wypełniały powietrze, które ją otaczało. Istota — nie wiadomo, mężczyzna czy kobieta — zamknięta była we własnym krzyku. Zasłaniała uszy, aby nie słyszeć samej siebie. Stała na moście i wokoło nie było nikogo. Krzyczała w pustce. Odizolowana przez krzyk, a może pomimo niego.

— Zrobił na podstawie tego drzeworyt — powiedział Rick, odczytując tabliczkę umieszczoną pod obrazem.

— Myślę — powiedział Resch — że tak właśnie musi czuć się andek.

Nakreślił dłonią zawirowania powietrza, tak wyraźnie widoczne na obrazie.

— Ja nie mam takiego wrażenia, może więc nim nie jestem... — umilkł, kiedy kilka osób podeszło, aby obejrzeć obraz.

— Tam jest Luba Luft — wskazał Rick. Resch przerwał posępne rozważania i próby obrony. Obydwaj ruszyli miarowym krokiem w stronę śpiewaczki. Szli bez pośpiechu, jak ludzie zajęci wyłącznie zwiedzaniem. Zawsze musieli zachowywać się zupełnie zwyczajnie. Innych ludzi nieświadomych obecności wśród nich androidów, trzeba chronić za wszelką cenę — nawet za cenę zgubienia ściganego obiektu.

Ubrana w obcisłe, lśniące spodnie i złoty, haftowany żakiet przypominający nieco kamizelkę, Luba Luft stała z katalogiem w dłoni i wpatrywała się w wiszący przed nią rysunek. Przedstawiał młodą dziewczynę, która ze złożonymi rękami siedzi na krawędzi łóżka, a na jej twarzy maluje się wyraz oszołomionego zdziwienia i dopiero co uświadomionego lęku.

— Chce pani, żebym go kupił? — spytał Rick Lubę Luft. Stał tuż obok niej, ujął ją lekko powyżej łokcia. Ten leniwy uścisk dawał jej do zrozumienia, że wie o swojej przewadze i wcale nie musi używać siły, aby ją zatrzymać. Z drugiej strony Phil Resch położył dłoń na jej ramieniu i Rick widział wypukłość tworzoną przez pistolet laserowy. Po sprawie inspektora Garlanda nie miał zamiaru ryzykować.

— Nie jest na sprzedaż. — Początkowo obojętny wzrok Luby Luft zmienił się gwałtownie, gdy rozpoznała Ricka. Twarz jej pobladła i wyglądała jak u trupa dotkniętego natychmiastowym rozkładem. Zupełnie, jakby życie cofnęło się gdzieś do najgłębszych zakątków jej wnętrza, oddając całe ciało we władanie jedynie automatycznych odruchów.

— Myślałam, że pana aresztowano — powiedziała. — Dlaczego pana zwolnili?

— Panno Luft — rzekł. — Przedstawiam pani Phila Rescha. Philu, to jest znana śpiewaczka operowa, Luba Luft. Mundurowy gliniarz — zwrócił się do niej — był androidem. Podobnie jak jego przełożony. Czy pani zna, a raczej czy znała pani inspektora Garlanda? Powiedział mi, że przybyliście tu jednym statkiem, w składzie tej samej grupy.

— Posterunek policji, do którego pani zadzwoniła — dodał Resch — znajdujący się w budynku przy Mission, stanowi centrum organizacyjne i za jego pośrednictwem waza grupa utrzymuje łączność. Poczuli się do tego stopnia pewnie, że zatrudnili człowieka na stanowisku łowcy. Najwidoczniej...

— Ciebie? — przerwała mu Luba Luft. — Nie jesteś człowiekiem. Nie bardziej niż ja. Też jesteś androidem.

Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Resch odezwał się stłumionym, ale opanowanym głosem:

— No cóż, rozstrzygniemy ten problem we właściwym czasie. — A potem zwrócił się do Deckarda. — Zabierzmy ją do mojego hovera.

Skierowali się w stronę windy. Luba Luft szła między nimi z ociąganiem, ale nie stawiała oporu. Sprawiała wrażenie zrezygnowanej. Rick spotkał się już z takimi reakcjami androidów. Ożywiające je siły witalne zdawały się zamierać, jeżeli presja stawiała się zbyt silna... W każdym razie u niektórych z nich. Ale nie u wszystkich.

Były przypadki, że nagle wybuchały znowu wściekłą energią.

Wiedział jednak, że androidy zawsze starają się unikać podejrzanych zachowań. W muzeum, w obecności tak wielu osób, Luba Luft raczej nie podejmie żadnych działań. Prawdziwe starcie — dla niej zapewne ostatnie — nastąpi w hoverze, tam gdzie nie będzie żadnych świadków. Gdy znajdzie się sama, z oszalamiającą gwałtownością może odrzucić wszelkie hamulce. Przygotował się i całkowicie przestał myśleć o Reschu. Jak stwierdził sam Phil, ten problem zostanie rozwiązany we właściwym czasie.

W samym końcu korytarza, przy windzie, znajdował się niewielki kiosk, w którym sprzedawano albumy i grafiki. Luba zatrzymała się przy nim.

— Niech pan posłucha — zwróciła się do Ricka. Na jej twarz powróciły kolory i przynajmniej w tej chwili znowu sprawiała wrażenie, że żyje. — Proszę mi kupić reprodukcję obrazu, przed którym stałam. Tego z dziewczyną siedzącą na łóżku.

Rick zastanawiał się przez chwilę, a potem zwrócił się do sprzedawczynie, kobiety w średnim wieku, o obwisłych policzkach i siwych włosach upiętych w siatkę.

— Czy ma pani odbitkę „Dojrzewania” Muncha?

— Tylko w albumowym wydaniu jego prac — odpowiedziała, biorąc do ręki elegancki tom w lakierowanej obwolucie. — Kosztuje dwadzieścia pięć dolarów.

— Wezmę go. — Sięgnął po portfel.

— Księgowość posterunku nigdy w życiu nie pokryje... — wtrącił się Resch.

— To moje prywatne pieniądze — odparł Rick. Podał sprzedawczynie banknoty, a Luba książkę. — Teraz zjedźmy na dół — zwrócił się do niej i Rescha.

— To bardzo miłe z pana strony — powiedziała, gdy znaleźli się w windzie. — W ludziach jest coś dziwnego i wzruszającego. Android nigdy by tego nie zrobił. — Rzuciła lodowate spojrzenie na Rescha. — Nie przyszłoby mu to do głowy. Nigdy w życiu, jak

sam powiedział. — Spojrzała na Phila z coraz silniejszą wrogością i odrazą. — Prawdę mówiąc, nie lubię androidów. Od chwili, gdy przybyłam tu z Marsa, moje życie polegało na naśladowaniu ludzi, robieniu tego co oni, reagowaniu w taki sposób, jakbym posiadała ludzkie myśli i odruchy. Według mnie, naśladowałam wyższą formę życia. Czy z tobą nie jest tak samo? — zwróciła się do Rescha. — Usiłujesz być...

— Nie zniosę tego. — Resch sięgnął do kieszeni płaszcza.

— Nie — zawołał Rick, usiłując schwycić go za rękę. Resch cofnął się, robiąc unik. — Test Bonelego.

— To przyznało, że jest androidem — odparł. — Nie musimy zwlekać.

— Ale chcesz je usunąć — stwierdził Rick — tylko dlatego, że ci dokuczają. Oddaj mi broń. — Próbował odebrać blaster Reschowi, ale bez skutku. Łowca cofał się pod ścianami ciasnej kabiny windy, wymykając się Rickowi i ani na chwilę nie spuszczał oczu z Luby Luft.

— Dobrze — oznajmił nagle Rick. — Usuń to, zabij natychmiast. Udowodnij, że masz rację. — I nagle zorientował się, że Resch rzeczywiście chce to zrobić. — Poczekaj...

Phil strzelił i w tej samej chwili Luba Luft w paroksyzmie strachu ściganego zwierzęcia odwróciła się gwałtownie i pochyliła. Promień lasera chybił, ale gdy Resch obniżył lufę, bezgłośnie wypalił dziurę w jej brzuchu. Zaczęła krzyczeć. Leżała skulona pod ścianą kabiny i krzyczała. Jak na obrazie, pomyślał Rick i dobił ją z własnego blastera. Ciało Luby Luft upadło bezwładnie do przodu na twarz. Nawet nie drgnęła.

Rick swoim laserem spalił na popiół album, który przed paroma minutami jej ofiarował. Resch patrzył, nic nie rozumiejąc. Na jego twarzy wyraźnie malowało się zdziwienie.

— Przecież mogłeś zatrzymać książkę — powiedział wreszcie. — Kosztowała cię...

— Czy sądzisz, że androidy mają dusze? — przerwał mu Rick.

Resch przechylił głowę na bok i spojrzał na niego z jeszcze większym zaskoczeniem.

— Stać mnie na album — oznajmił Rick. — Jak dotąd, zarobiłem dzisiaj trzy tysiące dolarów i nawet nie jestem w połowie listy.

— Chcesz zgłosić Garlanda? — zapytał Resch. — Ale to ja go zabiłem, nie ty. Tylko leżałeś, nic więcej. I Lubę też usunąłem.

— Nie możesz pobrać nagrody — stwierdził Rick. — Ani w naszym posterunku, ani w swoim. Kiedy znajdziemy się w twoim hoverze, poddam cię testowi Bonelego lub Voigta-Kampffa i wtedy zobaczymy. Nawet jeżeli nie ma cię na mojej liście. — Trzęsącymi się rękami otworzył teczkę i zaczął grzebać w pogniecionych, przebitkowych kopiach. — Nie. Nie mam cię na niej. A więc zgodnie z przepisami nie mogę wystąpić o nagrodę za ciebie. Żeby cokolwiek zarobić, muszę zgłosić Garlanda i Lubę Luft.

— Masz pewność, że jestem androidem? Że Garland mówił prawdę?

— Tak twierdził.

— Może kłamał — zaprotestował Resch. — Chciał nas poróżnić. Tak jak teraz. Jesteśmy szaleni, pozwalając, żeby nas skłócili. Miałeś całkowitą rację w sprawie Luby Luft. Nie powinienem był dać się sprowokować. Jestem pewnie przewrażliwiony. Ale to chyba normalne dla łowcy, jesteś taki sam. Posłuchaj. Przecież i tak musielibyśmy usunąć Lubę Luft za jakieś pół godziny — zaledwie za pół godziny! Nawet nie zdążyłaby obejrzeć albumu, który jej dałeś. I powiem ci, w dalszym ciągu uważam, że nie powinienesz był go niszczyć. Przecież to marnotrawstwo. Nie mogę pojąć twoich motywów. Przecież są nielogiczne.

— Wycofuję się z tego interesu — oświadczył Rick.

— I co będziesz robił?

— Cokolwiek. Będę agentem ubezpieczeniowym, takim jakim rzekomo był Garland. Albo wyemigruję. Tak. — Skinął głową. — Przeniosę się na Marsa.

— Ktoś jednak musi to robić — zauważył Resch.

— Mogą użyć do tego androidów. Byłoby o wiele lepiej, gdyby robiły to same andki. Ja mam już dosyć. Była cudowną śpiewaczką. Przydałaby się tutaj. Przecież to szaleństwo.

— To konieczność. Pamiętaj, że aby się tutaj dostać, zabijali ludzi. A gdybym cię nie wyciągnął z posterunku na Mission, zabiliby i ciebie. Garland tego właśnie ode mnie chciał i dlatego kazał mi przyjść do gabinetu. Czyż Polokov omal cię nie zabił? Czy prawie nie udało się to Lubie Luft? My się tylko bronimy. To oni są obcymi, zabójcami podającymi się...

— Za policjantów — powiedział Rick. — Za łowców...

— W porządku, zrób mi test Bonelego. Może Garland jednak kłamał. Sądzę, że tak. Sztuczna pamięć nie może być aż tak dobra. A co z moją wiewiórką?

— Ach tak, twoja wiewiórka. Zapomniałem o niej.

— Jeżeli okażę się andkiem — rzekł Phil Resch — i mnie zabijesz, możesz wziąć sobie moją wiewiórkę. Poczekaj. Zaraz ci ją zapiszę.

— Andki nie mogą nic zapisać. Nie mogą posiadać nic, a więc i nie mogą tego oddać.

— No to sobie po prostu ją weź.

— Może tak zrobię. — Winda zjechała już na parter i drzwi otworzyły się. — Zostań z Lubą. Wezwę wóz patrolowy, żeby zawiózł ją do Pałacu Sprawiedliwości na test szpiku kostnego. — Zobaczył budkę telefoniczną i wszedł do niej. Wrzucił monetę do aparatu i trzęsącymi się palcami wybrał numer. W tym czasie grupa ludzi czekających na windę skupiła się wokół Phila Rescha i ciała Luby Luft.

Była naprawdę wspaniałą śpiewaczką, pomyślał, odwieszając słuchawkę po skończonej rozmowie. Nie rozumiem, w jaki sposób podobny talent mógłby stanowić zagro-

żenie dla naszego społeczeństwa? Ale to nie talent stanowił zagrożenie, lecz ona sama. Podobnym zagrożeniem jest Phil Resch, pomyślał. W taki sam sposób i z tego samego powodu. Nie mogę więc porzucić pracy. Wyszedł z budki telefonicznej i precyzyjnie się między ludźmi, wracając do łowcy i leżącej postaci dziewczyny-androida. Ktoś nakrył ją płaszczem. Na pewno nie Phil.

Rick podszedł do Rescha, który stał na uboczu łapczywie zaciągając się dymem małego, szarego cygara.

— Mam nadzieję, że test wykaże, iż jesteś androidem — powiedział.

— Naprawdę mnie nienawidzisz — odparł ze zdziwieniem Resch. — Tak nagle i niespodziewanie. A przecież nie nienawidziłeś mnie wtedy na Mission Street. Kiedy uratowałem ci życie.

— Zaobserwowałem metodę twojego działania. Sposób, w jaki zabiłeś Garlanda, a potem Lubę. Nie robisz tego tak jak ja, nie próbujesz... Do diabła — rzucił. — Wiem, co to takiego. Lubisz zabijać. Potrzebujesz tylko jakiegoś pretekstu. Gdybyś go miał, zabiłbyś i mnie. Dlatego właśnie zaakceptowałeś możliwość, że Garland jest androidem — dzięki temu mogłeś go zlikwidować. Zastanawiam się, co zrobisz, kiedy nie przejdziesz testu Bonelego? Zabijesz sam siebie? Czasem androidy tak postępują. — Ale to było rzadkie przypadki.

— Tak, sam to załatwię — stwierdził Resch. — Będziesz musiał tylko przeprowadzić test, nic poza tym.

Przyjechał wóz patrolowy, z którego wyskoczyło dwóch policjantów. Zobaczyli tłum ludzi i natychmiast utorowali sobie drogę. Jeden z nich poznał Deckarda i skinął mu głową. A więc możemy już jechać, uświadomił sobie Rick. Zakończyliśmy sprawę w tym miejscu. Ostatecznie.

Gdy szli we dwójkę w stronę gmachu opery, na której dachu stał zaparkowany hover, Resch powiedział:

— Oddam ci teraz mój blaster. Nie musisz się więc martwić moją reakcją na test. I o swoje bezpieczeństwo.

— Jak się bez niego zabijesz? — spytał Rick. — Jeżeli nie przejdziesz testu.

— Wstrzymam oddech.

— Rany gorzkie — westchnął Rick. — To niemożliwe.

— Androidy nie mają odruchowego odłączenia nerwu błędnika — wyjaśnił Resch. — W przeciwieństwie do ludzi. Czy cię nie uczono w czasie szkolenia? Ja przerabiałem to wiele lat temu.

— Ale umrzeć w taki sposób... — zaprotestował Rick.

— Przecież to bezbolesne. O co ci chodzi?

— To... — Rick zrobił nieokreślony gest. Nie mógł znaleźć słów.

Wjechali na dach opery, gdzie Resch zaparkował swojego hovera.

Wsunął się za kierownicę i zamknął drzwi.

— Wolałbym, żebyś użył testu Bonelego — powiedział.

— Nie mogę, nie wiem, jak go obliczyć. — Musiałbym się zdać na ciebie przy interpretacji odczytu, pomyślał. A to nie wchodziło w grę.

— Powiesz mi prawdę? — zapytał Resch. — Jeżeli okaże się, że jestem androidem, powiesz mi?

— Oczywiście.

— Ja naprawdę muszę wiedzieć. Muszę. — Resch zapalił znowu cygaro i przez chwilę wiercił się w fotelu, usiłując znaleźć odpowiednią pozycję. Wyraźnie mu się to nie udało. — Czy rzeczywiście podobał ci się obraz, który oglądała Luba Luft? — zapytał. — Bo mnie nie. Sztuka realistyczna mnie nie interesuje. Lubię Picassa i...

— „Dojrzewanie” powstało w 1894 — odparł krótko Rick. — Wtedy istniał tylko realizm. Musisz to brać pod uwagę.

— Ale ten drugi, na którym człowiek zasłania sobie uszy i krzyczy. On nie był reprezentatywny.

Rick otworzył teczkę i wyjął sprzęt.

— Skomplikowany — zauważył Resch, przyglądając się aparaturze. — Ile pytań będziesz musiał zadać, zanim dokonasz oceny?

— Sześć albo siedem. — Podał mu samoprzylepną poduszeczkę. — Przymocuj ją do policzka. Dokładnie. A to światło... — Naprowadził promień latarki. — Światło będzie skierowane na twoje oko. Nie poruszaj się. Postaraj się wyeliminować ruchy gałki ocznej.

— Wahania odruchowe — zauważył Resch — ale nie pod wpływem bodźców fizycznych. Nie mierzysz, na przykład, rozszerzenia źrenic. To będą reakcje na pytania, coś co nazywamy drganiami mimowolnymi.

— Uważasz, że możesz je kontrolować?

— Niezupełnie. Może w jakimś stopniu. Ale na pewno nie wstępną amplitudę — jest poza świadomą kontrolą. Gdyby nie... — urwał gwałtownie. — Zaczynaj. Jestem spięty. Wybacz, jeżeli mówię za dużo.

— Mów, ile tylko chcesz — odparł Rick. Zagadaj się na śmierć, powiedział w myśli. Jeżeli masz na to ochotę. Mnie to nie przeszkadza.

— Jeżeli okażę się androidem — gadał Resch — na nowo uwierzysz w ludzką rasę. Ale ponieważ tak się nie stanie, lepiej będzie, jeżeli zaczniesz formułować ideologię, która uwzględni...

— Zadaję pierwsze pytanie — przerwał mu Rick. Aparatura została zainstalowana i obie wskazówki dygotały lekko. — Ważny jest czas reakcji, odpowiadaj więc najszybciej, jak możesz. — Wybrał z pamięci wstępne pytanie. Test się zaczął.

Potem Rick przez jakiś czas siedział w milczeniu. Wreszcie zaczął zbierać sprzęt i wpychać go z powrotem do teczki.

— Domyślam się z wyrazu twojej twarzy — stwierdził Resch. Odetchnął spazmatycznie, czując absolutną, nieważką, niemal bolesną ulgę. — Dobrze. Możesz oddać mi broń. — Wyciągnął rękę, obróconą dłonią ku górze i czekał.

— Najwidoczniej miałaś rację, kiedy mówiłeś o motywach Garlanda. Chciał nas skłócić. — Rick był wyczerpany fizycznie i psychicznie.

— Czy już sformułowałaś nową ideologię? — zapytał Resch. — Taką, która uwzględniłaby mnie jako element ludzkiej rasy?

— Istnieje defekt w twoim empatycznym systemie odniesień. Taki, którego się nie testuje. Twoje uczucia do androidów.

— Oczywiście, że tego się nie testuje.

— A może należałoby. — Nigdy dotąd o tym nie myślał. Nigdy też sam nie analizował swoich uczuć do androidów, które zabijał. Zawsze zakładał, że w swojej podświadomej psychicznej percepcji, tak samo zresztą jak w świadomym oglądzie, odbiera androida jako mądrą maszynę. Mimo to jednak pojawiła się w nim pewna odmienność, cecha, która różniła go od Phila Rescha. Instynktownie czuł, że ma rację. Empatia skierowana do sztucznego tworu? — zadał sobie pytanie. Do czegoś, co jedynie udaje życie? Ale Luba Luft sprawiała wrażenie kogoś, kto żyje naprawdę, nie było w niej nic wskazującego na samą symulację.

— Zdajesz sobie sprawę — spytał cicho Resch — co by się stało, gdybyśmy włączyli androidy do zbioru naszych empatycznych identyfikacji? Tak, jak zrobiliśmy wobec zwierząt?

— Nie moglibyśmy się bronić.

— Otóż to. Typy Nexus-6... wdeptałyby nas w ziemię. Ty i ja, wszyscy łowcy, odgradzamy ludzkość od Nexusa-6, stanowimy barierę, która wyraźnie rozdziela dwa gatunki. Poza tym... — Przerwał, widząc, że Rick ponownie wyjmuje aparaturę pomiarową. — Myślałem, że już zakończyłeś test.

— Chcę zadać pytanie samemu sobie — odparł Rick. — I chciałbym, żebyś mi powiedział, jakie są odczyty wskaźników. Podaj mi tylko cyfry. Sam wszystko przeliczę. — Przyczepił krążek do policzka i ustawił latarkę tak, aby jej promień padał prosto w oko. — Jesteś gotów? Patrz na wskazówki. Pominiemy tym razem opóźnienie czasu reakcji. Chcę znać jedynie siłę.

— Nie ma sprawy, Rick — odparł usłużnie Resch.

— Jadę windą z androidem, którego schwytałem — Deckard zaczął mówić na głos. — Nagle ktoś zabija go bez ostrzeżenia.

— Brak szczególnej reakcji — stwierdził Resch.

— Jaki był odczyt?

— Lewa wskazówka 2.8. Prawa 3.3.

— Android był kobietą.

— Teraz odczyt był 4.0 i 6.0.

— Dość wysoko — stwierdził Rick. Zdjął krążek z policzka i wyłączył światło. — To zdecydowanie empatyczna reakcja. Mniej więcej taka sama, jaką okazuje człowiek przy większości pytań. Poza oczywiście ekstremalnymi dotyczącymi na przykład wykorzystania ludzkich skór do celów dekoracyjnych... naprawdę patologicznymi.

— Co oznacza?

— Jestem zdolny odczuwać empatię w stosunku do określonych, konkretnych androidów — wyjaśnił Rick. — Nie do wszystkich, ale do jednego czy dwóch. — Na przykład do Luby Luft, pomyślał. A więc myliłem się. W reakcjach Phila Rescha nie ma niczego nienaturalnego czy nieludzkiego. Błąd tkwi we mnie.

Ciekawe, zastanawiał się, czy ktokolwiek żywił kiedyś takie uczucia do androida?

To oczywiście może się już nigdy nie ujawnić w czasie mojej pracy. Prawdopodobnie wywołały je emocje związane z „Zaczarowanym fletem”. I głosem Luby Luft, jej całą karierą. Na pewno wcześniej nie miał podobnych objawów, albo każdym razie nie zdawał sobie z nich sprawy. Na przykład przy Polokovie. Ani przy Garlandzie. Uświadomił sobie również, że gdyby Phil Resch okazał się androidem, usunąłby go bez żadnych emocji, w każdym razie po śmierci Luby Luft.

I tyle, jeżeli chodzi o różnice pomiędzy prawdziwą, żywą istotą a humanoidalnym wytworem. W windzie, przypomniał sobie, jechałem z dwoma osobami — człowiekiem i androidem... I moje uczucia były odwrotne niż można tego oczekiwać. Od tych, których zazwyczaj doznawałem... które powinienem doznawać.

— Masz problem, Deckard — oznajmił Resch. Wydawał się być rozbawiony.

— Co... Co powinienem zrobić? — spytał Rick.

— To seks — odparł Resch.

— Seks?

— Ponieważ ona... ono było pociągające fizycznie. Nigdy ci się jeszcze nie zdarzyło? — Phil roześmiał się. — Uczono nas, że w zawodzie łowcy erotyzm staje się ważnym problemem. Nie wiedziałeś Deckard, że w koloniach mają androidy-kochanki?

— Przecież to nielegalne — stwierdził Rick, który znał odpowiednie przepisy prawne.

— Oczywiście, że tak. Ale większość odmian seksu jest nielegalna. A ludzie i tak się nimi bawią.

— A co z... nie seksem... ale miłością.

— Miłość to po prostu inna nazwa seksu.

— Jak miłość do kraju — dodał Rick. — Albo muzyki.

— Jeżeli skierowana jest do kobiety lub żeńskiego androida, jest to seks. Obudź się i spójrz prawdzie w oczy, Deckard. Miałeś ochotę iść do łóżka z żeńską odmianą androida — i nic poza tym. Raz przeżyłem coś takiego. Kiedy zacząłem być łowcą. Nie po-

zwól, żeby cię ta sprawa przytłoczyła. Wyjdiesz z tego. Kiedy zdarza się podobny przypadek, należy odwrócić kolejność postępowania. Nie należy zabijać jej ani być obecnym przy jej śmierci i dopiero potem zacząć odczuwać fizyczny pociąg. Należy postępować odwrotnie.

Rick spojrział na niego i powiedział:

— Najpierw iść z nią do łóżka...

— ...a potem ją zabić — stwierdził beznamiętnie Resch. Na jego twarzy wciąż widniał twardy, cyniczny uśmiech.

Jesteś dobrym łowcą, Resch, uświadomił sobie Rick. Potwierdza to sposób, w jaki traktujesz swój zawód. Ale czy ja też jestem dobrym łowcą?

Nagle, po raz pierwszy w życiu, zaczął mieć wątpliwości.

Rozdział XIII

John R. Isidore leciał do domu, mknąc przez wieczorne niebo jak smuga czystego ognia. Ciekawe, czy wciąż tam jest, pytał sam siebie. Czy siedzi w tym zachłamionym mieszkaniu, oglądając w telewizji Przyjacielskiego Bustera i dygocząc ze strachu za każdym razem, kiedy wydaje się jej, że ktoś idzie korytarzem. Mam nadzieję, że mnie się nie boi, pomyślał.

Wcześniej zaszedł do czarnorynkowych delikatesów. Na siedzeniu obok niego stała papierowa torba zawierająca takie frykasy jak galaretkę sojową, dojrzałe brzoskwinie i wspaniałe, miękkie, cuchnący kawałek sera. Torba kołysała się, gdy Isidore na zmianę przyśpieszał i zwalniał. Był tak spięty, że prowadził nieuważnie. A jego rzekomo nareperowany pojazd krztusił się i opadał gwałtownie — dokładnie tak samo jak przed prześlądem. Cholera, zaklął w duchu.

Zapach brzoskwiń i dojrzałego sera wypełniał całego hovera, drażniąc rozkosznie nozdrza Isidore. Na te wspaniałości przepuścił dwutygodniową pensję, którą wziął awansem u pana Sloata. A pod siedzeniem, tam gdzie nie mogła upaść i stłuc się, turlała się tam i z powrotem butelka chablis — luksus nad luksusami. Trzymał ją w depozycie w Bank of America i nie sprzedawał, bez względu na to, jak wiele mu proponowano, w nadziei, że kiedyś, w końcu zjawi się dziewczyna. Czekał na próżno, aż do tej chwili.

Zaśmiecony, pusty dach jego domu jak zawsze wprawił go w przygnębienie. Przechodząc z hovera do windy patrzył tylko przed siebie, koncentrując uwagę na niesionej torbie. Starł się ze wszystkich sił, aby nie potknąć się o śmiecie i nie spowodować haniebnej katastrofy finansowej. Kiedy wreszcie zjawiła się trzeszcząca winda, zjechał nią, ale nie na własne piętro, lecz na to, gdzie mieszkała nowa lokatorka, Pris Stratton. Stał przed jej drzwiami i zastukał butelką wina. Czuł, jak serce łomocze mu w piersi.

— Kto tam? — Jej stłumiony drzwiami głos był mimo wszystko dobrze słyszalny. Przestraszony, ale ostry jak brzytwa.

— Tu J. R. Isidore — oznajmił żywo, stanowczym, zdecydowanym tonem, który uzyskał dzięki rozmowie wideofonicznej, do której zmusił go pan Sloat. — Mam tu parę godnych uwagi drobiazgów i sądzę, że moglibyśmy zorganizować zupełnie przyzwoity obiad.

Drzwi uchyliły się trochę. Pris, prawie niewidoczna na tle ciemnego pokoju, wychyliła się i popatrzyła na pusty korytarz.

— Twój głos brzmi zupełnie inaczej — powiedziała. — Bardziej dorośle.

— Miałem dzisiaj kilka spraw do załatwienia w czasie pracy. Jak zawsze. Jeżeli m-mógłbym wejść...

— Będiesz mi o nich opowiadał. — Otworzyła jednak drzwi wystarczająco szeroko, aby go wpuścić. Kiedy zobaczyła, co trzyma w rękach, zawołała głośno i jej twarz rozpromieniła się radością. Jednak niemal natychmiast, zupełnie bez ostrzeżenia, rysy Pris stężały w grymasie pełnym goryczy. Radość uleciała.

— Co się stało? — zapytał. Zaniósł pakunki i butelkę do kuchni, a potem szybko wrócił do pokoju.

— Tylko je na mnie marnujesz — powiedziała bezbarwnym tonem.

— Dlaczego?

— Och... — wzruszyła ramionami i odeszła kilka kroków. Ręce trzymała w kieszeniach swojej ciężkiej, dość staroświeckiej spódnicy. — Kiedyś ci powiem. — Podniosła wzrok. — Ale mimo wszystko to miłe z twojej strony. A teraz chciałabym, żebyś sobie poszedł. Nie mam ochoty nikogo widzieć. — Takim samym, niepewnym krokiem skierowała się do drzwi. Powłóczyła nogami, sprawiając wrażenie całkowicie wyczerpanej, jakby prawie zupełnie opuściły ją siły vitalne.

— Wiem, co ci jest — powiedział.

— Tak? — zapytała, otwierając drzwi. Jej głos stał się jeszcze bardziej bezbarwny, głuchy i martwy.

— Nie masz żadnych przyjaciół. Jesteś w o wiele gorszej sytuacji niż ja, przed spotkaniem z tobą dziś rano. To dlatego...

— Mam przyjaciół. — W jej głosie pojawiła się nieoczekiwana stanowczość. Może zaczęła odzyskiwać siły. — A raczej miałam. Siedmioro. Tak było na początku, ale obecnie łowcy mieli już czas zabrać się do dzieła. A więc niektórzy z nich — a może nawet wszyscy? — nie żyją. — Podeszła do okna i spojrzała na mrok, w którym widniało zaledwie kilka rozproszonych światełek. — Może masz więc rację. Może jestem jedyną ocalałą z całej ósemki.

— Kim jest łowca?

— No tak. Ludzie nie powinni o nich wiedzieć. Łowca jest zawodowym mordercą, który dostaje listę ofiar do zlikwidowania, do zabicia. Otrzymuje określoną sumę — obecnie jest to, o ile wiem, tysiąc dolarów — za każdego zabitego. Zazwyczaj ma też podpisaną z miastem umowę o pracę i dzięki temu pobiera również pensję. Ale władze ustalają ją na bardzo niskim poziomie, żeby miał motywację do pracy.

— Jesteś pewna? — zapytał Isidore.

— Tak. — Skinęła głową. — Chodzi ci o to, czy jestem pewna, że ma bodziec do zabijania? Owszem, ma. Uwielbia to.'

— Myślę — powiedział Isidore — że się mylisz.

Nigdy w życiu nie słyszał o czymś podobnym. Na przykład Przyjacielski Buster nawet się o tym nie zająknął.

— Przecież to nie zgadza się z obecną, mercerańską etyką — zauważył. — „Każde życie jest nasze”, „Żaden człowiek nie jest samotną wyspą”, jak powiedział dawno temu Szekspir.

— John Donne.

Isidore gestykulował z podnieceniem.

— To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Czy nie możesz zawiadomić policji?

— Nie.

— Czy to ciebie ścigają? Czy mogą tu przyjść i cię zabić? — Teraz rozumiał tajemnicze zachowanie dziewczyny. — Nic dziwnego, że jesteś taka przestraszona i nie chcesz nikogo widzieć. — Ale jednocześnie pomyślał: To muszą być urojenia. Może wynik uszkodzenia mózgu przez pył. Może jest specjalem. — Ja ich pierwszy załatwię — oznajmił.

— Czym? — Uśmiechnęła się lekko, odsłaniając niewielkie, równe, białe zęby.

— Wystąpię o pozwolenie na pistolet laserowy. To łatwe, zwłaszcza jeżeli ktoś mieszka w takim miejscu jak to, gdzie nie ma nikogo i policja nie patroluje. Tutaj trzeba samemu dbać o swoje bezpieczeństwo.

— A gdy będziesz w pracy?

— Wezmę urlop!

— To bardzo miłe, J.R. Isidore. Ale jeżeli łowcy zlikwidowali innych — Maksa Polokova, Garlanda, Lubę, Haskingsa i Roya Beaty... — Urwała gwałtownie. — Roy i Irmgarda Baty. Jeżeli oni nie żyją, to wszystko jest już bez znaczenia. Są moimi najlepszymi przyjaciółmi. Zastanawiam się, dlaczego u diabła nie mam od nich wiadomości? — Zaklęła ze złością.

Isidore przeszedł do kuchni, zabierając ze sobą zakurzone, dawno nie używane talerze, szklanki i miski. Przed umyciem odkręcił najpierw kurek i długo czekał, aż spłynie ruda od rdzy gorąca woda i pojawi się czysta. W końcu przyszła Pris i usiadła przy stole. Otworzył butelkę chablis, podzielił brzoskwinię, ser i galaretkę sojową.

— Co to takiego? Ta biała substancja? Nie ser, prawda?

— Galaretka z mączki sojowej. Szkoda, że nie mam... — Przerwał i zaczerwienił się. — Kiedyś jadano to z sosem od pieczeni wołowej.

— Android — mruknęła Pris. — To pomyłka, jaką robią androidy. Tym właśnie się zdradzają. — Podeszła, stanęła przy nim i z pełnym oszołomieniem zdziwieniem poczuł, że obejmuje go w pasie i na chwilę przytula do niego. — Spróbuję kawałek brzoskwini — powiedziała i zgrabnie chwyciła długimi palcami śliski, różowopomarańczo-

wy, pokryty meszkiem kawałek. I nagle, jedząc go, zaczęła płakać. Zimne łzy spływały po policzkach i kapały na gors jej sukienki. Nie wiedział, co robić i dalej dzielił jedzenie. — Niech to licha — rzuciła z wściekłością. — No cóż... — Odsunęła się od niego i zaczęła spacerować — wolno, miarowymi krokami — naokoło pokoju. — Mieszkaliśmy na Marsie, rozumiesz? Dlatego tyle wiem o androidach. — Głos jej drżał, ale mimo wszystko ciągnęła dalej. Najwidoczniej bardzo jej zależało na tym, aby móc do kogoś mówić.

— I jedynymi ludźmi, jakich znasz na Ziemi — stwierdził Isidore — są twoi znajomi, reemigranci.

— Znaliśmy się jeszcze przed podróżą. Mieszkaliśmy niedaleko Nowego Nowego Jorku. Roy Baty i Irmgarda prowadzili aptekę, on był farmaceutą, ona zaś zajmowała się kosmetykami, kremami i maściami. Na Marsie korzysta się z bardzo wielu środków do pielęgnacji skóry. Ja... — Zawahała się. — Kupowałam u Roya rozmaite lekarstwa... Potrzebowałam ich początkowo, bo... no cóż, to jest jednak koszarne miejsce. Tego... — ogarnęła jednym, gwałtownym gestem pokój, całe mieszkanie — ... tego nie da się nawet porównać. Myślisz, że cierpię dlatego, że jestem samotna? Do diabła, cały Mars jest samotny. O wiele bardziej niż Ziemia.

— Czy androidy nie dotrzymują wam towarzystwa? Słyszałem program reklamy na ten temat... — Usiadł i zaczął jeść. W końcu ona również wzięła do ręki kieliszek z winem i beznamiętnie upiła łyk. — Miałem wrażenie, że androidy wam pomagają.

— Androidy również są samotne.

— Czy smakuje ci wino?

Odstawiła kieliszek.

— Jest dobre.

— Od trzech lat nie widziałem innej butelki.

— Wróciliśmy — powiedziała Pris. — Ponieważ nikt nie powinien tam być. Mars nie został stworzony do zamieszkania, przynajmniej w ciągu ostatniego biliona lat. Jest taki stary. Czuje się ten straszliwy wiek w jego kamieniach. W każdym razie brałam u Roya różne środki — żyłam wyłącznie dzięki nowemu, syntetycznemu środkowi przeciwbólowemu — silenzinie. Wtedy też spotkałam Horsta Hartmana, który prowadził wówczas sklep filatelistyczny, z rzadkimi okazami. Mając tyle wolnego czasu, trzeba koniecznie znaleźć sobie jakieś hobby, coś, czym można zajmować się bez przerwy. I właśnie Horst zainteresował mnie fantastyką z okresu przed kolonialnego.

— Chodzi ci o stare książki?

— Opowieści o podróżach kosmicznych, zanim rozpoczęto podróże kosmiczne.

— W jaki sposób można było pisać o podróżach kosmicznych, zanim...

— Pisarze — odparła Pris — je wymyślili.

— Opierając się na czym?

— Na wyobraźni. Bardzo często okazywało się, że byli w błędzie. Na przykład pisali o Wenus, że jest rajska planeta, pokryta dżunglą i zamieszkałą przez potwory i kobiety w lśniących napiersznikach. — Popatrzyła na niego. — Czy cię to interesuje? Wielkie kobiety z zaplecionymi w warkocze blond włosami i w błyszczących napiersznikach, w których pomieściłyby się melony?

— Nie — odparł.

— Irmgarda jest blondynką — rzekła Pris. — Ale niedużą. W każdym razie można zbić majątek na szmuglu na Marsa przed kolonialnej fantastyki. Czasopism, książek i filmów. Nie ma nic bardziej podniecającego. Znajdziesz tam opisy wspaniałych miast, wielkich przedsięwzięć przemysłowych i naprawdę pomyślnej kolonizacji. A wtedy sobie wyobrażasz, jak mogło wszystko wyglądać. Czym Mars mógł być. Kanały...

— Kanały? — Coś sobie niewyraźnie przypominał. Dawno temu wierzono, że na Marsie są kanały.

— Przecinające całą planetę — dodała Pris. — A także istoty z gwiazd. Obdarzone nieograniczoną wiedzą, I jeszcze opowiadania o Ziemi osadzone w naszych czasach, a nawet później. Ale bez pyłu radioaktywnego.

— Ja bym sądził — powiedział Isidore — że po takiej lekturze człowiek czuje się gorzej.

— Ale tak nie jest — stwierdziła lakonicznie Pris.

— Czy przywiozłaś ze sobą jakieś przedkolonialne lektury? — Przyszło mu do głowy, że mógłby przeczytać na próbę coś takiego.

— Tutaj są bezwartościowe, bo na Ziemi ta namiętność nigdy się nie zakorzeniła. I tych książek jest tu całe mnóstwo po bibliotekach. Stąd pochodziły wszystkie nasze — zostały ukradzione z ziemskich bibliotek i wysłane automatyczną rakieta na Marsa. Wychodzi się w nocy na otwartą przestrzeń i nagle widzi się błysk. A potem znajduje się otwartą raketę, a wokół niej rozsypaną przedkolonialną fantastykę. Majątek. Ale oczywiście, zanim je sprzedawaliśmy, czytaliśmy je od deski do deski. — Był to dla niej wyraźnie podniecający temat. — Przede wszystkim...

Rozległo się stukanie do drzwi wejściowych.

Twarz Pris zszarzała jak popiół.

— Nie mogę podejść — wyszeptała. — Nie hałasuj, tylko siedź. — Nasłuchiwała z napięciem. — Zastanawiam się, czy drzwi są zamknięte — powiedziała niemal niesłyszalnie. — Boże, mam nadzieję, że tak. — Jej oczy, dzikie i pełne napięcia, utkwione były w Isidore, jakby modliła się, aby okazało się to prawdą.

Odległy głos z korytarza zawołał:

— Pris, jesteś tam?

Męski głos dodał:

— Tu Roy i Irmgarda. Dostaliśmy twoją kartę.

Pris wstała, wyszła do sypialni i pojawiła się z piórem i kawałkiem papieru. Usiadła znowu i nabazgrała szybko:

PODEJDŹ DO DRZWI.

Isidore wziął nerwowym gestem papier i pióro i napisał:

CO MAM POWIEDZIEĆ?

Ze złością odpisała:

SPRAWDŹ, CZY TO RZECZYWIŚCIE ONI.

Podniósł się i przeszedł z ponurą miną do saloniku. Skąd mam wiedzieć, że to oni? — zapytał sam siebie. Otworzył drzwi.

W mrocznym holu stało dwoje ludzi. Drobna kobieta, blondynka o niebieskich oczach i miłym wyglądzie budzącym skojarzenia z Gretą Garbo i potężny mężczyzna o inteligentnym spojrzeniu, lecz płaskiej twarzy z mongolskimi rysami, które nadały mu brutalny wygląd. Kobieta miała na sobie modną pelerynę, wysokie, lśniące buty i obcisłe spodnie. Mężczyzna zaś był ubrany w pogniecioną koszulę i poplamione spodnie, jakby chciał wyglądać wulgarnie. Uśmiechnął się do Isidore, ale jego oczy pozostały bez wyrazu.

— Szukamy... — zaczęła drobna blondynka, ale w tej samej chwili spojrziała za plecy Isidore. Jej twarz rozpromieniła się gwałtownie i kobieta przemknęła obok niego, wołając:

— Pris! Jak się masz!

Isidore odwrócił się. Obie kobiety obejmowały się. Odsunął się i do środka wszedł Roy Baty. Posepny, wielki i z krzywym uśmiechem na wargach.

Rozdział XIV

— Czy możemy swobodnie rozmawiać? — zapytał Roy wskazując Isidore.

Drżąca ze szczęścia Pris odparła:

— Owszem. Do pewnego stopnia.

— Przepraszam — zwróciła się do Isidore. Odprowadziła Batych na stronę i zaczęła coś do nich mówić szeptem. Potem cała trójka wróciła do czującego się niezręcznie i nieswojo Isidore. — To pan Isidore — oznajmiła Pris. — Dbaj o mnie. — W jej słowach dźwięczał jakiś niemal złośliwy sarkazm. Isidore zamrugał. — Widzicie? Nawet mi przyniósł trochę naturalnej żywności.

— Żywność — powtórzyła Irmgarda Baty i pobiegła w stronę kuchni, aby zobaczyć, o czym mówi Pris. — Brzoskwinie — wykrzyknęła, chwytając miskę i łyżkę. Uśmiechając się do Isidore jadła szybkimi, małymi kęsami jak zwierzątko. Jej uśmiech, nie tak jak Pris, był po prostu ciepły. Bez żadnych podtekstów.

Isidore poszedł za nią. Czuł, że kobieta w jakiś dziwny sposób go pociąga.

— Jesteście z Marsa — powiedział.

— Tak. Poddaliśmy się. — Głos Irmgardy unosił się i opadał, a ona sama błyszczącymi oczyma przyglądała się z ptasią ciekawością Isidore. — W jakim koszmarnym budynku pan żyje. Nie mieszka w nim nikt poza panem, prawda? Nie widzieliśmy żadnych świateł.

— Moje mieszkanie jest wyżej — odparł Isidore.

— Och, myślałam, że może Pris i pan żyjecie wspólnie. — W głosie Irmgardy Baty nie brzmiała dezaprobata. Po prostu stwierdzała fakt.

Posępnie, ale wciąż ze swoim uśmiechem na wargach Roy powiedział:

— No cóż. Dopadli Polokova.

Radość, która na widok przyjaciół pojawiła się na twarzy Pris, zniknęła natychmiast.

— Kogo jeszcze?

— Garlanda — dodał Roy. — A także Andersa i Gitchela, a dzisiaj, stosunkowo niedawno, Lubę. — Wiadomość, którą przekazywał, brzmiała w jego ustach tak, jakby sprawiała mu jakąś perwersyjną przyjemność. Jakby wstrząs przeżyty przez Pris był dla niego źródłem szczególnej rozkoszy. — Nie przypuszczałem, że dopadną Lubę. Pamiętasz, że mówiłem to przez cały rejs?

— W takim razie pozostaliśmy... — rzekła Pris.

— ... my troje — dodała Irmgarda z pełnym niepokojem pośpiechem.

— Dlatego jesteśmy tutaj — donośny głos Roya Baty'ego nabrał nagle nieoczekiwanie ciepłych tonów. Im gorsza była sytuacja, tym bardziej zdawał się nią cieszyć. Isidore nie mógł tego w żaden sposób pojąć.

— O Boże — jęknęła wstrząśnięta Pris.

— No cóż, mają swojego śledczego, swojego łowcę — oznajmiła podnieconym głosem Irmgarda. — Nazywa się Dave Holden. — Wymówiła nazwisko tak, że zdawało się ociekać jadem. — Polokov nieomal go załatwił.

— Nieomal go załatwił — powtórzył Roy, uśmiechając się prawie od ucha do ucha.

— Ten łowca znalazł się w szpitalu — ciągnęła dalej Irmgarda. — Najwyraźniej jednak przekazali jego listę innemu i Polokov również nieomal go załatwił. Ale w końcu łowcy udało się usunąć Polokova. I ruszył po Lubę. Wiemy o tym, bo zdążyła porozumieć się z Garlandem. Wysłał kogoś, żeby zatrzymał łowcę i przywiózł go do budynku przy Mission Street. Luba zadzwoniła do nas już po tym, jak agent Garlanda zabrał łowcę. Była pewna, że wszystko jest załatwione, sądziła, że Garland go zabije. — Po chwili dodała: — Ale najwyraźniej na Mission zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Nie wiemy co. I może nigdy się nie dowiemy.

— Czy łowca zna nasze nazwiska? — spytała Pris.

— O tak, kochanie. Sądzę, że tak — odparła Irmgarda. — Ale nie wie, gdzie jesteśmy. Roy i ja nie mamy zamiaru wracać do naszego mieszkania. Wrzuciliśmy do wozu tyle rzeczy, ile się nam udało zmieścić i postanowiliśmy, że zajmiemy jeden z opuszczonych lokali w tym starym domu.

— Czy to rozsądne? — zapytał Isidore, zebrawszy całą odwagę. — Ż-ż-że będziemy wszyscy w jednym miejscu?

— No cóż, dostali już pozostałych — rzekła Irmgarda. Podobnie jak jej mąż, mimo pozornego podniecenia, sprawiała wrażenie dziwnie zrezygnowanej. Wszyscy oni, pomyślał Isidore, są jacyś dziwni. Czuł to, ale nie mógł sprecyzować, o co mu chodzi. Sprawiali wrażenie, jakby ich procesy myślowe zakłócało jakieś szczególne, złośliwe rozartgnienie. Może z wyjątkiem Pris, która była po prostu przerażona. Ona wydawała się prawie naturalna. Ale...

— Dlaczego nie przeprowadzisz się do niego? — zapytał ją Roy, wskazując Isidore. — W jakimś stopniu będzie w stanie cię chronić.

— Z kurzym mózdzkiem? — odparła Pris, rozdymając nozdrza. — Nie mam zamiaru żyć ze specjalem.

— Uważam, że robisz głupstwo, zadzierając nosa w takich czasach — oznajmiła gwałtownie Irmgarda. — Łowcy działają szybko. Ten może spróbować zakończyć wszystko jeszcze dzisiaj wieczorem. Liczy pewnie, że dostanie specjalną premię, jeżeli załatwi sprawę przed...

— O rany, zamknijmy drzwi na korytarz — rzekł Roy. Podszedł do nich i zatrzasnął je jednym pchnięciem, przekręcając przy okazji zamek. — Uważam, Pris, że powinnaś pójść do Isidore, a ja z Irm pozostaniemy w tym budynku. W ten sposób będziemy mogli pomagać sobie nawzajem. Mam w samochodzie trochę elektronicznych części, złomu, który zabrałem ze statku. Założę dwustronny podsłuch, dzięki czemu Pris będzie mogła słyszać nas, a my ją. Zainstaluję też system alarmowy, który każdy z nas czworga będzie mógł wyłączyć. Wyraźnie widać, że syntetyczne osobowości nie zdały egzaminu, nawet w przypadku Garlanda. Oczywiście, Garland sam włożył głowę w pętlę, sprawdzając łowcę do budynku na Mission. To był błąd. Podobnie Polokov, zamiast trzymać się od łowcy jak najdalej, postanowił się do niego zbliżyć. Nie powtórzymy tego błędu. Pozostaniemy w jednym miejscu. — Wcale nie wyglądał na zmartwionego. Wręcz przeciwnie — sytuacja wydawała się przepełniać go intensywną, niemal szaleńczą energią. — Uważam... — Nabrał głęboko powietrza, przyciągając uwagę wszystkich obecnych w pokoju, nawet Isidore. — Uważam, że dlatego wciąż jeszcze żyjemy. Gdyby łowca miał pojęcie, gdzie nas szukać, już by się pokazał. Praca łowcy na tym właśnie polega, żeby poruszać się jak najszybciej. Dopiero wtedy ma z tego zysk.

— A jeżeli będzie zwlekał — przytaknęła Irmgarda — wyslizgniemy się znowu. Sądzę, że Roy ma rację. Założę się, że łowca dysponuje naszymi nazwiskami, ale nie wie, gdzie nas szukać. Biedna Luba. Ukryła się w operze, na widoku. Odnaleźli ją bez trudu.

— No cóż, tak sobie życzyła — odparł nienaturalnym tonem Roy. — Sądziła, że jako osoba publiczna będzie bezpieczniejsza.

— Uprowadziłaś ją, że stanie się inaczej — przypomniała Irmgarda.

— Tak — przyznał Roy. — Tłumaczyłem jej, podobnie jak mówiłem Polokovowi, żeby nie próbował udawać funkcjonariusza WOP. Tłumaczyłem również Garlandowi, że załatwi go jeden z jego własnych łowców i bardzo możliwe, że tak właśnie się stało. — Kołysał się w przód i w tył. Na jego twarzy malowało się głębokie zamyślenie.

— Z-z tego, c-c-co mówi pan Baty — oznajmił Isidore — wnioskuje, że on jest waszym przywódcą.

— O tak — stwierdziła Irmgarda. — Roy jest przywódcą.

— Zorganizował naszą... podróż — dodała Pris. — Z Marsa tutaj.

— W takim razie — stwierdził Isidore — lepiej zróbcie, j-j-jak wam radzi. — Głos łamał mu się z napięcia i pełnej oczekiwania nadziei. — S-s-sądzę, że byłoby wspaniale...

le, Pris, gdybyś za-za-zamieszkała ze mną. Na parę dni wezmę zwolnienie z pracy — należy mi się urlop. I dopilnuję, żeby wszystko było w porządku. — A Milt, który jest bardzo pomysłowy, może zdoła zrobić mi jakąś broń. Coś wyjątkowego, z pomocą czego można zabijać łowców... kimkolwiek oni są. Przez głowę przemknął mu niewyraźny, mroczny obraz czegoś bezlitosnego, uzbrojonego i wyposażonego w wydrukowaną listę, co jak maszyna wypełnia codzienne, biurokratyzowane obowiązki zabójcy. Czegoś bez emocji, nawet bez twarzy. I jeżeli łowca zostanie zabity, natychmiast zastąpi go niemal identyczny. I tak dalej, aż wszystko, co żyje i jest prawdziwe, zostanie zastrzelone.

Aż trudno uwierzyć, pomyślał, że policja nic na to nie może poradzić. Nie mogę w to uwierzyć. Ci ludzie musieli coś zrobić. Być może wrócili na Ziemię nielegalnie. Wciąż nam powtarzają — telewizja wciąż powtarza — że trzeba meldować o lądowaniach statku poza oficjalnymi lądowiskami. Policja na pewno tego pilnuje.

Ale nawet w takich przypadkach nikt nikogo nie zabija umyślnie. To sprzeczne z merceryzmem.

— Kurzy mózdzek mnie lubi — oświadczyła Pris.

— Nie nazywaj go w ten sposób, Pris — Irmgarda popatrzyła ze współczuciem na Isidore. — Pomyśl, jak mógłby nazywać ciebie.

Pris nie odpowiedziała. Jej twarz stała się nieprzenikniona.

— Zacznę zakładać podsłuch — oznajmił Roy. — Irmgarda i ja zatrzymamy się w tym mieszkaniu. Pris pójdzie z panem, panie Isidore.

Skierował się w stronę drzwi, poruszając się bardzo zwinnie jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę. W mgnieniu oka otworzył z trzaskiem drzwi i zniknął w korytarzu. Isidore miał przez chwilę dziwne złudzenie — przez ułamek sekundy widział metalową konstrukcję z cięgłami i obwodami, akumulatorami, serwomechanizmami i kołami zębatymi — a zaraz potem ponownie ujrzał znikającą za drzwiami niechlujną postać Roya Baty'ego. Isidore poczuł, jak wzbiera w nim śmiech — i stłumił go z trudem. Był oszołomiony.

— Człowiek czynu — powiedziała z rezerwą Pris. — Szkoda tylko, że jest tak niezgrabny, gdy ma do czynienia z techniką.

— Jeżeli ocalejemy — odparła surowym tonem Irmgarda, zupełnie jakby udzielała jej nagany — to tylko dzięki Royowi.

— Ale czy warto — powiedziała Pris właściwie sama do siebie. Wzruszyła ramionami, a potem skinęła głową Isidore. — W porządku J.R. Idę z tobą i będziesz mógł mnie chronić.

— W-w-was wszystkich — odparł natychmiast Isidore.

— Chciałabym — oświadczyła poważnym, oficjalnym tonem Irmgarda Baty — aby pan wiedział, jak bardzo to doceniamy, panie Isidore. Jest pan pierwszym przyjacielem, którego znaleźliśmy na Ziemi. To bardzo miłe z pana strony i może kiedyś zdołamy się panu zrewanżować. — Podeszła do niego i poklepała go po ramieniu

— Czy macie jakąś przedkolonialną beletrystykę, którą mógłbym przeczytać? — zapytał ją.

— Słucham? — Irmgarda ze zdziwieniem spojrzała na Pris.

— Chodzi mu o stare czasopisma — odparła dziewczyna. Spakowała trochę swoich rzeczy i Isidore, czując wewnętrzne ciepło, którego źródłem mogło być jedynie osiągnięcie zamierzonego celu. Wziął z jej rąk węzełek. — Nie, J.R. Nie przywieźliśmy ich ze sobą. Tłumaczyłam ci już, dlaczego.

— P-p-pójdę jutro do biblioteki — oznajmił, wychodząc na korytarz. — I p-p-przyniosę coś do czytania dla siebie i dla was, żebyście mieli czym się zająć. Od samego czekania można przecież oszaleć.

Zaprowadził Pris do swojego mieszkania. Było mroczne, puste, duszne i ledwo ciepłe. Kiedy zaniósł jej rzeczy do sypialni, natychmiast włączył ogrzewanie, światła i odbierający tylko jeden kanał telewizor.

— Podoba mi się tutaj — oznajmiła Pris. Mówiła jednak wciąż tym samym, jakby nieobecny tonem. Błąkała się po pokojach z rękami w kieszeniach spódnicy. Miała kwaśną minę i można było odnieść wrażenie, że jej niezadowolenie przybrało wyraz niemal świętego oburzenia, tak wyraźnie kontrastującego z tym stwierdzeniem.

— O co chodzi? — zapytał odkładając jej rzeczy na sofę.

— O nic. — Zatrzymała się przy panoramicznym oknie, odsunęła zasłony i zapatrzyła się posępnie w przestrzeń.

— Jeżeli uważasz, że was szukają... — zaczął.

— To sen — odparła Pris. — Spowodowany narkotykami, które podawał mi Roy.

— S-słucham?

— Czy rzeczywiście sądzisz, że łowcy istnieją?

— Pan Baty powiedział, że zabili waszych przyjaciół.

— Roy Baty jest równie szalony jak ja — odparła Pris. — Nasza podróż naprawdę odbyła się między szpitalem psychiatrycznym na Wschodnim Wybrzeżu a tym miejscem. Wszyscy jesteśmy schizofrenikami o zdefektowanych strukturach emocjonalnych — nazywają to spłaszczeniem efektu. I mamy grupowe halucynacje.

— Nie wierzyłem, że to prawda, co mówiliście — powiedział z ulgą.

— Dlaczego? — Odwróciła się i wbiła w niego uważne spojrzenie. Patrzyła tak bawczo, że poczuł, jak się rumieni.

— B-b-bo takie rzeczy się nie zdarzają. Rz-rz-rząd nikogo nigdy nie zabija, żadne przestępstwo nie jest karane śmiercią. A merceryzm...

— Ale jeżeli nie jesteś człowiekiem — powiedziała Pris — wtedy wszystko wygląda inaczej.

— To nieprawda. Nawet zwierzęta — węgorze, świstaki, węże i pająki są święte.

Wciąż wpatrująca się w niego uważnie Pris zapytała:

— A więc to niemożliwe, prawda? Jak powiedziałaś, nawet zwierzęta są chronione przez prawo. Wszystkie formy życia. Wszystkie organiczne istoty, które wiją się, pełzają, kopią nory, latają, roją się, składają jaja... — przerwała, bo w tej właśnie chwili Roy Baty otworzył gwałtownie drzwi do mieszkania i wszedł do środka, ciągnąc za sobą szeleszczące przewody.

— Owady — oświadczył bez zmieszania — są szczególnie czczone. — Zdjął obraz ze ściany w salonie, umocował do gwoździa maleńki, elektroniczny aparat i cofnął się trochę. Przyjrzał się swojemu dziełu, a potem znowu zawiesił obraz. — Teraz alarm. — Zebrał ciągnące się za nim przewody umocowane do skomplikowanego urządzenia. Wciąż uśmiechając się swoim niepokojącym uśmiechem, pokazał aparaturę Pris i Johnowi Isidore. — Alarm. Przewody umieszczone pod dywanem. Są anteną. Reaguje na obecność... — zawahał się — myślącej jednostki — zakończył w niejasny sposób. — Nie jest nikim z nas czworga.

— A więc zadzwoni — powiedziała Pris. — I co wtedy? Łowca będzie miał broń. Czy mamy wszyscy rzucić się na niego i zagryźć go na śmierć?

— To urządzenie ma wbudowany modulator Penfielda — wyjaśnił Roy. — Kiedy alarm się włączy, zespół zacznie emitować fale wprowadzające intruza w panikę. Chyba że zadziała bardzo szybko, co jest możliwe. Wpadnie w nastrój straszliwej paniki. Nastroiłem aparat na pełną moc. Żadna ludzka istota nie zdoła wytrzymać w sąsiedztwie tej aparatury dłużej niż kilka sekund. Na tym polega panika — prowadzi do przypadkowych, absurdalnych działań, bezsensownej ucieczki, skurczy mięśniowych i nerwowych. A to da nam szansę, by go dopaść — zakończył. — Mamy taką możliwość. Wszystko zależy od tego, jak jest dobry.

— Czy alarm nie zadziała również na nas? — spytał Isidore.

— Słusznie — Pris zwróciła się do Roya Baty'ego. — Isidore zareaguje na niego.

— No i co z tego — odparł Baty znowu zabierając się do zakładania instalacji. — W takim razie obaj wybiegną stąd w panice. Zyskamy na czasie. Nie zabiją Isidore, nie mają go na swojej liście. Dlatego jest dla nas przydatny jako osłona.

— Nie mógłbyś lepiej tego urządzić, Roy? — zapytała ostro Pris.

— Nie — odparł. — Nie mogę.

— Jutro z-z-zdołam zorganizować jakąś broń — odezwał się Isidore.

— Czy jesteś pewien, że obecność Isidore nie spowoduje włączenia alarmu? — powiedziała Pris. — W końcu on jest... Sam wiesz.

— Wprowadziłem poprawkę na jego emanacje umysłowe — wyjaśnił Roy. — Ich suma nie jest w stanie włączyć niczego. Na to trzeba by jeszcze jednego człowieka. Osobę. — Ze zmarszczonymi brwiami zerknął na Isidore, w pełni uświadamiając sobie znaczenie wypowiedzianych słów.

— Jesteście androidami — stwierdził Isidore. Ale nie obchodziło go to, nie robiło mu najmniejszej różnicy. — Rozumiem, dlaczego chcą was zabić — powiedział. — Tak naprawdę, wcale nie żyjecie. — Wszystko teraz zaczęło być zrozumiałe. Łowca, zlikwidowanie ich przyjaciół, podróż na Ziemię, wszystkie środki bezpieczeństwa.

— Kiedy użyłem słowa „człowiek” — Roy Baty powiedział do Pris — zastosowałem niewłaściwe określenie.

— Słusznie, panie Baty — przytaknął Isidore. — Ale jakie to ma dla mnie znaczenie? Przecież jestem specjalem. Nie traktują mnie zbyt dobrze, na przykład nie mogę emigrować. — Zorientował się, że dusi się własnymi słowami. — Wy nie możecie przyjechać tutaj, ja nie mogę... — Uspokoił się.

Po chwili milczenia Roy Baty oznajmił lakonicznie:

— Mars by ci się nie spodobał. Nic nie tracisz.

— Zastanawiałam się, ile czasu potrwa, zanim się zorientujesz — powiedziała do Isidore Pris. — Różnimy się, prawda?

— Na tym zapewne potknął się Garland i Maks Polokov — rzekł Roy Baty. — Byli tak cholernie przekonani, że zdołają udawać ludzi. Luba również.

— Jesteście intelektualni — powiedział Isidore. Znowu czuł podniecenie z faktu, że udało mu się ich przejrzeć. Podniecenie i dumę. — Myślicie abstrakcyjnie i nie... — Gestykulował, słowa plątały mu się. Jak zwykle. — Chciałbym mieć to co wy, wtedy zdałbym testy, nie byłbym już kurzym mózdzkiem. Myślę, że stoicie o wiele wyżej. Mógłbym się sporo od was nauczyć.

Po chwili milczenia Roy Baty powiedział:

— Skończę montować alarm. — Znowu zabrał się do pracy.

— Jeszcze się nie zorientował — oznajmiła ostrym, mocnym głosem Pris — w jaki sposób wydostaliśmy się z Marsa. Co tam zrobiliśmy.

— Nic nie mogliśmy na to poradzić — mruknął Roy Baty.

W otwartych drzwiach do korytarza stała Irmgarda Baty. Zauważyli ją dopiero, kiedy się odezwała:

— Nie sądzę, żebyśmy musieli się martwić panem Isidore — powiedziała z przejęciem. Podeszła do niego szybkim krokiem i popatrzyła mu w oczy. — Nie traktują go przecież zbyt dobrze, jak sam powiedział. A to, co zrobiliśmy na Marsie, wcale go nie interesuje. Zna nas i lubi, a taka emocjonalna akceptacja jest dla niego wszystkim. Trudno nam pojąć, ale to prawda. — Następnie zwróciła się do Isidore, znowu stała tuż obok niego i zadzierała w górę głowę, by na niego spojrzeć. — Jeżeli nas wydasz, dostaniesz dużo pieniędzy, czy zdajesz sobie z tego sprawę? — Odwróciła się i powiedziała do swojego męża. — Widzisz, wie o tym, ale mimo wszystko nic nie powie.

— Jesteś wielkim człowiekiem, Isidore — oznajmiła Pris. — Jesteś chlubą swojego gatunku.

— Gdyby był androidem — oświadczył zdecydowanie Roy — wydałby nas mniej więcej jutro o dziesiątej rano. Wyjechałby do pracy i byłoby po wszystkim. Jestem pełen podziwu. — Trudno było rozszyfrować ton jego głosu, przynajmniej Isidore nie potrafił. — A my wyobrażaliśmy sobie nieprzyjazny świat, planetę pełną wrogich twarzy, gdzie wszyscy będą nastawieni przeciwko nam. — Roześmiał się ostro.

— Wcale się tym nie martwię — powiedziała Irmgarda.

— Powinnaś być nieprzytomna z przerażenia — stwierdził Roy.

— Głosujmy — zaproponowała Pris. — Tak jak robiliśmy na statku, kiedy powstała różnica zdań.

— Dobrze — oznajmiła Irmgarda. — Już nic nie powiem. Ale uważam, że jeżeli odrzucimy tę propozycję, nie znajdziemy innej ludzkiej istoty, która nas przygarnie i udzieli pomocy. Pan Isidore jest... — nie mogła znaleźć słowa.

— Specjalny — podpowiedziała jej Pris.

Rozdział XV

Głosowanie przeprowadzono z powagą, uroczyście.

— Pozostajemy tutaj — oświadczyła stanowczo Irmgarda. — W tym domu, w tym mieszkaniu.

— Ja natomiast głosuję za tym — powiedział Roy Baty — żebyśmy zabili pana Isidore i ukryli się gdzie indziej.

On, jego żona — i John Isidore — obrócili się z napięciem w stronę Pris.

Pris oznajmiła cicho:

— Głosuję, żebyśmy pozostali tutaj. A potem dodała głośniejszym głosem: — Uważam, że przydatność J.R. dla nas jest większa niż stwarzane przez niego zagrożenie, ponieważ wie. Żyjąc wśród ludzi najwidoczniej nie możemy uniknąć rozpoznania. To właśnie spowodowało śmierć Polokova, Garlanda, Luby i Andersa. Właśnie to ich zabiło.

— A może postąpili dokładnie tak samo, jak my teraz — powiedział Roy Baty. — Zaufali jednej jedynej istocie ludzkiej, o której sądzili, że jest inna. Jak powiedziałyście, specjalna.

— Nie wiemy — przyznała Irmgarda. — To tylko założenie. Sądzę, że oni... — Zrobiła ręką gest. — Chodzili po ulicach. Śpiewali na scenie jak Luba. Wierzymy... właśnie to, w co wierzymy, jest źródłem naszych niepowodzeń, Roy. Ta nasza cholerna, wyższa inteligencja! — Spojrzała gniewnie na męża. Jej drobne, strome piersi poruszały się gwałtownie w rytm oddechu. — Jesteśmy tacy sprytni... Roy, właśnie tak postępujesz. Niech cię licho, właśnie tak postępujesz!

— Mam wrażenie, że Irm ma rację — powiedziała Pris.

— A więc uzależniamy nasze życie od niepełnowartościowego, nieszczęsnego... — zaczął Roy, ale urwał nagle. — Jestem zmęczony — oświadczył po prostu. — To była długa podróż, Isidore. Ale nasz pobyt tutaj jest krótki. Niestety.

— Mam nadzieję — rzekł radośnie Isidore — że pomogę uprzyjemnić wasz pobyt tu, na Ziemi. — Był o tym przekonany. Miał wrażenie, że jest to najważniejszy moment całego życia. Czuł nową stanowczość, którą okazał dziś podczas rozmowy przez telefon.

Natychmiast po zakończeniu pracy Rick Deckard poleciał na drugi kraniec miasta do sklepów ze zwierzętami — do kilku kwartałów zajętych przez wielkie sklepy zoologiczne, pełnych wielkich okien wystawowych i kuszących reklam. Wciąż nie opuszczało go to samo nowe, straszliwe przygnębienie, które tak bardzo odczuł wcześniej tego dnia rano. Jego zainteresowanie zwierzętami i ludźmi, którzy nimi handlowali, zdawało się być jedynym jasnym punktem w spowijającym go całunem depresji, szczeliną, przez którą będzie w stanie wydostać się z sytuacji, w jakiej się znalazł. W przeszłości widok zwierząt, świadomość odbywających się transakcji opiewających na wysokie sumy niezwykle mu pomagały. Może stanie się tak również i dzisiaj.

— Słucham pana — schludnie ubrany nowy ekspedient zagadnął Deckarda, który stał wpatrzony w gabloty z pełnym pokory pożądaniami. — Czy coś pana zainteresowało?

— Niejedno — odparł Rick. — Problemem jest cena.

— Proszę powiedzieć, jakiego rodzaju zakup chciałby pan przeprowadzić — oznajmił sprzedawca. — Co zamierza pan u nas zdobyć i w jaki sposób ma pan zamiar za to zapłacić. Przedstawimy wszystko naszemu kierownikowi działu sprzedaży i uzyskamy jego akceptację.

— Mam trzy tysiące gotówką. — Pod koniec dnia wydział wypłacił mu nagrody. — Ile kosztowałyby — zapytał — ta rodzina królików?

— Proszę pana, jeżeli może pan zapłacić od ręki trzy tysiące, mogę panu zaproponować coś o wiele lepszego od pary królików. Co by pan powiedział o kozie?

— Nie zastanawiałem się specjalnie nad kozą — stwierdził Rick.

— Czy wchodzi pan na zupełnie nowy pułap cen, jeżeli wolno zapytać?

— No cóż, zazwyczaj nie noszę przy sobie trzech tysięcy — przyznał Rick.

— Tak właśnie pomyślałem, proszę pana, kiedy wspomniał pan o królikach. Cały problem z królikami polega jednak na tym, że wszyscy je mają. Ja natomiast chciałbym, aby awansował pan do wyższej klasy, klasy posiadaczy kóz, do której — jestem tego pewien — powinien pan należeć. Szczerze mówiąc, sprawia pan na mnie wrażenie posiadacza kozy.

— Dlaczego uważa pan, że kozy są lepsze?

— Bardzo poważną zaletą kozy jest to — stwierdził sprzedawca — że można ją nauczyć bóść każdego, kto próbuje ją ukraść.

— To nic nie da, jeżeli strzelą do niej nabojem usypiającym i zejną po drabince sznurowej z hovera — stwierdził Rick.

Niezmiészany sprzedawca ciągnął dalej:

— Kozą jest lojalna. I posiada wolną, szczerą duszę, której żadna klatka nie jest w stanie powstrzymać. I istnieje jeszcze jedna dodatkowa cecha kozy, z której może nie zda-

je pan sobie sprawy. Bardzo często zdarza się, że inwestuje pan w zwierzę, zabiera je do domu i w pewnym momencie okazuje się, że zjadło coś radioaktywnego i zmarło. Na kozę nie działa zanieczyszczony pseudopokarm. Może żywić się eklektycznie, nawet czymś, co mogłoby zabić krowę, konia, a szczególnie kota. Jesteśmy zdania, że koza jako długoterminowa inwestycja, szczególnie samica, jest w stanie przynosić korzyści poważnemu miłośnikowi zwierząt.

— Czy ta koza jest samicą? — Wreszcie zauważył wielką, czarną kozę stojącą w samym środku klatki. Poszedł w jej stronę, a ekspedient mu towarzyszył. Rickowi koza wydała się przepiękna.

— Tak, to samica. Czarna koza nubijska, jak pan widzi, bardzo duża. Ma wspaniałe notowania na tegorocznym rynku. A oferujemy ją po wyjątkowo atrakcyjnej, niskiej cenie.

Rick wydobył swojego zmiętego Sidneya i odszukał pozycję „kozy, czarne nubijskie”.

— Czy będzie to transakcja gotówkowa? — spytał ekspedient. — Czy też daje pan w rozrachunku używane zwierzę?

— Całkowicie gotówkowa.

Sprzedawca na kawałku papieru nagryzmołił cenę i szybko, niemal ukradkiem pokazał ją Rickowi.

— Za dużo — odparł Rick. Wziął kartkę i napisał o wiele mniejszą.

— Nie możemy sprzedać kozy za tyle — zaprotestował ekspedient. Napisał kolejną liczbę. — Ma niecały rok, a statystyczna długość jej życia jest bardzo duża. — Pokazał cenę Rickowi.

— Zgoda — stwierdził Rick.

Podpisał kontrakt kupna, zapłacił pierwszą ratę w wysokości trzech tysięcy dolarów — wszystkie pieniądze z nagród — i wkrótce potem zorientował się z lekkim oszołomieniem, że stoi przy swoim hoverze, podczas gdy pracownicy sklepu zoologicznego ładują do jego maszyny klatkę z kozą. Mam już zwierzę, pomyślał. Żywe zwierzę, a nie elektryczne. Po raz drugi w życiu.

Wydatek i wynikające z kontraktu zadłużenie wstrząsnęły nim, czuł, że cały dygocze. Ale musiałem to zrobić, powiedział sam do siebie. Po tym, co przeżyłem w związku z Philem Reschem, muszę odzyskać wiarę w siebie i swoje umiejętności.

Nieposłusznymi dłońmi skierował hovera w niebo i poleciał w stronę mieszkania i Iran. Będzie zła, pomyślał. Będzie ją niepokoić odpowiedzialność. A ponieważ jest przez cały dzień w domu, większość prac przy doglądaniu kozy spadnie na nią. Znowu poczuł przygnębienie.

Kiedy wylądował na dachu domu, siedział przez jakiś czas, obmyślając najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Wymaga tego moja praca, pomyślał, sięgając po ostateczne argumenty. Sprawa prestiżu. Nie możemy dalej obywać się elektryczną owcą, to źle wpływa na moje morale. Może będę w stanie jej to wytłumaczyć, pocieszał się.

Wyszedł z maszyny, wyciągnął klatkę z kożą z tylnego siedzenia i z wysiłkiem zdołał ustawić ją na dachu. Koza, która w czasie przenosin ślizgała się po podłodze klatki, patrzyła na niego uważnie, ale nie wydała żadnego dźwięku.

Zszedł na swoje piętro i skierował się korytarzem pod drzwi mieszkania.

— Cześć — przywitała go Iran, przygotowująca w kuchni obiad. — Dlaczego tak późno?

— Chodź ze mną na dach — powiedział. — Chcę ci coś pokazać.

— Kupiłeś zwierzę. — Zdjęła fartuch, odruchowo przygładziła włosy i wyszła za nim z mieszkania. Ruszyli korytarzem dużymi, niecierpliwymi krokami. — Nie powinieneś go kupować beze mnie — powiedziała Iran, dysząc ciężko. — Mam prawo uczestniczyć w podjęciu takiej decyzji, najważniejszego nabytku, jaki kiedykolwiek...

— Chciałem ci zrobić niespodziankę — wyjaśnił.

— Zdobyłeś dziś jakieś nagrody — oznajmiła Iran oskarżycielskim tonem.

— Tak — odparł Rick. — Usunąłem trzy andki. — Weszli do windy i wspólnie wzniesli się bliżej Boga. — Musiałem to kupić — rzekł. — Stało się dziś coś niedobrego, coś związanego z usunięciem androidów. Pewnie nie mógłbym dalej pracować, gdybym nie kupił zwierzęcia. — Winda dotarła na dach. Poprowadził żonę w mrok wieczoru, w kierunku klatki. Włączył światła, zainstalowane na dachu dla wygody mieszkańców budynku i bez słowa wskazał jej kożę. Czekał na jej reakcję.

— O mój Boże — szepnęła Iran. Podeszła do klatki i spojrzała do środka, a potem obeszła ją dokoła, oglądając kożę ze wszystkich stron. — Jest prawdziwa — spytała. — Nie sztuczna?

— Całkowicie — oświadczył. — Chyba że mnie oszukali. — Ale to zdarzało się rzadko. Grzywna za oszustwo byłaby ogromna, wynosiłaby dwuipółkrotną rynkową wartość prawdziwego zwierzęcia. — Nie, nie oszukali mnie.

— To koza — powiedziała Iran. — Czarna, nubijska koza.

— Samica — oświadczył Rick. — Może później znajdziemy dla niej samca. I będziemy mogli ją doić. A z mleka robić ser.

— Czy możemy ją wypuścić? Umieścić ją tam, gdzie jest owca?

— Powinna być spętana — wyjaśnił. — Przynajmniej przez kilka dni.

— „Moje życie to radość i rozkosz” — powiedziała cicho, dziwnym tonem Iran. — Bardzo stara pieśń Józefa Straussa. Pamiętasz? Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. — Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu, pochyliła w jego stronę i pocałowała go. — Wiele miłości. I bardzo wiele rozkoszy.

— Dziękuję — odparł, przytulając ją do siebie.

— Pobiegnijmy na dół i złożmy podziękowanie Mercerowi. A potem wrócimy tu znowu i od razu nadamy jej imię. Musi mieć imię. Może znajdziesz też sznur, żeby ją spętać. — Ruszyła do drzwi.

Ich sąsiad, Bill Barbour, który oporządzał swoją klacz Judy, zawołał do nich:

— Hej, Deckardowie, macie bardzo piękną kozę. Gratuluję. Dobry wieczór, pani Deckard. Może będziecie mieli młode. Wymieniłbym swojego żrebaka za parę młodych.

— Dziękuję — odparł Rick, ruszając za Iran w stronę windy. — Czy to uleczy twoją depresję? — zapytał. — Bo moją uleczyło.

— Z całą pewnością — stwierdziła Iran. — Teraz możemy wszystkim powiedzieć, że owca jest sztuczna.

— Nie ma takiej potrzeby — odparł ostrożnie.

— Ale powinniśmy — nalegała Iran. — Rozumiesz, nie mamy już nic do ukrycia. Spełniło się to, czego zawsze pragnęliśmy. To sen! — Jeszcze raz stanęła na palcach i szybko pocałowała go. Jej nierówny, szybki oddech połaskotał go w szyję. A potem wyciągnęła rękę, aby nacisnąć guzik windy.

Coś go ostrzegło. Coś zmusiło go, aby powiedział:

— Nie idźmy jeszcze do mieszkania. Zostańmy tu razem z kozą. Posiedźmy, popatrzmy na nią i może dajmy jej coś do zjedzenia. Otrzymałem od nich na początek cały worek owsa. I przeczytamy podręcznik obsługi kozy. Również dostałem go bez żadnych dodatkowych opłat. Możemy ją nazwać Eufemia. — Jednak winda już się pojawiła i Iran weszła do środka. — Iran, poczekaj — zawołał.

— Byłoby niemoralne, gdybyśmy się nie zespolicili z Mercerem, aby okazać mu naszą wdzięczność — oświadczyła. — Trzymałam dziś uchwyty skrzynki i dzięki temu trochę przezwyciężyłam moją depresję — tylko trochę, nie tak jak teraz. Ale jednak zostałam trafiona kamieniem. O tutaj. — Uniosła rękę, pokazując mu przegub, na którym dostrzegł niewielki, ciemny siniak. — I pamiętam, że myślałam, o ile jesteśmy lepsi, o ile bardziej otwarci, kiedy przebywamy z Mercerem. Mimo bólu. Cierpimy cieleśnie, ale duchowo — jesteśmy razem. Czułam wszystkich innych, na całym świecie, wszystkich, którzy zespolicili się w tym samym czasie. — Przytrzymała drzwi, aby się nie zamknęły. — Wejdz, Rick. To będzie tylko chwila. Rzadko kiedy doznajesz zespolenia. Chcę, abyś przekazał swój obecny nastrój wszystkim innym, jesteś im to winien. Byłoby niemoralne zatrzymać to uczucie tylko dla siebie.

Oczywiście, miała rację. Wszedł do windy i ponownie zjechał na dół.

W ich saloniku stała skrzynka empatyczna. Iran szybko włączyła ją. Na jej twarzy coraz wyraźniej ukazywał się smutek, rozświetlając ją jak wschodzący księżyc w nowiu.

— Chcę, aby wszyscy wiedzieli — powiedziała. — Kiedyś zdarzyło mi się coś podobnego, zespoliłam się i odebrałam kogoś, kto właśnie nabył zwierzę. A potem, pewnego dnia... — Jej twarz stała się mroczna, uczucie przyjemności zniknęło. — Pewnego dnia odebrałam kogoś, czyje zwierzę zmarło. Ale wszyscy inni dzielili się z nim nasze różne radości — ja nie miałam żadnej, jak się domyślasz — i to pomogło mu się pocieszyć. Może nawet osiągnęliśmy potencjalnego samobójcę. To, co mamy, co czujemy, może...

— Otrzymają naszą radość — rzekł Rick — ale my ją stracimy. Wymienimy to, co czujemy, na to, co czują oni. Utracimy naszą radość.

Na ekranie skrzynki empatycznej widniały już migoczące, bezkształtne kolory. Iran nabrała powietrza w płuca i ujęła mocno dwa uchwyty.

— Tak naprawdę — powiedziała — wcale nie tracimy tego, co czujemy, w każdym razie kiedy staramy się zachować to w pamięci. Nigdy nie przyzwyczyłeś się do zespolenia, prawda, Rick?

— Chyba nie — odpowiedział. Teraz jednak zaczął po raz pierwszy odczuwać, jak wielkim darem dla ludzi takich jak Iran jest merceryzm. Być może jego przeżycia związane z łowcą Philem Reschem zmieniły w nim jakieś maleńkie połączenie nerwowe, zamknęło jedno i otworzyło drugie. A to mogło zapoczątkować reakcję łańcuchową. — Iran — powiedział gwałtownie i odciągnął ją od skrzynki empatycznej. — Posłuchaj. Chciałbym z tobą porozmawiać o tym, co mi się dzisiaj zdarzyło. — Podprowadził ją do sofy i posadził na niej przed sobą. — Spotkałem innego łowcę — powiedział. — Nigdy dotąd go nie widziałem. To drapieżnik, który chyba lubi je niszczyć. Po tym, jak przebywałem w jego towarzystwie, pierwszy raz zacząłem spoglądać na nie inaczej. Chcę przez to powiedzieć, że na swój sposób postrzegałem je tak samo jak on.

Ciągnął dalej:

— Przeprowadziłem na sobie test i zweryfikowałem go. Zacząłem nawiązywać empatyczną więź z androidami i sama zdajesz sobie sprawę, co to oznacza. Powiedziałaś dziś rano: „Te biedne andki”. A więc wiesz, o czym mówię. Dlatego właśnie kupiłem kozę. Nigdy dotąd nie czułem się w taki sposób. Może to depresja, taka sama jak twoja. Teraz rozumiem, jak cierpisz. Zawsze sądziłem, że lubisz swoją depresję i że możesz w każdej chwili się od niej uwolnić — albo samodzielnie, albo jeżeli to niemożliwe, z pomocą modyfikatora nastroju. Kiedy jednak wpadasz w przygnębienie, przestaje ci na tym zależeć. Ogarnia cię apatia, ponieważ utraciłaś skalę wartości. Nie ma znaczenia, czy poczujesz się lepiej, gdyż utraciło to jakkolwiek wartość...

— A co z twoją pracą? — Ton jej głosu ugodził go boleśnie. Zamrugął oczyma. — Co z pracą? — powtórzyła Iran. — Jakie są miesięczne raty za kozę? — Wyciągnęła rękę. Odruchowo wyjął z kieszeni kontrakt i podał go jej. — Aż tyle — powiedziała słabym głosem. — Procenty. Mój Boże — same procenty. I zrobiłeś to dlatego, bo wpadłeś w depresję. Wcale nie chciałeś sprawić mi niespodzianki, jak najpierw powiedziałeś. — Oddała mu dokument. — No cóż, to nie ma znaczenia. Mimo wszystko cieszę się, że mamy kozę. Uwielbiam ją. Ale takie obciążenie finansowe. — Jej twarz jakby poszarzała.

— Mogę przejść do innej grupy — powiedział Rick. — Wydział zajmuje się dziesięcioma czy jedenastoma rodzajami przestępstw. Na przykład kradzieże zwierząt. Mogę się tam przenieść.

— Ale pieniądze z nagród. Potrzebujemy ich albo odbiorą nam kozę!

— Mogę przedłużyć okres płatności z trzydziestu sześciu do czterdziestu ośmiu miesięcy. — Wyjął długopis i zaczął pisać szybko na odwrocie umowy. — W ten sposób miesięczne raty będą niższe o pięćdziesiąt dwa pięćdziesiąt.

Zadzwoił wideofon.

— Gdybyśmy nie wrócili do mieszkania — rzekł Rick — gdybyśmy pozostali na dachu, przy kozie, nie usłyszelibyśmy tego dzwonka.

Iran zapytała, idąc w stronę aparatu:

— Czego się boisz? Przecież jeszcze nie odbierają nam kozy. — Zaczęła podnosić słuchawkę.

— To z wydziału — stwierdził. — Powiedz im, że mnie nie ma. — Skierował się w stronę sypialni.

— Halo — powiedziała Iran do słuchawki.

Trzy andki, pomyślał Rick, które powinienem był wytropić jeszcze dzisiaj zamiast wracać do domu. Na ekranie pojawiła się twarz Harry'ego Bryanta, było więc już za późno, żeby się ukryć. Na sztywnych nagle nogach wrócił do aparatu.

— Tak, jest tutaj — mówiła Iran. — Kupiliśmy kozę. Proszę do nas wpaść, panie Bryant i zobaczyć ją. — Przez chwilę słuchała w milczeniu, a potem oddała słuchawkę Rickowi. — Chcę ci coś powiedzieć — powiedziała. Wróciła do skrzynki empatycznej, usiadła i znowu zacisnęła w dłoniach dwa uchwyty. Zespoliła się niemal natychmiast. Rick stał ze słuchawką, uświadamiając sobie jej duchową nieobecność. Uświadamiając sobie własną samotność.

— Halo — odezwał się do słuchawki.

— Złapaliśmy trop dwóch pozostałych androidów — oznajmił Harry Bryant. Dzwonił ze swojego gabinetu. Rick widział znajome biurko, stopy dokumentów, jakichś papierów i chłamu. — Najwidoczniej zostały ostrzeżone, wyprowadziły się z miejsca, którego adres dostałeś od Davy'ego i teraz znajdują się... Poczekaj. — Bryant zaczął szperać na swoim biurku, wreszcie znalazł potrzebny dokument.

Rick odruchowo sięgnął po pióro. Położył umowę zakupu kozy na kolanie i przygotował się do zapisywania.

— Budynek Conapt 3967-C — powiedział inspektor Bryant. — Jedź tam najszybciej, jak zdołasz. Zakładamy, że wiedzą już o tych, które usunąłeś. O Garlandzie, Lubie i Polokovie. Dlatego właśnie podjęli tę bezprawną ucieczkę.

— Bezprawną — powtórzył Rick. Aby ocalić życie.

— Iran powiedziała, że kupiłeś kozę — rzekł Bryant. — Właśnie dzisiaj? Po pracy?

— Wracając do domu.

— Przyjadę obejrzeć kozę, kiedy usuniesz pozostałe androidy. A przy okazji. Rozmawiałem dzisiaj z Dave'em. Powiedziałem mu o kłopotach jakie ci sprawiły. Przekazał gratulacje i powiedział, żebyś był ostrożniejszy. Twierdzi, że Nexusy-6 są o wiele sprytniejsze niż początkowo uważał. Prawdę mówiąc, nie może uwierzyć, że zdołałeś usunąć trzy jednego dnia.

— Trzy zupełnie wystarczą — powiedział Rick. — Nie mogę zrobić dziś już nic więcej. Muszę odpocząć.

— Do jutra uciekną — oświadczył inspektor Bryant. — Znajdą się poza naszą jurysdykcją.

— Nie tak szybko. Wciąż tutaj będą.

— Musisz tam pójść jeszcze dzisiaj w nocy — stwierdził Bryant. — Zanim się umocnią. Nie spodziewają się tak szybkich działań.

— Mylisz się — rzekł Rick. — Będą na mnie czekały.

— Boisz się? Bo Polokov...

— Nie boję się — odparł Rick.

— No to o co chodzi?

— Dobra — powiedział Rick. — Pojadę tam. — Zaczął odkładać słuchawkę.

— Daj mi znać, kiedy tylko coś załatwisz. Będę u siebie w gabinecie.

— Jeżeli je dopadnę, kupię sobie owcę.

— Przecież ją masz. Miałeś ją od chwili, kiedy cię poznałem.

— Jest elektryczna — wyjaśnił Rick. Odłożył słuchawkę. Tym razem będzie to prawdziwa owca, powiedział do siebie. Muszę ją mieć. Jako zadośćuczynienie.

Przy czarnej skrzynce empatycznej siedziała skulona Iran. Twarz miała uduchowioną. Stał przez chwilę przy niej, trzymając dłoń na jej piersi. Czuł, jak unosiła się i opadała, czuł pulsujące w niej życie. Żona zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Jak zawsze jej więź z Mercerem stała się całkowita.

Na ekranie niewyraźna, ubrana w oponczę, wiekowa postać Mercera wędrowała z wysiłkiem pod górę i nagle przeleciał koło niej kamień. Rick przypatrywał się i pomyślał nagle: — Mój Boże. Sytuacja, w której się znalazłem, jest w jakimś sensie gorsza niż jego. Mercer nie musi robić niczego, co byłoby mu obce. Cierpi, ale przynajmniej nie musi dokonywać gwałtu na swojej osobowości.

Pochylił się i delikatnie zdjął palce żony z uchwytów. I sam zajął jej miejsce. Po raz pierwszy od wielu tygodni. Był to jakiś impuls, nie planował tego, wszystko zdarzyło się tak nagle.

Zobaczył przed sobą pejzaż ze skąpą roślinnością, pustkę. W powietrzu unosił się ostry zapach. Był na pustyni, na której dawno już nie padał deszcz.

Przed nim stał człowiek, w którego zmęczonych, pełnych bólu oczach widniało współczucie.

— Mercer — powiedział Rick.

— Jestem twoim przyjacielem — oznajmił starzec. — Ale musisz dalej działać tak, jakbym wcale nie istniał. Czy to rozumiesz? — Rozłożył puste dłonie.

— Nie — odparł Rick. — Nie rozumiem tego. Potrzebuję pomocy.

— W jaki sposób mógłbym cię ocalić — rzekł starzec — skoro nie byłem w stanie ocalić sam siebie? — Uśmiechnął się. — Nie rozumiesz? Nie ma zbawienia.

— W takim razie po co to wszystko? — zapytał Rick. — Po co przyszedłeś?

— Aby ci pokazać — odparł Wilbur Mercer — że nie jesteś sam. Jestem z tobą i zawsze będę. Idź i czyn swą powinność, nawet jeżeli uważasz, że jest niesłuszna.

— Dlaczego? — powiedział Rick. — Dlaczego mam to robić? Porzucę pracę i wyemigruję.

— Będą od ciebie żądać czynienia zła — wyjaśnił starzec — bez względu na to, gdzie się znajdziesz. Gwałt nad własną osobowością jest podstawowym warunkiem życia. W jakimś momencie każda żyjąca istota musi to zrobić. To ostateczny mrok, klęska stworzenia. Oto działanie klątwy, która żywi się wszystkimi formami życia. W każdym miejscu wszechświata.

— Czy nic więcej nie masz mi do powiedzenia? — zapytał Rick.

W jego stronę poleciał kamień. Pochylił się i kamień uderzył go w ucho. Natychmiast puścił uchwyty i znowu znalazł się we własnym saloniku obok żony i skrzynki empatycznej. Głowa straszliwie bolała go po ciosie. Podniósł rękę do ucha i poczuł spływającą po twarzy wielkimi kroplami krew.

Iran chusteczką ocierała mu ucho.

— Chyba cieszę się, że mnie odsunąłeś. Naprawdę, nie mogę wytrzymać, kiedy we mnie trafiają. Dziękuję, że przyjąłeś kamień zamiast mnie.

— Idę — oświadczył Rick.

— Zadanie?

— Trzy zadania. — Wyjął z jej dłoni chusteczkę i skierował się w stronę drzwi. Czuł zawroty głowy i mdłości.

— Powodzenia — rzekła Iran.

— Trzymanie uchwytów nic mi nie dało — powiedział Rick. — Mercer mówił do mnie, ale to nie pomogło. Wie nie więcej ode mnie. Jest po prostu starym człowiekiem, który wspina się na wzgórze, aby spotkać śmierć.

— Czy to nie objawienie?

— Doznałem już dziś objawienia — oświadczył Rick, otwierając drzwi. — Zobaczymy się później. — Wyszedł do korytarza i zamknął drzwi za sobą. Conapt 3967-C, pomyślał, spoglądając na odwrotną stronę kontraktu. To na przedmieściach, opuszczone domy. Dobra kryjówka. Zdradzają ją jedynie światła w nocy. Tym właśnie będę się kierował. Światłami. Fototropizmem, jak ćma trupia główka. A potem już tego nie będzie. Zajmę się czymś innym, będę zarabiał na życie w inny sposób. Są przynajmniej trzy sposoby. Mercer ma rację, muszę przez to przejść. Ale, pomyślał, nie sądzę, że mi się uda. Dwa andki jednocześnie to nie jest już problem moralny, ale techniczny.

Zapewne nie zdołałem ich usunąć, uświadomił sobie. Nawet jeżeli będę próbował. Jestem zbyt zmęczony i zbyt wiele zdarzyło się dzisiaj. Może Mercer o tym wiedział, pomyślał Rick. Może przewidział wszystko, co się zdarzy.

Ale ja wiem, gdzie zdołam uzyskać pomoc. Proponowano mi ją, tylko zrezygnowałam.

Dotarł na dach i po chwili siedział już w ciemności, w swoim hoverze i wybierał numer.

— Spółka Rosena — odezwała się dziewczyna z informacji.

— Rachel Rosen — powiedział.

— Słucham pana?

— Proszę połączyć mnie z Rachel Rosen.

— Czy panna Rosen spodziewa się...

— Na pewno — przerwał jej. Czekał.

Dziesięć minut później drobna, smągła twarz Rachel Rosen pojawiła się na ekranie.

— Witam, panie Deckard.

— Jesteś zajęta, czy możemy porozmawiać? — zapytał. — Tak, jak proponowałaś wcześniej. — Zupełnie nie miał wrażenia, że wydarzyło się to rzeczywiście tego samego dnia. Pokolenia urodziły się i odeszły od chwili, kiedy po raz ostatni z nią rozmawiał. I cały ciężar, całe zmęczenie z tym związane skupiło się w jego ciele, czuł jego ciężar. Być może, pomyślał, przez to uderzenie kamieniem. Otarł chusteczką ciągle krwawiące ucho.

— Masz zranione ucho — powiedziała Rachel. — To fatalnie.

— Czy rzeczywiście wiedziałaś, że do ciebie nie zadzwonię? — zapytał Rick. — Tak mówiłaś?

— Mówiłam — odparła Rachel — że beze mnie jeden z Nexusów-6 dopadnie cię, zanim ty usuniesz jego.

— Myliłaś się.

— Ale dzwonisz. Mimo wszystko. Czy chcesz, żebym przyleciała do San Francisco?

— Dziś w nocy — rzekł.

— O, ale jest za późno. Przylecę jutro. To godzina drogi.

— Polecono mi załatwić je dziś w nocy. — Przerwał na chwilę, a potem rzekł: — Z ośmiu pozostały już tylko trzy.

— Po twoim tonie poznaję, że przeszedłeś ciężkie chwile.

— Jeżeli nie przylecisz dziś w nocy — powiedział — pójdę po nie sam i nie będę w stanie ich usunąć. Właśnie kupiłem kozę — dodał. — Za nagrody, które dostałem za trzy zlikwidowane andki.

— Ależ wy, ludzie, jesteście — roześmiała się Rachel. — Kozy strasznie cuchną.

— Tylko kozły. Czytałem o tym w instrukcji, która była w załączeniu.

— Naprawdę jesteś zmęczony — stwierdziła Rachel. — Wyglądasz na oszołomionego. Czy na pewno wiesz, co robisz, próbując zlikwidować trzy dodatkowe Nexusy-6 tego samego dnia? Nikt dotąd nie usunął sześciu androidów w tak krótkim czasie.

— Franklin Powers — odparł Rick. — Mniej więcej rok temu, w Chicago. Usunął się dem.

— To była przestarzała odmiana McMillan Y-4 — powiedziała Rachel. — Te są zupełnie inne. — Zamyśliła się. — Rick, nie mogę tego zrobić. Nawet nie jadłam jeszcze obiadu.

— Potrzebuję cię — powiedział. W przeciwnym razie umrę, pomyślał. Wiem to. Mercer to wie. Sądzę, że ty również. I prosząc cię, tracę tylko czas, doszedł do wniosku. Androida nie można prosić, nie ma się do czego odwoływać.

— Przykro mi, Rick — odparła Rachel. — Ale nie mogę przyjechać dziś w nocy. Musisz poczekać do jutra.

— Zemsta androida — powiedział Rick.

— Dlaczego?

— Ponieważ zdemaskowałem cię skalą Voigta-Kampffa.

— Rzeczywiście tak myślisz? — zapytała szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. — Naprawdę?

— Do widzenia — odparł i zaczął odkładać słuchawkę.

— Posłuchaj — powiedziała szybko Rachel. — Nie rozumiesz logicznie.

— Tak ci się wydaje, bo wy, Nexusy-6, jesteście sprytniejsze niż ludzie.

— Nie, ja naprawdę nic nie rozumiem — westchnęła Rachel. — Widzę, że nie chcesz wykonać dziś tego zadania — może w ogóle nie chcesz. Czy jesteś pewien, że życzysz sobie, abym ci pomogła usunąć trzy pozostałe androidy? Czy wolisz, abym cię przekonała, że nie należy tego robić?

— Przyjedź tutaj — powiedział — i wynajmiemy pokój w hotelu.

— Po co?

— W związku z czymś, co dziś usłyszałem — powiedział ochryplym głosem. — Sytuacjami dotyczącymi mężczyzn i żeńskich androidów. Przyjedź dziś do San Francisco i dam spokój pozostałym andkom. Zrobimy coś innego.

Popatrzyła na niego, a potem powiedziała nagle:

— Dobrze. Przylecę. Gdzie mam cię spotkać.

— W St. Francis. To jedyny mniej więcej przyzwoity czynny hotel w rejonie Zatoki.

— I nie zrobisz nic, dopóki nie przyjadę.

— Będę siedział w pokoju hotelowym — oznajmił — i obserwował Przyjaznego Bustersa w telewizji. Jego gościem przez trzy ostatnie dni była Amanda Werner. Lubię ją. Mógłbym się jej przyglądać przez resztę mojego życia. Ma piersi, które się uśmiechają. — Odłożył słuchawkę, a potem siedział przez chwilę nie myśląc o niczym. W końcu panujący w hoverze chłód sprawił, że ocknął się. Przekręcił kluczyk w stacyjce i chwilę później skierował się w stronę śródmieścia San Francisco. I hotelu St. Francis.

Rozdział XVI

Rick Deckard siedział w ogromnym, urządzonym z przepychem pokoju hotelowym i czytał wydrukowane przez kalkę informacje o androidach Royu i Irmgardzie Batych. Tym razem dołączono do nich również wykonane teleobiektywem zdjęcia, nieostre, trójwymiarowe, kolorowe odbitki, na których z trudnością był w stanie coś rozpoznać. Uznał, że kobieta wygląda atrakcyjnie. Natomiast Roy Baty to coś zupełnie innego. Gorszego.

„Farmaceuta na Marsie” — przeczytał. A przynajmniej android wykorzystał to jako swój kamuflaż. W rzeczywistości zapewne był pracownikiem fizycznym albo rolnym — z aspiracjami do czegoś lepszego. Czy androidy marzą? — zadał sobie pytanie Rick. Prawdopodobnie. Dlatego od czasu do czasu zabijają swoich pracodawców i uciekają tutaj. Do lepszego życia, bez poddaństwa. Jak Luba Luft — żeby śpiewać Don Giovanniego i Le Nozze zamiast pracować na usianym kamieniami polu. Na nie nadającym się do zamieszkania świecie-kolonii.

Tekst głosił:

Roy Baty posiada wynikający z jego pseudoosobowości agresywny, pewien siebie sposób bycia. Powodowany ideami mistycznymi rzeczony android zorganizował próbę masowej ucieczki motywując ją ideologicznym wymysłem na temat świętości tak zwanego „życia” androidów. Ponadto rzeczony android ukradł narkotyki wywołujące stan świadomości grupowej i używając je przeprowadzał eksperymenty, a kiedy go schwytano, twierdził, iż miał nadzieję doprowadzić androidy do grupowego przeżycia zbliżonego do merceryzmu, na razie nieosiągalnego dla androidów.

Komunikat był żaloszny. Twardy, zimny android, który ma nadzieję doświadczyć czegoś, co z powodu specjalnie zaprogramowanego defektu było dlań niedostępne. Ale Deckard nie potrafił szczególnie przejąć się Royem Batym. Na podstawie informacji

Dave'a zaczął darzyć tego właśnie robota zdecydowaną niechęcią. Baty próbował doprowadzić do przeżywania więzi — a kiedy go zdemaskowano, doprowadził do zagłady wielu istot ludzkich... a następnie zorganizował ucieczkę na Ziemię. A teraz, właśnie w dzisiejszym dniu, zlikwidowano kolejne androidy z początkowej ósemki, aż pozostały zaledwie trzy. One zaś, najwybitniejsi członkowie nielegalnej grupy, również byli skazani na śmierć. Jeśli bowiem nawet on sam nie zdoła ich usunąć, zrobi to ktoś inny. Czas i jego przemijanie, pomyślał. Cykl życia. Pod koniec, ostatni zmierzch. A potem cisza śmierci. Widział w tym skończony w swej doskonałości mikrokosmos.

Drzwi pokoju hotelowego otworzyły się z hukiem.

— Co za lot — oznajmiła zdyszana Rachel Rosen. Miała na sobie długi, pokryty łąską płaszcz, a do kompletu szorty i stanik. Poza wielką, ozdobną torebką, podobną do używanej przez listonoszy, niosła również papierową torbę. — Ładny pokój — powiedziała. Spojrzała na zegarek. — Niecała godzina. Bardzo dobry czas. Masz. — Podała mu papierową torbę. — Kupiłam whisky. To burbon.

— Żyją wciąż najgorsi z całej ósemki — oświadczył Rick. Podał jej kartę informacyjną Roya Baty'ego. Rachel postawiła papierową torbę i wzięła arkusz papieru.

— Czy już ich zlokalizowałeś? — zapytała.

— Mam numer bloku. To na przedmieściach, gdzie zapewne mieszka jeszcze paru zdegenerowanych specjali, głabów i kurzych mózdków, którzy robią to, co mieści się w ich koncepcji życia.

— Pokaż, co masz o pozostałej dwójce. — Rachel wyciągnęła rękę.

— Dwa żeńskie androidy. — Podał jej arkusze. Jeden dotyczył Irmgardy Baty, drugi zaś androida, który nazywał się Pris Stratton.

Rachel spojrzała na ostatnią kartę.

— Och! — szepnęła. Rzuciła karty na ziemię, podeszła do okna i spojrzała w dół na śródmieście San Francisco. — Mam wrażenie, że to ostatnie cię zaskoczy. A może nie, może jest ci wszystko jedno. — Zbladła, a jej głos drżał. Niespodziewanie zaczęła sprawiać wrażenie wyprowadzonej z równowagi.

— O czym właściwie mówisz? — Podniósł karty i zaczął je uważnie czytać, zastanawiając się, jaki fragment tak wzburzył Rachel.

— Otwórzmy burbona — zanosła papierową torbę do łazienki, wzięła stamtąd dwie szklanki i wróciła. Wciąż sprawiała wrażenie roztargnionej, jakiejś niepewnej — i zamysłonej. Wyczuwał jej gwałtowny upadek ducha. Zmiana odmalowała się na jej stężącej, spiętej twarzy. — Czy mógłbyś otworzyć? — spytała. — Zdajesz sobie chyba sprawę, że kosztował mnie majątek. Nie jest syntetyczny, pochodzi jeszcze sprzed wojny, zrobiony z prawdziwego zacieru.

Wziął od niej butelkę, odkręcił nakrętkę i nalał burbona do dwóch szklaneczek.

— Powiedz mi, o co chodzi? — poprosił.

— Powiedziałaś mi przez telefon — oznajmiła Rachel — że jeśli przyjadę dziś w nocy, dasz spokój trzem pozostałym andkom. „Zrobimy coś innego”, powiedziałaś. Ale jesteśmy...

— Co cię dręczy? — zapytał.

Rachel spojrzała na niego wyzywająco i odparła:

— Zamiast opowiadać wciąż o tych trzech ostatnich Nexusach-6 lepiej powiedz mi, co będziemy robić. — Rozpięła płaszcz i odwiesiła go do szafy. Dzięki temu po raz pierwszy miał okazję dobrze się jej przyjrzeć.

Ponownie spostrzegł, że proporcje figury Rachel są dość dziwne. Dzięki wielkiej masie ciemnych włosów dziewczyny głowa wydawała się bardzo duża, a przy jej małych piersiach całe ciało robiło szczupłe, niemal dziecięce wrażenie. Ale wielkie oczy o wspaniałych rzęsach mogły należeć tylko do dorosłej kobiety. W tym momencie kończyło się podobieństwo z podrostkiem. Rachel stąpała zawsze na przedniej części stopy, a opuszczone luźno ręce trzymała lekko ugięte w łokciach. Uświadomił sobie, że jest to postawa czujnego myśliwego, być może z okresu Cro-Magnon. Rasa wysokich myśliwych, pomyślał. Żadnego nadmiaru ciała, płaski brzuch, niewielkie pośladki i jeszcze mniejsze piersi. Rachel miała klasyczną, celtycką budowę, anachroniczną i atrakcyjną. Jej szczupłe nogi w szortach, pozbawione dojrzałych, kobiecych krągłości posiadały nijaki, całkowicie asekualny charakter. Jednak ogólne wrażenie było bardzo dobre. Dziewczyna, nie kobieta. Jeżeli zapomnieć o niespokojnych, mądrych oczach.

Upił łyk burbona. Jego moc, zdecydowany smak i zapach były tak obce, że miał kłopoty z przełykaniem. W przeciwieństwie do Rachel, która piła whisky bez żadnych trudności.

Usiadła na łóżku i z roztargnieniem wygładziła kapę. Znowu była markotna. Rick postawił szklaneczkę na stoliku przy łóżku i usiadł obok niej. Pod jego ciężarem materac ugiął się i Rachel zmieniła nieco pozycję.

— Co ci się stało? — zapytał. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Była chłodna, koścista, lekko wilgotna. — Co cię dręczy?

— Ten ostatni, cholerny Nexus-6 — odparła Rachel z wysiłkiem — jest tego samego typu co ja. — Popatrzyła na kapę, znalazła nitkę i zaczęła zwijać ją na palec. — Czy nie czytałeś rysopisu? To również mój rysopis. Może mieć inaczej ułożone włosy i inaczej się ubierać — nawet nosić perukę. Ale kiedy ją zobaczysz, zrozumiesz, o co mi chodziło. — Roześmiała się sardonicznie. — To dobrze, że spółka przyznała, że jestem andkiem, w przeciwnym razie pewnie byś zwariował, gdybyś ujrzał Pris Stratton. Albo uznałbyś, że to ja.

— Dlaczego cię tak to martwi?

— Do diabła, przecież będę przy tym, jak ją usuniesz.

— Może nie. Może nie zdołam jej znaleźć.

— Znam psychologię Nexusa-6. Dlatego jestem tutaj i dlatego mogę ci pomóc. Wszyscy ukryli się razem, cała ostatnia trójka. Skupieni wokół najbardziej szalonego z nich, który nazywa się Roy Baty. To on obmyśla ich ostatnią obronę. — Skrzywiła usta. — Jezu — szepnęła.

— Rozchmurz się — poprosił. Ujął ją pod ostrą, drobniutką brodę i unióś jej głowę tak, że musiała na niego spojrzeć. Ciekawe, jak to jest, kiedy całuje się androida, pomyślał. Pochylił się i dotknął ustami jej suchych warg. Nie było żadnej reakcji. Na Rachel to, co zrobił, nie wywarło wrażenia. Zupełnie jakby nic nie czuła. Ale on wiedział, że jest inaczej. A może było to tylko jego pobożne życzenie?

— Szkoda — powiedziała Rachel. — Gdybyś przyznał się, że o to ci chodzi, nigdy bym tu nie przyleciała. Żądasz ode mnie zbyt wiele. Rozumiesz, co czuję? Co czuję do tego androida, który się nazywa Pris?

— Empatię — odparł.

— Coś w tym rodzaju. Identyfikację. Oto idę ja. Mój Boże, może tak właśnie się zdarzy. W zamieszaniu usuniesz mnie, nie ją. Ona zaś wróci do Seattle i będzie żyć dalej na moim miejscu. Nigdy dotąd tak się nie czułam. Jesteśmy maszynami produkowanymi jak kapsle do butelek. To tylko złudzenie, że ja — ja osobiście — w ogóle istnieję. Jestem tylko przedstawicielką typu. — Wzdrygnęła się.

Rick mimo wszystko poczuł rozbawienie. Rachel stawała się tak ckliwie ponura.

— Mrówki wcale tak tego nie odczuwają — powiedział. — A przecież są fizycznie identyczne.

— Mrówki. One w ogóle nie czują.

— Bliźniaki jednojajowe. One nie...

— Ale identyfikują się ze sobą nawzajem. Posiadają specjalną, empatyczną więź. — Wstała i niepewnym ruchem sięgnęła po butelkę burbona. Napełniła swoją szklaneczkę i wypijała duszkiem. Przez jakiś czas przechadzała się po pokoju, zmarszczywszy ponuro brwi, aż wreszcie usiadła znowu na łóżku. Położyła się na nim, podparta na poduszkach i wyciągnęła nogi. — Zapomnij o tych trzech andkach — westchnęła ze znużeniem. — Jestem zupełnie wyczerpana, chyba tą podróżą. A po tym, czego dowiedziałam się dzisiaj, po prostu chce mi się spać. — Zamknęła oczy. — Jeżeli umrę — mruknięła — może urodzę się znowu, kiedy spółka Rosena wypuści następną serię mojego podtypu. — Otworzyła oczy i spojrzała na niego ze wściekłością. — Wiesz dlaczego naprawdę tu jestem? — zapytała. — Dlaczego Eldon i inni Rosenowie — ludzie — chcieli, żebym przyłączyła się do ciebie?

— Abyś obserwowała — odparł. — Ustaliła dokładnie, w jaki sposób Nexus-6 zdradza się w czasie testu Voigta-Kampffa.

— W czasie testu albo w innych sytuacjach. Wszystko, co powoduje jego odmienność. Potem złożę raport, a spółka przeprowadzi modyfikacje szczepu DNA. I będziemy mieli Nexusa-7. A kiedy złapią i jego, znowu zostanie zmodyfikowany i w końcu spółka stworzy typ, który będzie nie do odróżnienia.

— Czy znasz test odruchów Bonelego? — zapytał.

— Pracujemy również nad grzbietowymi węzłami nerwowymi. Któregoś dnia test Bonelego zniknie w otchłani zapomnienia. — Jej niewinny uśmiech stał w sprzeczności z wypowiedzianymi słowami. W tym momencie nie był w stanie ustalić, do jakiego stopnia mówi serio. Temat o globalnym znaczeniu był traktowany przez nią żartobliwie. Być może, to cecha androidów, pomyślał. Brak emocjonalnej świadomości, wycucia znaczenia wypowiedzianych słów. Tylko pusta, formalna, intelektualna definicja oddzielnych pojęć.

A poza tym Rachel zaczęła się z nim drażnić. Niezauważenie przeszła od opłakiwania swojej sytuacji do prowokowania go nią.

— Niech cię licha — powiedział.

Rachel roześmiała się.

— Jestem pijana. Nie mogę iść z tobą. Jeżeli tam pójdziesz... — Zrobiła odmowny gest. — Zostanę tutaj, prześpię się, a potem mi opowiesz.

— Chyba — odparł — że nie będzie tego potem, bo Roy Baty mnie załatwi.

— Ale ja i tak nie mogę ci pomóc, bo jestem pijana. W każdym razie znasz prawdę, twardą, gładką powierzchnię prawdy. Jestem obserwatorem i nie będę robiła nic, żeby cię ocalić. Nie obchodzi mnie to, czy Roy Baty cię załatwi, czy nie. Obchodzi mnie, czy ktoś mnie załatwi. — Otworzyła szeroko oczy. — Chryste jestem empatyczna w stosunku do samej siebie. I rozumiesz, jeżeli pojedę do tego rozwalającego się budynku komunalnego... — wyciągnęła rękę i zaczęła bawić się guzikiem jego koszuli. Odpinała go wolnymi, leniwymi ruchami. — Nie ośmielę się iść, ponieważ androidy nie są lojalne wobec siebie i wiem, że ta przeklęta Pris Stratton zniszczy mnie i zajmie moje miejsce. Rozumiesz? Zdejmij marynarkę.

— Po co?

— Żebyśmy mogli pójść do łóżka — powiedziała Rachel.

— Kupiłem czarną kozę nubijską — rzekł Rick. — Muszę usunąć jeszcze trzy andki. Muszę wykonać zadanie i wrócić do domu, do mojej żony. — Wstał, obszedł łóżko, kierując się do stolika, na którym stała butelka burbona. Uważnie nalał sobie kolejnego drinka i zauważył, że trzęsą mu się ręce. Zapewne z powodu zmęczenia. Uświadomił sobie, że oboje są wykończeni. Zbyt wyczerpani, aby polować na trzy andki. I to te najgorsze z całej ósemki.

Kiedy tak stał, uświadomił sobie nagle, że ogarnął go nie dający się przewyciężyć lęk przed głównym androidem. Wszystko sprowadzało się do Baty'ego — od samego początku. Do tej pory napotykał i usuwał stopniowo coraz groźniejsze wcielenia Baty'ego. A teraz przyszła pora na niego samego. Czuł, jak narasta w nim lęk. Coraz silniejszy od chwili, gdy pozwolił mu dotrzeć do swojej świadomości.

— Nie mogę teraz iść bez ciebie — powiedział do Rachel. — Nie mogę nawet stąd wyjść. Polokov polował na mnie, Garland na dobrą sprawę tak samo.

— Myślisz, że Roy Baty też będzie cię szukał? — Odstawiła pustą szklankę, pochyliła się lekko do przodu i sięgnąwszy rękami za plecy, odpięła stanik. Zsunęła go zgrabnie i siedziała teraz kołysząc się i uśmiechając. — W mojej torebce — powiedziała — mam urządzenie produkowane przez nasze automatyczne fabryki na Marsie jako środek zabezpieczenia... — Skrzywiła się. — Środek zabezpieczający w czasie standardowych badań kontrolnych andka. Wyjmij je. Przypomina ostrygę.

Zaczął grzebać w jej torbie. Podobnie jak prawdziwa kobieta, Rachel również miała w niej mnóstwo wszelkich najprzeróżniejszych przedmiotów. Poszukiwania zdawały się przeciągać w nieskończoność.

W tym samym czasie Rachel zrzuciła buty i rozpięła szorty. Zsunęła je i stojąc na jednej nodze odrzuciła stopą w drugi koniec pokoju. Potem upadła na łóżko, sięgnęła po szklankę, ale tylko potrąciła ją i zrzuciła na dywan. — Cholera — powiedziała i niepewnie podniosła się z łóżka. Stała w samych figach i przyglądała mu się, jak szpera w jej torebce. Potem bardzo ostrożnie odwinęła kołdrę, położyła się i przykryła.

— Czy to to? — Wyjął metalową kulę ze sterującym z niej przyciskiem.

— Wprowadza androidy w stan katalepsji — powiedziała Rachel z zamkniętymi oczyma. — Na kilka sekund. Zawiesza oddychanie. Twoje również, ale ludzie przez taki czas mogą działać nie oddychając. Natomiast nerw błędny androida...

— Wiem. — Wyprostował się. — System nerwowy androida nie potrafi się elastycznie włączać i wyłączać. Ale powiedziałeś, że to działa nie dłużej niż pięć czy sześć sekund.

— Wystarczy — mruknęła Rachel — żeby ocalić ci życie. A więc... — Ocknęła się i usiadła na łóżku. — Jeżeli Roy Baty się tu pojawi, możesz trzymać to urządzenie w ręku i nacisnąć guzik. A kiedy Roy Baty znieruchomieje, krew przestanie dostarczać tlen i komórki mózgowie zaczną się mu rozkładać, będziesz mógł go zabić ze swojego blastera.

— Masz pistolet laserowy w torebce — powiedział.

— Atrapa. Androidy... — Ziewnęła. Znowu miała zamknięte oczy. — Nie mają prawa nosić laserów.

Podszedł do łóżka.

Wiercąc się w pościeli Rachel zdołała wreszcie przewrócić się na brzuch i wtuliła twarz w poszwę kołdry. — To czyste, szlachetne, dziewicze łóżko — oznajmiła. — Jedynie czysta, szlachetna dziewczyna, która... — zamyśliła się. — Androidy nie mogą mieć dzieci — powiedziała. — Czy nie szkoda?

Skończył ją rozbierać. Odsłonił blade, chłodne uda.

— Czy nie szkoda? — powtórzyła Rachel. — Właściwie nie wiem. Trudno mi ustalić. Co się czuje, jeżeli ma się dziecko? Co się czuje, jeżeli już o tym mowa, kiedy jest się rodzonym? My się nie rodzimy, nie dorastamy. Zamiast umierać z powodu choro-

by czy starości zużywamy się jak mrówki. Znowu mrówki. Tym właściwie jesteśmy. Nie ty, mówię o sobie. Pokryte chityną, działające na podstawie odruchu maszyny, które na dobrą sprawę wcale nie żyją. — Obróciła głowę na bok i oświadczyła głośno: — Ja nie żyję! Nie idziesz do łóżka z kobietą. Ale nie bądź rozczarowany, dobrze? Czy kiedykolwiek kochałeś się już z androidem?

— Nie — odparł zdejmując krawat i koszulę.

— Wiem... to znaczy słyszałam... że nie ma z tym problemów, jeżeli nie myślisz zbyt wiele. Ale jeżeli to zrobisz, jeżeli zaczniesz się nad tym zastanawiać — nic z tego nie wyjdzie. Z... hmm.. fizjologicznych powodów.

Pochylił się i pocałował ją w nagie ramię.

— Dziękuję, Rick — powiedziała słabo. — Ale pamiętaj, nie myśl o tym, tylko rób. Nie przerywaj i nie filozofuj, bo z filozoficznego punktu widzenia to koszmar. Dla nas obojga.

— Potem mimo wszystko mam zamiar poszukać Roya Baty'ego — powiedział. — Będę cię w dalszym ciągu potrzebował. Wiem, że pistolet laserowy w torebce jest...

— Myślisz, że usunę jednego andka za ciebie?

— Myślę, że wbrew temu co powiedziałaś, pomożesz mi jak tylko zdołasz. W przeciwnym razie nie leżałabyś w tym łóżku.

— Kocham cię — oświadczyła Rachel. — Gdybym weszła do pokoju i zobaczyła sofę z obiciem wykonanym z twojej skóry, na pewno uzyskałabym bardzo wysoki odczyt w teście Voigta-Kampffa.

Dzisiaj w nocy, pomyślał wyłączając nocną lampkę, usunę Nexusa-6, który wygląda dokładnie jak ta naga dziewczyna. Dobry Boże, pomyślał, robię to, o czym mówił Phil Resch. Idź z nią najpierw do łóżka, przypomniał sobie. A potem zabij. — Nie mogę tego zrobić — powiedział, cofając się.

— Chciałabym, żebyś mógł — odparła drżącym głosem Rachel.

— Nie z twojego powodu. Chodzi o Pris Stratton, o to co muszę z nią zrobić.

— Nie jesteśmy takie same. Nie obchodzi mnie Pris Stratton. Posłuchaj. — Rachel usiadła gwałtownie na łóżku. W mroku widział niewyraźnie jej szczupłą, niemal pozbawioną biustu postać. — Chodź ze mną do łóżka, a ja usunę Stratton. Dobrze? To nie do wytrzymania, dość tak blisko i...

— Dziękuję — powiedział. Czuł, jak wzbiera w nim uczucie wdzięczności — niewątpliwie wywołane burbonem — jak zaciska mu gardło. Tylko dwa, pomyślał. Muszę usunąć tylko dwa, tylko Batych. Czy Rachel rzeczywiście to zrobi? Chyba mogła. Androidy myślą i działają w taki właśnie sposób. Ale nigdy dotąd nie zetknął się z czymś podobnym.

— Do licha, chodź do łóżka — rzekła Rachel.

Zrobił to.

Rozdział XVII

Potem pozwolili sobie na wielki luksus. Rick zamówił do pokoju kawę. Siedział długo w zielono-czarnym ze złotymi listkami fotelu, popijał kawę i myślał o czekających go następnych kilku godzinach. W łazience Rachel popiskiwała i mruczała pluszcząc się pod gorącym prysznicem.

— Zrobiłeś ze mną dobry interes — powiedziała, gdy wyłączyła już wodę. Pojawiła się w drzwiach łazienki mokra, naga i różowa, z włosami ściągniętymi gumką. — My, androidy, nie potrafimy opanowywać naszych fizycznych namiętności. Pewnie o tym wiesz. Moim zdaniem wykorzystałeś mnie. — Jednak nie robiła wrażenia autentycznie rozgniewanej. Na dobrą sprawę zachowywała się wesoło i z całą pewnością równie po ludzku jak każda dziewczyna, którą do tej pory znał. — Czy rzeczywiście musimy wytropić te trzy andki dzisiaj w nocy?

— Tak — odparł. Ja usunę dwa, pomyślał, a ty jednego. Zrobił interes, jak określiła to Rachel.

Owijając się wielkim, białym ręcznikiem, zapytała:

— Było ci dobrze?

— Tak.

— Czy kiedyś jeszcze pójdziesz do łóżka z androidem?

— Jeżeli będzie dziewczyną. Jeżeli będzie przypominała ciebie.

— Czy wiesz, jak długo żyje taki humanoidalny robot jak ja? — zapytała Rachel.

— Funkcjonuję już dwa lata. Jak myślisz, ile mi jeszcze zostało?

— Około dwóch — odparł po krótkim wahaniu.

— Nigdy nie zdołają rozwikłać tego problemu. Chodzi mi o reprodukcję komórek. Stała albo przynajmniej częściową. No cóż, tak to jest. — Zaczęła energicznie wycierać się ręcznikiem. Twarz jej znowu stała się całkowicie beznamiętna.

— Przykro mi — powiedział.

— Do diabła — rzuciła ostro. — Żałuję, że o tym wspomniałam. W każdym razie powstrzymuje to ludzi od uciekania i życia z androidami.

— Czy to dotyczy również Naxusa-6?

— Problem leży w przemianie materii, a nie w mózgu. — Zebrała swoje rzeczy i zaczęła się ubierać.

Rick również. A potem, prawie nie rozmawiając ze sobą oboje wyjechali na lotnisko na dachu, gdzie sympatyczny, ubrany na biało pracownik garażu zaparkował jego hovera.

Gdy podążali w stronę przedmieść San Francisco, Rachel powiedziała:

— Przyjemna noc.

— Moja koza pewnie już śpi — rzekł. — A może kozy prowadzą nocny tryb życia? Niektóre zwierzęta nigdy nie śpią. Owca nigdy nie spała. W każdym razie nie stwierdziłem tego. Za każdym razem, kiedy na nią patrzyłem, odpowiadała spojrzeniem. Czekala, aż ją nakarmię.

— Jaka jest twoja żona?

Nie odpowiedział.

— Czy ty...

— Gdybyś nie była androidem — przerwał jej Rick — gdybym mógł się z tobą ożenić, zrobiłbym to.

— Albo żylibyśmy w grzechu. Z tą tylko różnicą, że ja nie jestem żywa — stwierdziła Rachel.

— Z prawnego punktu widzenia, nie. Ale naprawdę, w rzeczywistości, jesteś. Biologicznie. Nie wykonano cię z tranzystorowych obwodów jak sztuczne zwierzę, jesteś istotą organiczną. — A za dwa lata, pomyślał, zużyjesz się i umrzesz. Ponieważ jak sama wspomniałaś, nigdy nie zdołaliśmy rozwiązać problemu reprodukcji komórek. A więc, jak sądzę, nie ma to znaczenia.

Nadszedł mój koniec, pomyślał. Koniec jako łowcy. Po Batych nie będzie już następnych. Po tej nocy.

— Wyglądasz na bardzo smutnego — powiedziała Rachel.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

— Nie będziesz już mógł polować na androidy — oświadczyła spokojnie. — A więc nie bądź smutny. Proszę.

Popatrzył na nią.

— Żaden łowca nie może dalej działać — stwierdziła Rachel. — Po tym, jak był ze mną. Poza jednym. Straszny cynik. Phil Resch to świr. Pracuje na własną rękę.

— Rozumiem — oznajmił Rick. Czuł się jak odrętwiały. Całkowicie.

— Ale ta podróż — rzekła Rachel — nie pójdzie na marne, ponieważ spotkasz wspa-
niałego, uduchowionego mężczyznę.

— Roya Baty'ego — powiedział. — Czy znasz ich wszystkich?

— Znałam ich wszystkich, kiedy jeszcze funkcjonowali. A teraz znam troje. Próbowaliśmy powstrzymać cię dzisiaj rano, zanim zacząłeś realizować listę Davy'ego Holden. Próbowałam ponownie, na chwilę zanim dotarł do ciebie Polokov. Później jednak musiałam czekać.

— Do chwili, kiedy się załamalem — stwierdził. — I musiałem do ciebie zadzwonić.

— Luba Luft i ja byliśmy bardzo bliskimi przyjaciółkami od niemal dwóch lat. Co o niej myślisz? Podobała ci się?

— Bardzo.

— Ale ją zabiłeś.

— Zabił ją Phil Resch.

— Och, a więc to Phil Resch towarzyszył ci, kiedy wróciłeś do opery. Nie wiedzieliśmy o tym. Nasza łączność właśnie wtedy się urwała. Wiedzieliśmy tylko, że została zabita. Oczywiście przypuszczaliśmy, że ty to zrobiłeś.

— Sądzę — powiedział — że korzystając z notatek Dave'a mimo wszystko będę mógł usunąć Roya Baty'ego. Ale może nie uda mi się z Irmgardą Baty. — I z Pris Stratton, pomyślał. Nawet teraz, kiedy wiem o tym. — A więc wszystko, co zdarzyło się w hotelu — rzekł — było...

— Spółka — przerwała mu Rachel — chciała dotrzeć do łowców zarówno tutaj, jak i w Związku Radzieckim. Mieliśmy wrażenie, że metoda skutkuje... z powodów, których nie rozumieliśmy w pełni. Chyba przez nasze ograniczenia.

— Wątpię, by działało to równie często i dobrze, jak twierdzisz — oznajmił ochrypłym głosem.

— Ale z tobą się udało.

— Zobaczymy.

— Ja to już wiem — odparła Rachel. — Kiedy zobaczyłam wyraz twojej twarzy, ten żal. Czekałam na niego.

— Jak często to robiłaś?

— Nie pamiętam. Siedem, może osiem. Nie, sądzą, że dziewięć. — Skinęła, a może raczej skinęło, głową. — Tak, dziewięć razy.

— Cały pomysł jest staroświecki — stwierdził Rick.

Rachel drgnęła, zaskoczona i spytała:

— C-co?

Rick odepchnął lekko kierownicę od siebie i hover zaczął opadać.

— Albo tak mi się wydaje. Mam zamiar cię zabić — oświadczył. — A potem pójdę sam po Roya i Irmgardę Baty oraz po Pris Stratton.

— Dlatego łądujesz? — I dodała z niepokojem. — Za to grozi grzywna. Jestem własnością, prawną własnością spółki. A nie zbiegłym androidem, który uciekł z Marsa. Nie należę do tej samej kategorii, co pozostałe.

— Ale — stwierdził Rick — jeżeli zdołam cię zabić, zdołam zabić również je.

Jej dłonie zniknęły gwałtownie we wnętrzu wypchanej, wypełnionej chłamek torby. Szukała gorączkowo, aż wreszcie zrezygnowała.

— Do licha z nią — rzuciła z wściekłością. — Nigdy nie mogę niczego w niej znaleźć. Czy zabijesz mnie tak, żeby nie bolało? Postaraj się. Nie będę się opierać, dobrze? Obiecuję, że nie będę walczyć. Zgadzasz się?

— Teraz rozumiem, dlaczego Phil Resch to powiedział — stwierdził Rick. — Wcale nie był cyniczny. Po prostu zaznał zbyt wiele. Po przejściu tego wszystkiego... Nie mogę go winić. To mu skrzywiło psychikę.

— Ale w niewłaściwy sposób. — Pozornie sprawiała już wrażenie całkiem opanowanej. Ale wewnątrz wciąż była spięta, rozgorączkowana. Jednak czarny płomień zgasł, życiowe siły opuszczały ją podobnie, jak widział to w przypadku innych androidów. Klasyczna rezygnacja. Mechaniczna, intelektualna akceptacja tego, z czym prawdziwy organizm po dwóch miliardach lat ewolucji i związanej z nią walki o życie nigdy by się nie pogodził.

— Nie znoszę tego, w jaki sposób wy, androidy, poddajecie się — powiedział z wściekłością. Hover niemal dotarł już do ziemi i Rick musiał ściągnąć sterownicę na siebie, aby uniknąć katastrofy. Włączył hamulce i maszyna zakołysała się, zatrzymując z poślizgiem. Wyłączył silnik i wyjął pistolet laserowy.

— W potylicę, w podstawę czaszki — poprosiła Rachel. — Proszę. — Obróciła się, aby nie patrzeć na pistolet. Aby promień blastera poraził ją niespodziewanie.

Rick schował pistolet i powiedział:

— Nie mogę zrobić tego, co radził Phil Resch. — Ponownie włączył silnik i w chwilę później znowu wystartowali.

— Jeżeli masz zamiar mnie zabić — rzekła Rachel — zabij mnie teraz. Nie każ mi czekać.

— Nie zabiję cię. — Lecieli znowu w kierunku śródmieścia San Francisco. — Twoja maszyna jest w St. Francis, prawda? Wysadzę cię tam i możesz lecieć do Seattle. — To było wszystko, co miał do powiedzenia. Dalej prowadził w milczeniu.

— Dziękuję, że mnie nie zabiłeś — oznajmiła po chwili Rachel.

— Do diabła. Powiedziałaś, że i tak masz przed sobą tylko dwa lata życia. A ja pięćdziesiąt. Będę żył dwadzieścia pięć razy dłużej niż ty.

— Ale mną pogardzasz — stwierdziła. — Za to, co zrobiłam. — Wróciła jej pewność siebie. Wypowiadana przez nią litania słów zaczęła rozbrzmiewać coraz szybciej. — Postępujesz dokładnie tak jak inni łowcy, którzy byli przed tobą. Za każdym razem wpadają w furję i jak szaleni opowiadają, że mnie zabijają, ale kiedy mają to zrobić, nie mogą. Zupełnie jak ty teraz. — Zapaliła papierosa i zaciągnęła się z rozkoszą. — Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Że miałam rację. Nie będziesz już w stanie usunąć żadnego andro-

ida. Nie tylko mnie, ale również Batych i Stratton. Jedź więc do domu, do swojej kozy. I odpocznij trochę. — Gwałtownym ruchem otrzepała płaszcz. — Ojej! Spadł mi gorący popiół z papierosa. No, już po wszystkim. — Rozparła się wygodnie w fotelu.

Nic nie odpowiedział.

— Ta koza — znowu zaczęła Rachel. — Kochasz ją bardziej niż mnie. I pewnie bardziej niż swoją żonę. Najpierw koza, potem żona, a potem cała reszta... — Zachichotała wesoło. — Można się tylko z tego śmiać.

Nie odpowiedział. Przez jakiś czas lecieli w milczeniu i wreszcie Rachel zaczęła się rozglądać, odnalazła radio i włączyła je.

— Zgaś — polecił Rick.

— Zgasić Przyjacielskiego Bustera i jego Przyjacielskich Przyjaciół? Wyłączyć Amandę Werner i Oskara Scruggsa? Pora wysłuchać wielkiego, sensacyjnego oświadczenia Bustera, które wreszcie wygłosi lada chwila. — Pochyliła się i podsunęła zegarek pod światło padające z radia. — Już wkrótce. Czy wiedziałeś o tym? Mówił na ten temat, przygotowywał wszystko do...

Głos z radia oznajmił:

— I właśnie chcę wam powiedzieć, kochani, że siedzę z moim phyjacielem Bustem, hozmawiamy i doskonale się bawimy, czekając z nieciehpliwością, na zbliżając się z kahdym dhgnieniem wskazówki zegaha coś, co jak wiemy, jest naaaj wahnniejszym oświadczeniem w...

Rick wyłączył radio.

— Oskar Scruggs — powiedział. — Głos inteligentnego mężczyzny.

Rachel natychmiast włączyła radio z powrotem.

— Chcę słuchać. Mam zamiar słuchać. To, co Buster ma powiedzieć nam dziś wieczorem, jest ważne. — Kretyński głos znowu zaczął bełkotać w głośniku i Rachel usadowiła się wygodnie. Obok Ricka, w ciemności, żar jej papierosa świecił jak odwłok zadowolonego świetlika. Niewzruszony znak sukcesu Rachel Rosen. Zwycięstwa nad nim.

Rozdział XVIII

— Przynies tu resztę moich rzeczy — Pris poleciła J.R. Isidore. — Zwłaszcza chcę mieć telewizor. Żebyśmy mogli wysłuchać oświadczenia Bustera.

— Tak — przytaknęła Irmgarda Baty. Oczy jej błyszczały i sprawiała wrażenie ruchiwego, zadowolonego z siebie ptaka. — Musimy mieć telewizor. Długo czekaliśmy na dzisiejsze oświadczenie i ono właśnie wkrótce się zacznie.

— Mój aparat ma tylko kanał rządowy — oświadczył Isidore.

Usadowiony w kącie salonu w głębokim fotelu, zupełnie jakby chciał pozostać w nim na stałe, Roy Baty beknął i odezwał się cierpliwym, wyrozumiałym tonem:

— Chcemy oglądać Przyjacielskiego Bustera i jego Przyjacielskich Przyjaciół, Iz. A może wolisz, żebym nazywał cię J.R.? W każdym razie, czy zrozumiałeś? Pójdiesz po telewizor?

Isidore poszedł samotnie po pustym, dudniącym echem kroków korytarzu w kierunku schodów. Wciąż czuł wypełniającą go potężną aurę szczęścia, poczucia istnienia, tego, że po raz pierwszy w swoim nudnym życiu jest przydatny. Teraz inni polegają na mnie, cieszył się schodząc piętro niżej po zakurzonych schodach.

I będzie miło, pomyślał, znowu zobaczyć Przyjacielskiego Bustera w telewizorze, a nie tylko słuchać go przez radio ciężarówki. Rzeczywiście, przypomniał sobie. Buster ma dziś wieczorem wygłosić swoje starannie udokumentowane oświadczenie. A więc dzięki Pris, Irmgardzie i Royowi on obejrzy coś, co będzie najważniejszą wiadomością, jaką nam przekażą w ciągu wielu lat. I co ty na to, powiedział do siebie.

Życie nabrało dla J.R. Isidore zdecydowanych rumieńców.

Wszedł do dawnego mieszkania Pris, wyłączył telewizor z sieci i wyjął wtyczkę anteny. Natychmiast przeniknęła wszystko cisza. Jego ręce stały się odrętwiałe. Czuł, jak nieobecność Batych i Pris sprawia, że zaczyna zanikać, staje się zupełnie jak ten martwy telewizor, który wyłączył przed chwilą. Musisz być wśród innych ludzi, pomyślał. Po to, aby w ogóle przeżyć. Zanim się zjawili, mogłem znieść fakt, że jestem sam w całym budynku. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Nie możesz do tego wrócić, pomyślał. Nie możesz przejść od ludzi do nieludzi. Jestem od nich zależny, pomyślał, ogarnięty nagłą paniką. Dzięki Bogu, że zostają.

Uznał, że przeniesienie rzeczy Pris na górę będzie wymagało dwóch kursów. Postanowił, że najpierw zanieś telewizor, a dopiero potem walizki i pozostałe ubrania.

Po kilku minutach telewizor znajdował się już w jego mieszkaniu. Czując ból w palcach, postawił aparat na stoliku w salonie. Irmgarda, Roy i Pris przyglądali się beznamiętnie.

— Otrzymujemy dobry sygnał w tym budynku — wysapał podłączając aparat do prądu i anteny. — Kiedy odbierałem Przyjacielskiego Bustera i jego...

— Po prostu włącz telewizor — polecił Roy Baty. — I przestań mówić.

Zrobił, jak mu kazano, i pośpieszył w stronę drzwi.

— Jeszcze jeden kurs wystarczy — powiedział. Zwlekał z wyjściem, grzejąc się ciepłem ich obecności.

— Doskonale — odparła z roztargnieniem Pris.

Isidore ponownie ruszył na dół. Chyba trochę mnie wykorzystują, pomyślał. Ale nie dbał o to. W dalszym ciągu są dla mnie dobrymi przyjaciółmi, pomyślał.

Gdy ponownie znalazł się piętro niżej, zebrał wszystkie rzeczy dziewczyny, włożył je do walizki i ponownie ruszył ciężkim krokiem korytarzem i schodami na górę.

Na stopniu przed nim poruszyło się coś niewielkiego.

Natychmiast upuścił walizkę, wy dobył małą plastikową buteleczkę po lekarstwach, którą, podobnie jak wszyscy, nosił zawsze przy sobie w oczekiwaniu takiej właśnie okazji. Pająk — niepozorny, ale żywy. Trzęsącymi rękami zapędził go do buteleczki i zamknął szczelnie podziurawioną igłą pokrywkę.

Na gorze, w drzwiach mieszkania, zatrzymał się, aby złapać oddech.

— ... tak, kochani, nadeszła pora. Mówi Przyjacielski Buster, który ma nadzieję i wierzy, że równie mocno jak ja chcecie poznać odkrycie, którego dokonałem i które zostało potwierdzone przez najwybitniejszych badaczy pracujących przez wiele godzin w czasie ubiegłego tygodnia. Hej, hej, kochani. To jest to!

— Znalazłem pająka — powiedział John Isidore.

Trzy androidy popatrzyły w jego stronę, natychmiast przenosząc całą uwagę z telewizora na niego.

— Pokaż go — poleciła Pris, wyciągając rękę.

— Nie gadajcie, kiedy mówi Buster — warknął Roy Baty.

— Nigdy nie widziałam pająka — oznajmiła Pris. Trzymała buteleczkę w obu dłoniach, obserwując zamknięte w niej stworzenie. — Tyle nóg. Po co mu tyle nóg, J.R.?

— Takie właśnie są pająki — wyjaśnił Isidore. Czuł, jak łomocze mu serce, miał kłopoty z oddychaniem. — Mają osiem nóg.

— Wiesz, co mi się zdaje, J.R.? — zapytała Pris wstając. — Sądzę, że nie potrzebuje tylu nóg.

— Osiem? — przyłączyła się do niej Irmgarda Baty. — Czy nie wystarczyłyby mu cztery? Obetnijmy je i sprawdźmy. — Gwałtownie otworzyła torebkę i wyjęła czyste, ostre nożyczki do paznokci. Podała je Pris.

J.R. Isidore ogarnęło paralizujące przerażenie.

Pris zaniósła buteleczkę do kuchni i usadowiła się przy stole. Zdjęła pokrywkę i wyrzuciła pająka na blat. — Pewnie nie będzie mógł równie szybko biegać — powiedziała — ale i tak nie miałby tu nic do złapania. Nie przeżyłby. — Sięgnęła po nożyczki.

— Proszę — odezwał się Isidore.

Popatrzyła na niego pytająco.

— Czy jest coś wart?

— Nie męcz go — poprosił błagalnym głosem.

Pris obcięła nożyczkami jedną nogę pająka.

W saloniku Przyjacielski Buster oznajmił z ekranu telewizora.

— Popatrzcie na powiększenie widoczne we fragmencie tła. To niebo, które zazwyczaj obserwujemy. Poczekajcie, poproszę Earla Parametera, kierownika mojego zespołu badawczego, żeby przedstawił wam wstrząsające odkrycie.

Pris obcięła kolejną nogę pająkowi, przytrzymując go kantem dłoni. Uśmiechała się.

— Powiększenia tych kadrów wideo — oznajmił nowy głos z telewizora — poddane dokładnym badaniom laboratoryjnym świadczą, że szare niebo i widoczny w dzień księżyc, na których tle porusza się Mercer, są nie tylko ziemskie — są sztuczne.

— Wszystko stracisz! — zawołała z niepokojem Irmgarda do Pris. Wbiegła do kuchni, zobaczyła, co robi Pris i powiedziała: — Zajmiesz się tym później. To ważne, o czym mówią. Dowodzi, że wszystko, w co wierzyliśmy...

— Bądźcie cicho — polecił Roy Baty.

— ... jest prawdą — skończyła Irmgarda.

Głos z telewizora ciągnął dalej:

— „Księżyc” jest namalowany. W powiększeniu, które obecnie widzicie państwo na ekranie, dostrzegalne są ślady pędzla. Istnieją również dowody, że skąpa roślinność i sterylna gleba — a być może również kamienie ciskane w Mercera przez niewidzialne osoby — są w równym stopniu fałszywe. Niewykluczone również, że te „kamienie” zostały wykonane z miękkiego plastyku i nie powodują prawdziwych ran.

— Innymi słowy — wtrącił się Przyjacielski Buster — Wilbur Mercer wcale nie cierpi.

Kierownik grupy badawczej powiedział:

— Wreszcie udało się nam wytropić byłego pracownika z Hollywood, który zajmował się tam efektami specjalnymi. Pan Wade Cortot na podstawie wieloletniego doświadczenia stanowczo oświadcza, że postać „Mercera” może równie dobrze być grana przez jakiegoś drugoplanowego aktora przechodzącego przez plan filmowy. Cortot po-

sunał się nawet do stwierdzenia, że rozpoznaje ów plan i oznajmił, iż był on wykorzystywany przez nie działającego już producenta filmowego, z którym Cortot prowadził rozmaite interesy kilkadziesiąt lat temu.

— A więc według Cortota — wtrącił się znowu Buster — właściwie nie ma wątpliwości.

Pris obcięła już trzy nogi pająkowi, który pełzał żałośnie po blacie stołu, szukając drogi ucieczki do wolności. Nie znalazł jej.

— Mówiąc szczerze, uwierzyliśmy Cortotowi — oznajmił kierownik grupy badawczej suchym, pedantycznym głosem — i poświęciliśmy wiele czasu na badania zdjęć drugoplanowych aktorów zatrudnionych kiedyś w nie istniejącym już hollywoodzkim przemyśle filmowym.

— I znaleźliście...

— Posłuchajcie tego... — powiedział Roy Baty. Irmgarda nie odrywała oczu od ekranu, a Pris przerwała znęcanie się nad pająkiem.

— Po przestudiowaniu wielu tysięcy zdjęć odnaleźliśmy bardzo starego człowieka o nazwisku Al Jarry, który grał szereg drugoplanowych ról w przedwojennych filmach. Wysłaliśmy zespół z naszego laboratorium do domu Jarry'ego w East Harmony w Indianie. Poproszę jednego z członków naszego zespołu, aby opisał, co odnaleźli. — Chwila ciszy, a potem nowy głos, równie monotony, co poprzedni. — Dom na Lark Avenue w East Harmony jest nędzny i rozsypuje się, mieści się na skraju miasta, gdzie nie mieszka nikt poza Alem Jarrym. Zostaliśmy uprzejmie poproszeni do środka i usadowieni w pachnącym stęchlizną, pełnym pajęczyn i zachłamionym saloniku. Za pomocą telepatii zbadałem zamglony, zaśmiecony i leniwy umysł siedzącego przede mną Ala Jarry'ego.

— Słuchajcie — oznajmił Roy Baty. Siedział na krawędzi fotela, jakby szykując się do skoku.

— Przekonałem się — ciągnął dalej technik — że ten starzec w rzeczywistości wykonał serię krótkich, piętnastominutowych filmów wideo dla zleceniodawcy, którego nigdy nie widział. Tak jak zakładaliśmy, „kamienie” rzeczywiście były wykonane z przypominającego gumę plastyku. Rozlaną „krew” imitował keczup, a... — technik zachichotał — jedyne cierpienia, na jakie narażał się pan Jarry, wiązały się z faktem, że musiał cały dzień obyć się bez whisky.

— Al Jarry — stwierdził Buster, którego twarz znowu pojawiła się na ekranie. — Proszę, proszę. Starzec, który nawet w przeszłości nie uczynił nic, co on lub my moglibyśmy szanować. Al Jarry wykonał nudny, pełen powtórek film, a właściwie serię filmów, dla nieznanej nam osoby. Na razie nieznanej. Wyznawcy merceryzmu często twierdzą, że Wilbur Mercer nie jest człowiekiem i w gruncie rzeczy stanowi archetypiczną wyższą istotę, pochodzącą być może z innej gwiazdy. No cóż, w pewnym sensie jest to praw-

da. Wilbur Mercer nie jest człowiekiem, ponieważ w gruncie rzeczy nie istnieje. Świat, w którym dokonuje swej wspinaczki to tanie, hollywoodzkie studio, które przed wieloma laty zostało pogrzebane w chłampie. Któż więc rozpowszechnił tę bujdę w systemie słonecznym? Pomyślcie trochę nad tym, kochani.

— Może nigdy się nie dowiemy — mruknęła Irmgarda.

— Może nigdy się nie dowiemy — stwierdził Buster. — Być może nie poznamy, jaki był cel tego oszustwa. Tak, kochani, oszustwa. Merceryzm jest oszustwem!

— Sądzę, że wiemy — rzekł Roy Baty. — To oczywiste. Merceryzm pojawił się...

— Zastanówcie się jednak nad tym — ciągnął dalej Przyjacielski Buster. — Zadajcie sobie pytanie, co sprawia merceryzm. No cóż, jeżeli wierzyć jego wielu wyznawcom, jego doświadczenie sprawia...

— To empatia, którą posiadają ludzie — powiedziała Irmgarda.

— ... że mężczyźni i kobiety w całym systemie słonecznym stają się jednością. Ale jednością, którą steruje tak zwany telepatyczny głos „Mercera”. Zapamiętajcie to. Jakiś ambitny, przyszły Hitler mógłby...

— Nie, to empatia — oznajmiła z ożywieniem Irmgarda. Z zaciśniętymi pięściami ruszyła do kuchni, do Isidore. — Czy to nie sposób na udowodnienie, że ludzie są w stanie zrobić coś, czego my nie możemy? Ponieważ bez doświadczenia Mercera mamy tylko wasze słowo na to, że czujecie tę waszą empatię, to wspólne, grupowe przeżycie. Jak się ma pająk? — Pochyliła się nad ramieniem Pris.

Pris odcięła nożyczkami następną nogę.

— Ma cztery — oznajmiła. — Nie chce chodzić. A przecież może.

Roy Baty pojawił się w drzwiach, oddychając głęboko. Na jego twarzy malowało się spełnienie.

— Zrobione. Buster powiedział to na głos i prawie każdy człowiek w systemie usłyszał jego słowa: „Merceryzm jest oszustwem”. Całe doświadczenie związane z empatią jest oszustwem. — Podszedł bliżej i z zaciekawieniem popatrzył na pająka.

— Nie chce chodzić — oświadczyła Irmgarda.

— Mogę go zmusić. — Roy Baty wziął pudełko zapalek i zapalił jedną. Podsuwał ją do pająka, coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie stworzenie zaczęło odpełzać na bok.

— Miałam rację — oświadczyła Irmgarda. — Czy nie mówiłam, że może chodzić mając tylko cztery nogi? — Popatrzyła z wyczekiwaniem na Isidore. — Co ci jest? — Dotknęła jego ramienia i powiedziała: — Niczego nie utraciłeś. Zapłacimy tyle, ile... jak to się nazywa?... ile podaje katalog Sidneya. Nie bądź taki smutny. Czy to nie ciekawe, co odkryli na temat Mercera? Te badania? Hej, odpowiedz. — Szturchnęła go, zaniepokojona.

— Jest przygnębiony — rzekła Pris. — Ponieważ ma skrzynkę empatyczną. W drugim pokoju. Czy z niej korzystasz, J.R.? — spytała Isidore.

— Oczywiście, że korzysta — odpowiedział Roy Baty. — Wszyscy to robią... Albo robili. Teraz może zaczną się zastanawiać.

— Nie przypuszczam, by spowodowało to koniec kultu Mercera — powiedziała Pris. — Ale dokładnie w tej właśnie chwili wiele ludzkich istot cierpi. Czekaliśmy na to od wielu miesięcy — zwróciła się do Isidore. — Wiedzieliśmy, że to nastąpi, ta rewelacja Bustera. — Zawahała się, a potem dodała. — No cóż, czemu nie. Buster jest jednym z nas.

— Jest androidem — wyjaśniła Irmgarda. — I nikt o tym nie wie. To znaczy, żaden człowiek.

Pris obciąła nożyczkami kolejną nogę pająkowi. John Isidore natychmiast odepchnął ją i wziął do ręki umęczone stworzenie. Zaniósł je do zlewu i utopił. Jednocześnie poczuł, jak toną również jego nadzieje. Równie szybko jak pająk.

— Jest naprawdę zmartwiony — powiedziała wyraźnie zdenerwowana Irmgarda. — Nie rób takiej miny, J.R. I dlaczego nic nie mówisz? To mnie strasznie smuci — zwróciła się do Pris i męża — kiedy tak stoi przy zlewie i milczy. Nie powiedział ani słowa od chwili, gdy włączyliśmy telewizor.

— To nie telewizja — wyjaśniła Pris. — Chodzi mu o pająka. Prawda, Johnie R. Isidore? Przejdzie mu — zwróciła się do Irmgardy, która wyszła do drugiego pokoju, żeby zgasić telewizor.

Roy Baty przyglądał się z rozbawieniem Isidore.

— Wszystko się już skończyło, Iz — odezwał się w końcu. — Myślę o merceryzmie. — Wyjął za pomocą gwoźdźki zwłoki pająka ze zlewu. — Może to był ostatni pająk — oznajmił. — Ostatni żywy pająk na Ziemi. — Zamyślił się przez chwilę. — W takim razie z pająkami również wszystko się już skończyło.

— Ja... Nie czuję się najlepiej — powiedział Isidore. Wyjął z szafki kuchennej kubek. Stał przez jakiś czas, nie wiedział jak długo. A potem odezwał się do Roya Baty'ego: — Czy niebo za Mercerem jest tylko pomalowane? Nieprawdziwe?

— Widziałeś powiększenia w telewizorze — odparł Roy Baty. — Ślady pędzla.

— Merceryzm nie jest skończony — odparł Isidore. Coś niepokoiło te trzy androidy, coś strasznego. Pająk, pomyślał. Może jak powiedział Roy Bay, to był ostatni pająk na Ziemi. I pająka już nie ma. Mercera nie ma. Zobaczył kurz i zniszczenie rozprzestrzeniające się po całym mieszkaniu — słyszał nadciąganie chłamu, ostateczny rozpad wszystkich form, nieobecność, która wreszcie wygra. Narastała wokół niego, gdy tak stał, trzymając w ręku pusty, fajansowy kubek. Szafy w kuchni trzasnęły i pękły. Przewrócił się, gdy zapadła się pod nim podłoga.

Wyciągnął rękę i dotknął ściany. Jego dłoń przebiła powierzchnię. Szare cząsteczki tynku osypały się w dół, przypominając radioaktywny pył na zewnątrz. Usiadł przy stole i puste w środku nogi krzesła wygięły się pod nim jakby były spróchniałe. Wstał szyb-

ko, odstawił kubek i próbował naprawić krzesło, przywrócić mu dawny kształt. Krzesło rozpadło się w jego rękach, śruby łączące poszczególne części wysunęły się i wisiały teraz luźno. Zobaczył, jak stojący na stole kubek pęka, siatka drobnych szczelin pokrywa go niby cień dzikiego wina, a potem z krawędzi kubka odpadł kawałek, odsłaniając nierówne, pobawione polewy wewnątrz.

— Co on robi? — usłyszał dobiegający go z oddali głos Irmgardy Baty. — Wszystko niszczy! Isidore, przestań...

— Wcale tego nie robię — odpowiedział. Niepewnym krokiem przeszedł do saloniku. Stał przy obszarpanej sofie i patrzył na żółtą, poplamioną ścianę, na wszystkie plamy pozostawione przez pełzające po niej już od wielu lat martwe owady i znowu pomyślał o zwłokach pająka z trzema pozostałymi nogami. Wszystko tutaj jest stare, pomyślał. Dawno temu zaczęło się rozkładać i nic już tego nie powstrzyma. Zwłoki pająka opanowały wszystko.

W zagłębieniu zapadniętej podłogi pojawiły się szczątki zwierząt. Głowa wrony, zmumifikowane łapy, które mogły kiedyś należeć do małpy. Nieco z boku stał osioł, nieruchomy, ale mimo to najwyraźniej żywy, przynajmniej nie zaczął się jeszcze rozkładać. Isidore ruszył w jego stronę czując, jak przypominające suche patyki kości pękają pod podeszwami jego butów. Zanim jednak dotarł do osła — jednego ze stworzeń, które kochał najbardziej — lśniąca granatem wrona spadła z góry i usiadła na pysku zwierzęcia. Nie, powiedział na głos, ale wrona szybko wydziobała osłu oczy. Znowu, pomyślał. Znowu mi się to zdarza. Będę tu, w dole, bardzo długo, uświadomił sobie. Jak poprzednio. Zawsze trwa to długo, ponieważ nic się tu nie zmienia. Nadchodzi moment, kiedy nawet nie ulega rozkładowi.

Zaszeleścił suchy wiatr i wokół niego zaczęły rozsypywać się stopy kości. W tym stadium nawet wiatr je niszczy, uświadomił sobie. Za chwilę ustanie czas. Chciałbym pamiętać, w jaki sposób mogę stąd się wydostać, pomyślał. Spojrzał do góry i nie zobaczył nic, czego mógłby się złapać.

Mercer, powiedział głośno. Gdzie teraz jesteś? To świat grobów i znowu w nim jestem, ale tym razem nie ma ciebie.

Coś wpęzło na jego stopę. Ukląkł i zaczął szukać — znalazł, bo poruszało się bardzo wolno. Był to okaleczony pająk, posuwający się niepewnie na pozostałych nogach. Podniósł go i położył w zagłębieniu dłoni. Kości, uświadomił sobie, zaczęły się zmieniać, pająk znowu żyje. Mercer musi być w pobliżu.

Wiatr wiał i pod jego tchnieniem pozostałe kości pękały i rozsypywały się, ale Isidore czuł obecność Mercera. Chodź tu, powiedział do niego. Wpełnij na moją stopę albo znajdź inny sposób, aby do mnie dotrzeć. Dobrze. Mercer, pomyślał. Powiedział na głos:

— Mercer!

Przez otaczający krajobraz nadchodziły rośliny, wkręcały się w ściany i drążyły je do chwili, kiedy stały się swoim własnym nasieniem. Nasiono napęczniało, pękło i eksplodowało wewnątrz przerdzewiałej stali i odłamków betonu, które niegdyś były ścianami. Ale po tym, gdy zniknęły już ściany, pozostała pustka, pustka następowała po wszystkim innym. Poza kruchą, niewyraźną postacią Mercera. Starzec stał przed nim z pogodnym wyrazem twarzy.

— Czy niebo jest namalowane? — zapytał Isidore. — Czy rzeczywiście przy powiększeniu widać pociągnięcia pędzlem?

— Tak — odparł Mercer.

— Nie dostrzegłem ich.

— Byłeś zbyt blisko. Musiałbyś się znaleźć w wielkiej odległości, w takiej jak androidy. Mają lepszą perspektywę.

— Czy dlatego twierdzą, że jesteś oszustwem?

— Jestem oszustwem — odparł Mercer. — Są szczerzy, ich badania są prawdziwe. Z ich punktu widzenia jestem wiekowym, emerytowanym statystą, który nazywa się Al Jarry. Wszystko w ich demistyfikacji jest prawdą. Przeprowadzili ze mną wywiad, tak jak twierdzą. Powiedziałem im wszystko, co chcieli wiedzieć, całą ich prawdę.

— Również o whisky?

Mercer uśmiechnął się.

— To też była prawda. Wykonali dobrą robotę i z ich punktu widzenia rewelacja Przyjacielskiego Bustera jest przekonująca. Będą mieli kłopoty ze zrozumieniem, dlaczego nic się nie zmienia. Ponieważ ty wciąż jesteś tutaj i ja wciąż tu jestem. — Mercer zatoczył łuk ręką wskazując nagie zbocze wzgórza, całe to dobrze znane miejsce. — Właśnie wydobyłem cię ze świata grobów i będę to czynił nadal, aż nie przestaniesz cię to ciekawić i zechcesz zrezygnować. Ale będziesz musiał przestać mnie szukać, ponieważ ja nigdy nie przestanę szukać ciebie.

— Nie podobała mi się ta historia z whisky — powiedział Isidore. — To poniżające.

— Uważasz tak dlatego, że sam jesteś wysoce moralną osobą. A ja nie. Nie osądzam, nawet samego siebie. — Mercer wyciągnął rękę ze skierowaną ku górze zaciśniętą pięścią. — Zanim o tym zapomnę. Mam tu coś twojego. — Rozchylił palce. Na jego dłoni leżał okaleczony pająk, ale jego obcięte nogi były znowu na swoich miejscach.

— Dziękuję — Isidore przyjął pająka. Zaczął mówić coś jeszcze...

Zajazgotał dzwonek alarmowy.

— W budynku jest łowca! — warknął Roy Baty. — Zgaście światła. Odciągnijcie go od skrzynki empatycznej, musi być gotów przy drzwiach. Dalej — ruszcie go!

Rozdział XIX

John Isidore spojrział w dół i zobaczył własne dłonie — ścisnęły dwa uchwyty skrzynki empatycznej. Kiedy stał, patrząc na nie, światło w jego saloniku zgasło. Dostrzegł, jak w kuchni Pris szybko łapie stojącą na stole lampę.

— Posłuchaj, J.R. — Irmgarda szepnęła mu ostro do ucha. Schwyciła go gwałtownie za ramię, z rozgorączkowaniem wbijając mu paznokcie w skórę. Zdawała się zupełnie nie zdawać sobie sprawy z tego, co robi. W mdłym świetle padającym z zewnątrz twarz Irmgardy była zniekształcona, niewyraźna. — Kiedy zastuka, jeżeli zastuka — szepnęła — będziesz musiał podejść do drzwi. Pokażesz mu swój dowód rejestracyjny i powiesz, że to twoje mieszkanie i nikogo poza tobą tu nie ma. I każ mu pokazać nakaz.

Pris, która stała po jego drugiej stronie, szepnęła:

— Nie pozwól mu wejść, J.R. Nie mów nic, zrób wszystko, żeby go powstrzymać. Wiesz, co łowca może zrobić, kiedy tu wpadnie? Czy wiesz, co może z nami zrobić?

Isidore odsunął się od dwóch żeńskich androidów i po omacku odnalazł drogę do drzwi. Namacał klamkę i zatrzymał się, nasłuchując. Czuł znajdujący się za drzwiami korytarz, tak jak zawsze — pusty, dudniący echem i bez życia.

— Czy coś słyszysz? — zapytał Roy Baty, pochylając się do przodu. Isidore poczuł jego cuchnące, skulone ciało, płynący od niego strach, lęk emanujący z niego, tworzący mgłę. — Wyjdź i rozejrzyj się.

Isidore otworzył drzwi i rozejrzył się po słabo oświetlonym korytarzu. Powietrze na zewnątrz było właściwie czyste, mimo osadu pyłu. Wciąż trzymał w dłoni pająka, którego otrzymał od Mercera. Czy był to rzeczywiście ten sam pająk, którego Pris kaleczyła za pomocą nożyczek do paznokci Irmgardy Baty? Zapewne nie. Nigdy się tego nie dowie. Ale w każdym razie ten żył, pełzał w jego zamkniętej dłoni, nie gryząc go. Jak w przypadku większości małych pająków, jego szczęki nie były w stanie przebić ludzkiej skóry.

Dotarł do końca korytarza, zszedł po schodach i wyszedł na zewnątrz, na coś, co kiedyś było ścieżką prowadzącą przez ogród. Ogród został zniszczony w czasie wojny,

a betonowe płyty popękały w tysiącach miejsc. Ale znał powierzchnię, czuł ją pod stopami i szedł po niej wzdłuż budynku, aż dotarł wreszcie do jedyne go zielonego miejsca w okolicy, skrawka przesyconych pyłem, przywiędłych chwastów. Tam też wypuścił swojego pająka. Poczł dotknięcie nóg, kiedy schodził mu z dłoni. Cóż, to było to. Wyprostował się.

Na chwastach spoczał promień latarki i w jego blasku na wpół martwe źdźbła chwastów zaczęły sprawiać groźne wrażenie. Teraz mógł dostrzec pająka, spoczywał na ząbkowanym liściu. A więc udało mu się wydostać.

— Co pan zrobił? — zapytał mężczyzna trzymający latarkę.

— Wypuściłem pająka — odparł, zastanawiając się, dlaczego mężczyzna tego nie widzi. W żółtym promieniu latarki pająk wydawał się ogromny. — Żeby mógł sobie pójść.

— Dlaczego nie zabrał go pan do swojego mieszkania? Mógłby go pan trzymać w słoiku. Według styczniowego Sidneya wartość pajaków wzrosła o dziesięć procent. Mógłby pan dostać za niego ponad sto dolarów.

— Gdybym go zabrał — odparł Isidore. — Znowu by go pokroiła. Na kawałki, żeby zobaczyć, co się stanie.

— Androidy to robią — oznajmił mężczyzna. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wydobyl coś, otworzył i wyciągnął w stronę Isidore.

W niezbyt silnym świetle łowca wyglądał przeciętnie, nie robił jakiegoś imponującego wrażenia. Okrągła twarz, bez zarostu, regularne rysy — przypominał urzędnika w jakimś biurze. Metodyczny, ale o swobodnym sposobie bycia. Wcale nie był ucielesnionym półbogiem, jak spodziewał się Isidore.

— Jestem oficerem śledczym z Wydziału Policji w San Francisco. Nazywam się Deckard, Rick Deckard. — Mężczyzna zamknął legitymację i włożył z powrotem do kieszeni płaszcza. — Są tam na górze? Cała trójka?

— No cóż, są — odparł Isidore. — Opiekuję się nimi. Dwa są kobietami. Ostatnimi z całej grupy, pozostałe nie żyją. Przyniosłem telewizor Pris z jej mieszkania i wstawiłem do swojego, żeby mogli obejrzeć Przyjacielskiego Bustera. Buster udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że Mercer nie istnieje. — Isidore czuł podniecenie, zdając sobie sprawę, że wie coś ważnego — nowość, z której łowca nie zdawał sobie sprawy.

— Chodźmy na górę — rzekł Deckard. Nagle okazało się, że trzyma w ręku pistolet laserowy wycelowany w Isidore. Potem z niezdecydowaniem schował go. — Jesteś specjalnym, prawda? — zapytał. — Kurzym mózdzkiem?

— Ale mam pracę. Prowadzę ciężarówkę... — Z przerażeniem uświadomił sobie, że zapomniał nazwy. — ...kliniki dla zwierząt — oznajmił. — Szpital dla Zwierząt Van Nesa — dodał. — J-j-jego właścicielem jest Hannibal Sloat.

— Czy zaprowadzisz mnie na górę i pokażesz, w którym mieszkaniu się znajdują?
— zapytał Deckard. — Jest tu ponad tysiąc lokali, zaoszczędziłbyś mi mnóstwo czasu.
— W jego głosie słychać było zmęczenie.

— Jeżeli je pan zabije, nie będę w stanie znowu zespolić się z Mercerem — odparł Isidore.

— Nie zaprowadzisz mnie? Wskaż mi tylko piętro. Ustalę sam, które to mieszkanie.

— Nie — oświadczył Isidore.

— Na podstawie prawa stanowego i federalnego — zaczął Deckard. Przerwał nagle, zaprzestając przesłuchania. — Dobranoc — oznajmił i odszedł ścieżką w stronę budynku. Jego latarka oświetlała żółto ścieżkę pod jego stopami.

* * *

Wewnątrz budynku Rick Deckard zgasił latarkę i szedł wzdłuż korytarza kierując się światłem wpuszczonych w ścianę słabych żarówek. Rozmyślał. Kurzy mózdzek wiedział, że są androidami, wiedział o tym, zanim mu powiedziałem. Ale nie rozumiał. Z drugiej jednak strony, któż rozumie? Czy ja rozumiem? Czy rozumiałem? A jeden z nich będzie repliką Rachel, przypomniał sobie. Może specjal z nią żył. Ciekawe, jak mu się to podobało. Może to ona, według niego, pokroiła pająka? Mógłbym wrócić i wziąć pająka, pomyślał. Nigdy nie znalazłem żywego, dziko żyjącego zwierzęcia. To musi być wspaniałe wrażenie popatrzeć w dół i zobaczyć coś biegnącego po ziemi. Może coś takiego zdarzy się kiedyś i mnie.

Przyniósł z samochodu aparaturę podsłuchową. Ustawił teraz obrotowy ryjek wykrywacza z ekranem oscyloskopowym. W ciszy korytarza ekran pozostawał martwy. Nie na tym piętrze, pomyślał. Przełączył na przeszukiwanie w pionie. Na tej osi aparatura zarejestrowała słaby sygnał. Na górze. Wziął wykrywacz i teczkę, i wszedł po schodach na następne piętro.

W cieniu stała postać.

— Jeżeli się ruszysz, usunę cię — ostrzegł Rick. Czekał na niego mężczyzna. Deckard czuł twardy kształt pistoletu laserowego w dłoni, ale nie był w stanie unieść i wycelować broni. Został zaskoczony, mężczyzna pojawił się znikąd.

— Nie jestem androidem — rzekła postać. — Nazywam się Mercer. — Wszedł w krąg światła. — Znajduję się w tym budynku ze względu na pana Isidore. Specjale, który miał pająka. Rozmawiał pan z nim krótko przed domem.

— Czy jestem obecnie wykluczony z merceryzmu? — spytał Rick. — Tak jak powiedział kurzy mózdzek? Ze względu na to co zrobię za kilka minut?

— Pan Isidore mówił w swoim, a nie w moim imieniu. To co pan uczyni, musi zostać zrobione. Już to powiedziałem. — Uniósł rękę i wskazał schody za Rickiem. — Przyszędłem powiedzieć, że jedno z nich jest za panem i niżej, a nie w mieszkaniu. Jest najgroź-

niejsze z całej trójki i musi pan je usunąć jako pierwsze. — Szeleszczący, starczy głos nabrał nagle zapachu. — Szybko, panie Deckard. Na schodach.

Z wysuniętym do przodu pistoletem Rick obrócił się gwałtownie i przykucnął, spoglądając w stronę schodów. Pod górę posuwistym krokiem wchodziła kobieta. Kierowała się w jego stronę. Znał ją. Poznał i opuścił pistolet. — Rachel — powiedział, zaskoczony. Pojechała za nim swoim hoverem, śledziła go aż tutaj? Ale dlaczego? — Wracaj do Seattle — powiedział. — Zostaw mnie w spokoju. Mercer mi powiedział, że mam to zrobić. — I wtedy zobaczył, że niezupełnie przypomina Rachel.

— Jesteśmy dla siebie stworzeni — powiedział android, zbliżając się do niego z rękami wyciągniętymi tak, jakby chciał go objąć. Ubranie, pomyślał, jest nie takie. Ale oczy, takie same oczy. I jest jeszcze więcej takich jak ona, może być cały legion, z których każda ma własne imię, ale wszystkie są Rachel Rosen — Rachel, prototyp wykorzystany przez producenta do ochrony pozostałych. Wystrzelił do niej, gdy rzuciła się w jego stronę. Android eksplodował i jego części rozleciały się na wszystkie strony. Zasłonił twarz, a potem spojrzął znowu i zobaczył, jak jej pistolet laserowy toczy się po schodach. Metalowy przedmiot spadający w dół, odbijając się o stopnie, z coraz wolniejszym i słabnącym echem. Mercer powiedział, że to będzie najtrudniejsze z całej trójki. Rozejrzał się, poszukując Mercera. Starzec zniknął. Mogą mnie prześladować Rachele Rosen dopóki umrę albo dopóki ten typ nie stanie się przestarzały. A teraz pozostałe dwa, pomyślał. Mercer powiedział, że jednego z nich nie ma w mieszkaniu. Mercer mnie chronił, uświadomił sobie. Objawił się i okazał mi pomoc. Ona... to... załatwiłoby mnie, powiedział do siebie, gdyby Mercer mnie nie ostrzegł. Mogę teraz odpocząć, uświadomił sobie. To był ten niemożliwy moment, wiedziała, że nie mogę tego zrobić. Ale już po wszystkim. Dzięki instynktowi. Zrobiłem coś, czego nie mogłem zrobić. Batych wysłędzę dzięki zwykłej procedurze. Będzie z nimi trudno, ale nie aż tak jak z tym.

Stał samotnie w pustym korytarzu. Mercer opuścił go, ponieważ zrobił to, po co przyszedł. Rachel — albo właściwie Pris Stratton — została zastrzelona i nie pozostało już nic, tylko on sam. Ale gdzieś w tym budynku Baty'owie czekali i wiedzieli. Domyślali się, co zrobił. Być może, w tej właśnie chwili bali się. To była ich reakcja na jego obecność w budynku. Ich próba zamachu. Gdyby nie Mercer, mogłoby się im udać. Teraz dla nich nadeszła zima.

Muszę zrobić to, po co tu przyszedłem, uświadomił sobie. Ruszył szybkim krokiem korytarzem i natychmiast jego aparatura zarejestrowała aktywność mózgową. Odnalazł ich mieszkanie. Nie potrzebował już aparatury. Odłożył ją i zastukał do drzwi.

Z wnętrza rozległ się męski głos:

— Kto tam?

— Tu Isidore — odparł Rick. — Proszę mnie wpuścić, bo o-o-piekuję się panem i tymi dwoma kobietami.

— Nie otwieramy drzwi — odpowiedział kobiecy głos.

— Chcę obejrzeć Przyjacielskiego Bustera w telewizorze Pris — oznajmił Rick. — Teraz, kiedy udowodnił, że Mercer nie istnieje, należy koniecznie go oglądać. Prowadzę ciężarówkę dla Szpitala dla Zwierząt Van Nessa, należącego do pana Hannibala S-s-sloata. — Zaczął się jąkać. — Cz-czy-czy otworzycie mi drzwi? T-t-to moje mieszkanie. — Czekał przez chwilę i drzwi otworzyły się. Wewnątrz mieszkania zobaczył mrok i dwa niewyraźne kształty.

Drobniejsza, kobieca postać powiedziała:

— Musi pan przeprowadzić testy.

— Za późno — odparł Rick. Wyższa postać próbowała zatrzaskać drzwi i włączyć jakieś elektroniczne urządzenie. — Nie — oznajmił Deckard. — Muszę wejść. — Pozwolił Royowi Baty'emu wystrzelić, ale sam nie odpowiedział ogniem. Zrobił unik i poczekał, aż promień lasera przejdzie tuż obok niego. — Utraciłeś ochronę prawną strzelając do mnie — oświadczył. — Powinieneś mnie zmusić do przeprowadzenia testu Voigta — Kampffa. Ale teraz nie ma to już znaczenia. — Po raz drugi Roy Baty wystrzelił i chybił. Rzucił broń i pobiegł w głąb mieszkania, do innego pokoju i być może do pozostawionego tam elektronicznego oprzyrządowania.

— Dlaczego Pris cię nie załatwiła? — spytała Irmgarda Baty.

— Nie ma żadnej Pris — odpowiedział. — Jest tylko Rachel Rosen. Zawsze i ciągle. — Dostrzegł blaster w jej niewyraźnie majaczącej dłoni. Musiał jej go podać Roy Baty. Chciał zwabić Ricka w głąb mieszkania i umożliwić Irmgardzie zaatakowanie od tyłu, strzelenie mu w plecy. — Bardzo mi przykro, pani Baty — oświadczył Rick i usunął ją.

Ukryty w drugim pokoju Roy Baty wrzasnął rozpaczliwie.

— Dobra, kochałeś ją — powiedział Rick. — A ja kochałem Rachel. A specjal kochał tę drugą Rachel. — Zastrzelił Baty'ego. Ciało wielkiego mężczyzny szarpnęło się i przewróciło jak ułożony zbyt wysoko stos oddzielnych, kruchych przedmiotów. Runęło na stół kuchenny, pociągając za sobą talerze i sztucce. Obwody nerwowe sprawiły, że przez jakiś czas drgało jeszcze i szarpało w skurczach, w końcu jednak umarło. Rick nie zwracał na nie uwagi, nie spoglądał ani na nie, ani na Irmgardę Baty przy drzwiach wejściowych. Dostałem ostatniego, uświadomił sobie Rick. Sześć jednego dnia, niemal rekord. A teraz wszystko się już skończyło i mogę wrócić do domu, do Iran i kozy. I będziemy od razu mieli dosyć pieniędzy.

Usiadł na sofie i kiedy tak siedział w pogrążonym w ciszy mieszkaniu, pomiędzy nieruchomymi przedmiotami, w drzwiach zjawił się Isidore.

— Lepiej nie patrz — powiedział Rick.

— Widziałem ją na schodach. Pris. — Specjal płakał.

— Nie przejmuj się tym tak bardzo — rzekł Rick. Wstał niepewnie, z trudem. — Gdzie masz telefon?

Specjal nie odpowiedział. Po prostu stał nieruchomo. A więc Rick sam ruszył na poszukiwania telefonu, znalazł go i zadzwonił do biura Harry'ego Bryanta.

Rozdział XX

— Dobrze — oświadczył Harry Bryant po wysłuchaniu wiadomości. — No cóż, idź trochę odpocząć. Wyślemy samochód patrolowy, żeby zabrał te trzy ciała.

Rick Deckard odłożył słuchawkę.

— Androidy są głupie — powiedział z wściekłością do specjalą. — Roy Baty nie potrafił odróżnić mnie od ciebie. Myślał, że to ty stoisz za drzwiami. Policja tu sprzątnie. Może lepiej będzie, jeżeli przeniesiesz się do innego mieszkania, zanim skończą? Nie chciałbym siedzieć tu w otoczeniu tych szczątków.

— W-w-wyprowadzam się z tego budynku — odpowiedział Isidore. — B-b-będę żył bliżej centrum, tam, gdzie jest w-w-więcej ludzi.

— Wydaje mi się, że w moim budynku jest wolne mieszkanie — rzekł Rick.

— N-n-nie chcę m-m-mieszkać niedaleko pana — wyjąkał Isidore.

— Wyjdź na zewnątrz albo na górę — poradził Rick. — Nie zostawaj tutaj.

Specjal zmieszał się, nie wiedząc, co robić dalej. Na jego twarzy pojawiło się mnóstwo niewysłowionych uczuć, aż wreszcie odwrócił się i powłócząc nogami wyszedł z mieszkania, pozostawiając Ricka w samotności.

I to właśnie moja praca, pomyślał Rick. Jestem plagą, jak głód lub zaraza. W ślad za mną podąża odwieczna klątwa. Tak, jak powiedział Mercer — moim przeznaczeniem jest czynienie zła. Wszystko, co zrobiłem, było od samego początku złe. W każdym razie pora wracać do domu. Może, jeżeli pobędę trochę z Iran, zdołam zapomnieć.

* * *

Kiedy przybył do własnego domu, Iran przywitała go na dachu. Spoglądała na niego w dziwny, rozkojarzony sposób. W ciągu wszystkich lat ich małżeństwa nie widział jej w takim stanie.

Objął ją i powiedział:

— Już po wszystkim. I zastanawiałem się. Może Harry Bryant będzie mógł mnie przenieść...

— Rick — przerwała mu. — Muszę ci coś powiedzieć. Bardzo mi przykro. Koza nie żyje.

Z jakiegoś powodu nie był tym wcale zaskoczony. Wiadomość sprawiła jedynie, że poczuł się gorzej. Ciężar napierający na niego ze wszystkich stron zwiększył się jeszcze bardziej. — Mam wrażenie, że w umowie jest gwarancja — powiedział. — Jeżeli zachoruje w ciągu dziewięćdziesięciu dni od zakupu, sprzedawca...

— Nie zachorowała. Ktoś... — Iran odchrząknęła i ciągnęła dalej ochryplym głosem. — Ktoś tu przyleciał, wyciągnął kożę z klatki i zaciągnął ją na krawędź dachu.

— I zepchnął? — zapytał.

— Tak. — Skinęła głową.

— Czy widziałaś, kto to był?

— Bardzo wyraźnie — odparła Iran. — Barbour jeszcze się tu kręcił. Zszedł na dół i zawołał mnie. Wezwaliśmy policję, ale zanim przyjechała, zwierzę nie żyło, a ona odleciała. Drobna dziewczyna o ciemnych włosach i dużych, czarnych oczach, bardzo szczupła. Była ubrana w długi, łuskowaty płaszcz. Miała torbę typu konduktorka. I wcale się nie kryła. Jakby jej nie zależało.

— Tak, nie zależało jej — powiedział. — Rachel nic nie obchodziło, czy ją zobaczysz. Najprawdopodobniej chciała, żebyś ją widziała, aby w ten sposób dotarło do mnie, kto to zrobił. — Pocałował ją. — Czekaaś tu na mnie przez cały czas?

— Tylko pół godziny. Wtedy właśnie się to stało, pół godziny temu. — Iran delikatnie oddała mu pocałunek. — To takie straszne. Takie bezsensowne.

Zawrócił do swojego hovera, otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

— Wcale nie bezsensowne — odparł. — Zrobiła coś, co według niej miało sens. — Sens dla androida, pomyślał.

— Dokąd jedziesz? Czemu nie zejdziesz na dół i... nie pobędziesz ze mną? Telewizja podała wstrząsającą wiadomość. Przyjacielski Buster twierdzi, że Mercer jest oszustwem. Co o tym myślisz, Rick? Sądzisz, że może to być prawda?

— Wszystko jest prawdą — odparł. — Wszystko, co ktokolwiek kiedykolwiek pomyślał. — Włączył silnik.

— Nic ci się nie stanie?

— Nic mi się nie stanie — odpowiedział i pomyślał, że ma zamiar umrzeć. Ale razem jedno i drugie jest prawdziwe. Zamknął drzwi, pomachał ręką Iran i wzbił się w nocne niebo.

Kiedyś, pomyślał, mógłbym dostrzec gwiazdy. Ale teraz jest już tylko pył. Od lat nikt nie widział gwiazd, przynajmniej z Ziemi. Może polecę gdzieś, skąd widać gwiazdy, pomyślał, gdy tymczasem hover nabierał prędkości i wznosił się coraz wyżej. Oddalał się od San Francisco, kierując w stronę nie zamieszkaną pustkowi na północy. Do miejsca, gdzie nie podążałaby żadna żywa istota. Chyba że poczułaby nadchodzący koniec.

Rozdział XXI

W świetle wczesnego poranka widniejąca w dole szara, pokryta śmieciem ziemia wydawała się rozpościerać w nieskończoność. Kamienie wielkości domu tu właśnie przestały się toczyć i teraz leżały obok siebie. Rick pomyślał: To przypomina magazyn, z którego zabrano cały towar. Pozostały tylko fragmenty opakowań, pudła, które same w sobie nic nie znaczą. Kiedyś, pomyślał, rosło tu zboże i pasły się zwierzęta. Cóż za niezwykły pomysł, że coś mogłoby właśnie tutaj skubać trawę.

Jakie dziwne miejsce wymyślił sobie, żeby umrzeć.

Zniżył hovera i przez chwilę leciał nad samą powierzchnią. Co powiedziałyby o mnie Dave Holden? — zadał sobie pytanie. W pewnym sensie jestem obecnie największym żyjącym łowcą. Nikt dotąd nie usunął sześciu Nexusów-6 w ciągu dwudziestu czterech godzin i zapewne nikt więcej tego nie uczyni. Powinienem do niego zadzwonić, pomyślał.

Pojawiło się przed nim usiane głazami zbocze wzgórza i poderwał hovera do góry. Jestem zmęczony, pomyślał. Nie powinienem tak długo prowadzić. Wyłączył zapłon, przez jakiś czas opadał lotem ślizgowym i wreszcie posadził pojazd na ziemi. Chwilę jechał w górę po zboczu podskakując i rozrzucając na boki kamienie, aż wreszcie zatrzymał się ze zgrzytem i lekkim poślizgiem.

Podniósł słuchawkę samochodowego wideofonu i połączył się z centralą w San Francisco.

— Chcę mówić ze szpitalem Mount Zion — powiedział.

Natychmiast na ekranie pojawiła się następna telefonistka.

— Szpital Mount Zion.

— Macie pacjenta o nazwisku Dave Holden — oznajmił Rick. — Czy mógłbym z nim mówić? Czy czuje się dość dobrze?

— Proszę chwileczkę poczekać, zaraz sprawdzę. — Ekran na chwilę pociemniał. Czas mijał. Rick wziął szczyptę tabaki „Dr Johnson” i wdrygnął się. Przy wyłączonym ogrzewaniu temperatura wewnątrz samochodu zaczęła gwałtownie spadać. — Doktor Costa nie pozwala panu Holdenowi rozmawiać — oznajmiła telefonistka, pojawiając się znowu na ekranie.

— To sprawa służbowa — oświadczył, podnosząc legitymację do ekranu.

— Chwilkę. — Telefonistka znowu zniknęła. Rick jeszcze raz wziął szczyptę tabaki. O tak wczesnej porze zawarty w niej mentol wydał mu się bardzo nieprzyjemny. Opuścił okno i wyrzucił małe, żółte pudełeczko między kamienie. — Nie, proszę pana — stwierdziła telefonistka. — Doktor Costa nie uważa, by stan pana Holdena pozwalał mu na prowadzenie rozmów, bez względu na ich wagę, przez przynajmniej...

— Dobrze — rzekł Rick. Odłożył słuchawkę.

Powietrze również było nieprzyjemne. Podniósł znowu okno. Dave jest rzeczywiście wyłączony, uświadomił sobie. Ciekawe, dlaczego nie udało im się mnie załatwić. Ponieważ działałem zbyt szybko, doszedł do wniosku. Wszystkie jednego dnia. Nie spodziewały się tego. Harry Bryant miał rację.

W samochodzie było już wręcz lodowato. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Niezdrowy, raptowny podmuch wiatru przeniknął przez ubranie, zaczął więc spacerować zacierając ręce.

Rozmowa z Dave'em sprawiłaby mi przyjemność, pomyślał. Dave na pewno aprobowałby to, co zrobiłem. Ale musiałby również zrozumieć i drugą sprawę, której, jak sądzę, nawet Mercer nie pojmuje. Dla Mercera wszystko jest łatwe, pomyślał, ponieważ Mercer akceptuje wszystko. Nic nie jest mu obce. Ale to, co zrobiłem, pomyślał, stało się obce mnie. W gruncie rzeczy wszystko wokół mnie stało się nienaturalne, a ja przekształciłem się w nienaturalnego samego siebie.

Poszedł w górę zbocza i z każdym krokiem przytłaczający go ciężar narastał. Jestem zbyt zmęczony, pomyślał, aby się wspinać. Stanął i wytarł żrący pot spływający mu do oczu, słone łzy wydalone przez skórę, przez całe bolące ciało. A potem, zły na samego siebie, splunął na bezpłodną ziemię. Splunął z gniewem i pogardą dla własnego ja, z ostateczną nienawiścią. A potem znowu podjął wędrówkę w górę zbocza, po pustej, nieznannej ziemi, daleki od wszystkiego. Nic tu nie żyło poza nim samym.

Upał. Było coraz goręcej, najwidoczniej minął już jakiś czas. I poczuł głód. Nie jadł od Bóg wie kiedy. Głód i upał łączyły się ze sobą, ich trujący smak przypominał klęskę. Tak, pomyślał, tak właśnie jest. Zostałem w jakiś niepojęty sposób zwyciężony. Przez to, że zabiłem androidy? Przez to, że Rachel zabiła moją kozę? Nie wiedział, ale w miarę jak szedł dalej, słaby i niemal niewyczuwalny całun spowił jego umysł. W pewnym momencie, nie uświadamiając sobie nawet, jak to się stało, znalazł się o krok od urwiska, z którego upadek byłby niemal na pewno śmiertelny. Upadek upokarzający i beznadziejny, pomyślał, w dół i w dół, i nikogo, kto byłby świadkiem. Nie znajdował się tu nikt, kto widziałby jego lub czyjąś inną ostateczną degradację ani też odwagę lub dumę, które mogły objawić się tutaj i przeminąć niepostrzeżone. Martwe kamienie, pokryte kurzem suche, umierające trawy — nie wiedzące nic, nie przypominające sobie niczego ani o nim, ani o sobie.

W tej samej chwili pierwszy kamień — i wcale nie była to guma ani miękka plastikowa pianka — trafił go w okolicę pachwiny. Ból, pierwsze uświadomienie sobie całkowitego odosobnienia i cierpienia, ogarnęły go w pełnej, niczym nie zamaskowanej postaci.

Zatrzymał się. A wtedy, nakłaniany przez coś niewidocznego, lecz prawdziwego i nieodpartego, podjął dalej swoją wspinaczkę. Toczę się do góry jak kamienie. Robię to samo co kamienie, bez własnej woli, bez nadawania temu jakiegokolwiek znaczenia.

— Mercer — powiedział dysząc. Zatrzymał się. Przed sobą zobaczył mglistą, nieruchomą postać. — Wilburze Mercerze, czy to ty? — Mój Boże, uświadomił sobie — to przecież mój cień. Muszę się stąd wydostać, zejść ze wzgórza!

Ruszył pośpiesznie w dół. Upadł. Chmury pyłu przesłoniły wszystko i zaczął przed nimi uciekać. Biegł coraz szybciej, ślizgając się i potykając na luźnych kamykach. Zobaczył przed sobą własny hover. Wróciłem na dół, powiedział do siebie. Zszedłem ze wzgórza. Otworzył szarpnięciem drzwi maszyny i wcisnął się do środka. Kto rzucił we mnie kamieniem? — zadał sobie pytanie. Nikt. Ale dlaczego mnie to w ogóle obchodzi? Przecież przeżywałem już to poprzednio, w czasie zespolenia. Kiedy jak każdy inny korzystałem z mojej skrzynki empatycznej. To nic nowego. Ale jednak było czymś nowym. Ponieważ, pomyślał, zrobiłem to sam.

Dygocąc, wyjął ze schowka nową puszkę z tabaką. Zdjął ochronną taśmę, wziął solidną szczyptę i siedział w pojeździe, wysunawszy nogi na zewnątrz, opierając stopy na suchej, zapylonej ziemi. Było to ostatnie miejsce, do którego można było pojechać, uświadomił sobie. Nie powinienem był tu przyjeżdżać. I nagle zorientował się, że jest zbyt zmęczony, aby wrócić.

Gdybym mógł porozmawiać z Dave'em, pomyślał, wszystko byłoby dobrze. Mógłbym wydostać się stąd, polecieć do domu i pójść do łóżka. Wciąż mam swoją owcę i wciąż mam swoją pracę. Będzie jeszcze więcej andków do usunięcia, moja kariera jeszcze się nie skończyła. Jeszcze nie usunąłem ostatniego istniejącego andka. Może o to właśnie chodzi, pomyślał. Obawiam się, że nie ma już ich więcej.

Spojrzał na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści.

Podniósł słuchawkę wideofonu i wybrał numer Pałacu Sprawiedliwości na Lombard Street.

— Chciałbym mówić z inspektorem Bryantem — powiedział do panny Wild, telefonistki z policyjnej centrali.

— Inspektora Bryanta nie ma w gabinecie, panie Deckard. Wyjechał swoim hoverem, ale nie mogę się z nim połączyć. Musiał chwilowo opuścić swój wóz.

— Czy powiedział, dokąd ma zamiar się udać?

— Mówił coś o androidach, które usunął pan ubiegłej nocy.

— Może porozmawiam ze swoją sekretarką — powiedział.

Chwilę później na ekranie pojawiła się pomarańczowa, trójkątna twarz Ann Mar-
tin.

— Och, panie Deckard, inspektor Bryant chciał się z panem porozumieć. Mam wra-
żenie, że chce przekazać pańskie nazwisko komisarzowi Cutterowi, aby udzielił panu
pochwały. Ponieważ usunął pan te trzy...

— Wiem, co zrobiłem — powiedział.

— To się nigdy dotąd nie zdarzyło. Aha, jeszcze jedno, panie Deckard. Dzwoniła
pańska żona. Chciała wiedzieć, czy u pana wszystko w porządku. Czy wszystko u pa-
na w porządku?

Nie odpowiedział.

— Może jednak — oświadczyła panna Marsten — powinien pan do niej zadzwonić
i porozmawiać. Zostawiła wiadomość, że będzie przez cały czas w domu czekać na wia-
domość od pana.

— Czy słyszała pani o mojej kozie? — zapytał.

— Nie. Nawet nie wiedziałam, że ma pan kozę.

— Zabrali mi ją — powiedział Rick.

— Kto to zrobił, panie Deckard? Złodzieje zwierząt? Właśnie otrzymaliśmy meldu-
nek o nowym wielkim gangu, zapewne nastolatków, działającym w...

— Złodzieje życia — odparł.

— Nie rozumiem, panie Deckard. — Panna Marsten spojrzała na niego uważnie.
— Panie Deckard, wygląda pan koszmarne. Musi pan być strasznie zmęczony. I mój
Boże, pański policzek krwawi.

Uniosł rękę i poczuł pod palcami krew. To pewnie kamień. Najwidoczniej trafił go
nie tylko ten jeden.

— Wygląda pan — oznajmiła panna Marsten — jak Wilbur Mercer.

— Jestem nim — powiedział. — Jestem Wilburem Mercerem. Jestem z nim zespolo-
ny na stałe. I nie mogę tego zerwać. Siedzę tu i czekam, aż tak się stanie. Gdzieś nieda-
leko granicy z Oregonem.

— Czy mamy kogoś wysłać? Wóz z wydziału, żeby pana stamtąd zabrał?

— Nie — powiedział. — Już nie pracuję w wydziale.

— Najwyraźniej zbyt wiele pan wczoraj pracował, panie Deckard — oświadczyła
uspokajającym tonem. — Musi pan przede wszystkim położyć się do łóżka i odpocząć.
Jest pan naszym najlepszym łowcą, najlepszym, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Powtó-
rzę inspektorowi Bryantowi, kiedy powróci, a pan niech jedzie do domu i kładzie się do
łóżka. Proszę zaraz zadzwonić do żony, panie Deckard, ponieważ strasznie, ale to strasz-
nie się martwi. Widziałam. Oboje jesteście w okropnym stanie.

— To z powodu mojej kozy — oznajmił. — A nie androidów. Rachel nie miała racji,
usunięcie ich nie sprawiło mi najmniejszych kłopotów. I specjal też się mylił, mówiąc, że
nie będę w stanie ponownie zespolić się z Mercerem. I tylko Mercer miał rację.

— Lepiej niech pan wraca do Strefy Zatoki, panie Deckard. Tam gdzie są ludzie. Przecież w pobliżu Oregonu nie ma nic żywego, prawda? Czyż nie jest pan sam?

— To dziwne — rzekł Rick. — Mam całkowite, zupełnie realne wrażenie, że stałem się Mercerem i ludzie rzucali we mnie kamieniami. Ale nie tak, jak doświadczamy tego w czasie, gdy trzymamy uchwyty skrzynki empatycznej. Kiedy korzysta się ze skrzynki, ma się uczucie, że jest się z Mercerem. Różnica polega na tym, że nie byłem z nikim. Byłem sam.

— Obecnie mówi się, że Mercer jest oszustwem.

— Mercer nie jest oszustwem — odpowiedział. — Chyba że realność jest oszustwem. — To wzgórze, pomyślał. Pył i tyle kamieni, z których każdy jest inny od pozostałych. — Obawiam się — powiedział — że nie mogę przestać być Mercerem. Kiedy już raz się zacznie, jest za późno, żeby się wycofać. — Czy będę musiał znowu wspinać się na wzgórze? — zastanawiał się. Zawsze, tak jak czyni to Mercer... uwięziony przez wieczność. — Do widzenia — powiedział i zaczął odkładać słuchawkę.

— Czy zadzwoni pan do żony? Obiecuje pan?

— Tak. — Skinął głową. — Dziękuję, Ann. — Odłożył słuchawkę. Położyć się do łóżka i odpocząć. Ostatni raz poszedłem do łóżka z Rachel. Pogwałcenie przepisu. Spółkowanie z androidem, całkowicie sprzeczne z prawem, zarówno tu, jak w koloniach. Musiała już wrócić do Seattle. Do pozostałych Rosenów, prawdziwych i humanoidalnych.. Chciałbym móc zrobić z tobą to, co zrobiłaś ze mną. Ale nie mogę uczynić tego androidowi, ponieważ one o to nie dbają. Gdybym cię zabił ubiegłej nocy, moja koza by żyła. Wtedy właśnie podjąłem niewłaściwą decyzję. Tak, pomyślał, wszystko można prześledzić do tego właśnie momentu, gdy poszedłem z tobą do łóżka. W każdym razie pod jednym względem miałaś rację, to mnie zmieniło. Ale nie w ten sposób, jak przewidywałeś.

W o wiele gorszy sposób, uznał.

A jednak tak naprawdę nie dbam o to. Już nie. Nie po tym, co się zdarzyło tam pod szczytem wzgórza. Ciekawe, co zdarzyłoby się potem, gdybym dalej się wspinał i dotarł do szczytu. Tam właśnie objawiał się triumf Mercera i tam ma miejsce koniec wielkiego, wiecznego cyklu.

Ale jeżeli to ja jestem Mercerem, pomyślał, nigdy nie będę mógł umrzeć, przez dwieście tysięcy lat. Mercer jest nieśmiertelny.

Ponownie uniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do żony.

I znieruchomiał.

Rozdział XXII

Odłożył słuchawkę i nie spuszczał wzroku z miejsca, które poruszyło się. Maleńki wzgórek pomiędzy kamieniami. Zwierzę, pomyślał. Poczuł, jak serce zaczyna bić pod nadmiernym obciążeniem. Wiem, co to jest, uświadomił sobie. Nigdy przedtem tego nie widziałem, ale znam ze starych filmów przyrodniczych, które wyświetlają w rządowej telewizji.

— Są wymarłe! — powiedział do siebie. Szybko wydobył pogniecionego Sidneya i zaczął przewracać strony trzęsącymi się palcami.

ROPUCHA (Bufonidae), wszystkie odmiany...

Wymarłe od wielu lat. Stworzenie szczególnie drogie Wilburowi Mercerowi, podobnie jak osioł. Ale ropuchy przede wszystkim.

Muszę mieć pudełko. Rozejrzał się wokoło, ale nie zobaczył na tylnym siedzeniu niczego odpowiedniego. Wyskoczył na zewnątrz, podbiegł do bagażnika hovera i otworzył go. Znajdował się w nim kartonowy pojemnik, a w nim zapasowa pompa paliwowa. Wyjął pompę, znalazł trochę pakuł i poszedł wolno w stronę ropuchy nie spuszczać z niej oczu.

Dostrzegł, że ropucha zlewa się całkowicie z powierzchnią i wszechobecnym pyłem. Być może ewoluowała, przystosowując się do nowego klimatu tak samo, jak przystosowywała się do wszystkich dotychczasowych klimatów. Gdyby się nie poruszyła, nigdy nie byłby w stanie jej zobaczyć, mimo że znajdowała się w odległości zaledwie dwóch metrów. Co się dzieje, jeżeli się znajdzie — kiedy się znajdzie — zwierzę uznane za wymarłe? — zapytał sam siebie, próbując sobie przypomnieć. Zdarzało się to tak rzadko. Chyba Gwiazda Zasługi od Narodów Zjednoczonych i stypendium. Nagroda w wysokości milionów dolarów. I na dodatek odnalezienie stworzenia najbardziej świętego dla Mercera. Jezu, pomyślał, to niemożliwe. Może to wynik uszkodzenia mózgu, rezultat działania radioaktywności. Jestem specjalą, pomyślał. Coś mi się stało. Tak jak temu kurzemu mózdkowi Isidore i pająkowi. To, co zdarzyło się jemu, przytrafiło się również mnie. Czy to dzieło Mercera? Ale ja jestem Mercerem, to moje dzieło. Znalazłem ropuchę. Odnalazłem ją, ponieważ patrzę oczyma Mercera.

Usiadł w kucki, tuż przy ropusze. Rozkopała żwir, żeby choć częściowo się ukryć i przesuwała zadem pył. Nad powierzchnią ziemi sterczał więc jedynie czubek jej płaskiej głowy i oczy. Jej przemiana materii niemal ustała, żaba zapadła w coś w rodzaju transu. Oczy nie błyszczały, nie rejestrowały jego obecności i Rick z przerażeniem pomyślał: zmarła, może z pragnienia. Ale wreszcie poruszyła się.

Odstawił pudełko na bok i zaczął starannie odgarniać piasek z ropuchy. Nie sprzeciwiała się, ale oczywiście nie uświadamiała sobie jego obecności.

Kiedy podniósł ropuchę, poczuł, że jest chłodna. W dłoniach Ricka jej ciało wydawało się suche i pomarszczone, niemal zwiotczałe — i tak zimne, jakby żyła w grocie położonej wiele mil pod ziemią, daleko od słońca. Teraz ropucha się poruszyła, słabymi tylnymi łapami usiłowała wyswobodzić się z jego uścisku, instynktownie pragnąc uciec. Bardzo wielka, pomyślał Rick, wyrosnięta i mądra. Na swój sposób zdolna przeżyć nawet wtedy, kiedy nam niezbyt się to udaje. Ciekawe, gdzie znajdzie wodę, aby złżyć skrzek.

A więc to właśnie widzi Mercer, pomyślał, starannie zawiązując kartonowe pudełko, owijając je sznurkiem znowu i znowu. Życie, którego nie możemy już dostrzec, życie starannie ukryte aż po czubek głowy w trupie martwego świata. W każdym okrucchu żużlu we wszechświecie Mercer dostrzega zapewne niewidoczne objawy życia. Teraz wiem, pomyślał. I skoro już raz popatrzyłem oczyma Mercera, pewnie nigdy już nie przestanę.

I żaden android, pomyślał, nie obetnie ci nóg. Tak jak zrobiły to z pajakiem kurzego mózdzka.

Położył starannie zawiązane pudełko na siedzeniu samochodu i usiadł za kierownicą. To tak, jakbym znowu był dzieckiem, pomyślał. Poczuł, że spada z niego cały ciężar, straszliwe, przygniatające zmęczenie. Poczekaj, aż Iran o tym usłyszy. Schwycił słuchawkę i zaczął wybierać numer. Nagle jednak przerwał. Zrobię jej niespodziankę, postanowił. Powrotny lot do domu zajmie mi zaledwie trzydzieści albo czterdzieści minut.

Z zapalą włączył silnik i wkrótce potem wzbił się w niebo, lecąc w stronę San Francisco, położonego w odległości siedmiuset mil na południe.

* * *

Iran Deckard siedziała przy modyfikatorze nastroju Penfielda, dotykając tarczy numerycznej prawym wskazującym palcem. Nie wybierała jednak numeru. Czuła się na zbytek bezsilna i słaba, żeby cokolwiek robić. Przytłoczona ciężarem, który zagradzał jej przyszłość i wszelkie możliwości, jakie były w niej zawarte. Gdyby Rick był na miejscu, pomyślała, zmusiłby mnie do wybrania 3, dzięki czemu przyszłaby mi ochota wybrać coś istotnego, jeżeli nie radość, to może 888, pragnienie oglądania telewizji bez względu na to, co jest wyświetlane. Ciekawe, co jest wyświetlane, pomyślała. I znowu zaczęła się

zastanawiać, gdzie się podział Rick. Może wróci prędko, a może nie, powiedziała do siebie i poczuła, jak jej kości kurczą się pod wpływem mijającego czasu.

Rozległo się stukanie do drzwi.

Odłożyła instrukcję Penfielda i zerwała się, myśląc, że nie musi już wybierać, już wszystko załatwione — jeżeli to Rick. Podbiegła do drzwi i otworzyła je szeroko.

— Cześć — powiedział. Stał przed nią z rozciętym policzkiem, w zmiętym i szarym ubraniu, nawet jego włosy przesycone były kurzem. Jego dłonie, twarz... Pył pokrywał całe jego ciało, z wyjątkiem oczu. Jego oczy płonęły zachwytem jak u małego chłopca. Wygląda, pomyślała, jakby do tej pory udawał, a teraz nadeszła pora, żeby zakończyć grę i wrócić do domu. Aby odpocząć, umyć się i opowiedzieć o cudownych wydarzeniach dnia.

— Cieszę się, że cię widzę — rzekła.

— Mam coś. — W obu rękach trzymał kartonowe pudełko. Nie odstawił go od chwili, kiedy wszedł do mieszkania. Zupełnie, pomyślała, jakby zawierało coś zbyt kruchego i cennego, aby się z tym rozstać. Chciał bez przerwy trzymać to w dłoniach.

— Przygotuję ci filiżankę kawy — powiedziała. Doszła do piecyka, przycisnęła guzik „kawa” i po chwili postawiła na stole przed krzesłem Ricka ogromny kubek. Usiadł, nie wypuszczając pudełka, a na jego twarzy w dalszym ciągu pozostawał ten sam wyraz radosnego zdziwienia. Nigdy w życiu nie widziała go równie podnieconego. Coś musiało się mu przydarzyć od chwili, kiedy widziała go po raz ostatni. Od ubiegłej nocy, kiedy poleciał swoim hoverem. A teraz wrócił i przyniósł ze sobą pudełko. Trzymał w nim wszystko, co się mu zdarzyło.

— Będę teraz spał — oświadczył. — Cały dzień. Zadzwoiłem i porozumiałem się z Harrym Bryantem. Poradził, żebym wziął wolny dzień i odpoczął. I to właśnie mam zamiar zrobić. — Ostrożnie postawił pudełko na stole i sięgnął po kubek. Posłusznie, ponieważ tak sobie życzyła, wypił kawę.

Usiadła naprzeciw niego i zapytała:

— Co masz w pudełku, Rick?

— Ropuchę.

— Czy mogę ją zobaczyć? — Obserwowała, jak rozwiązuje pudełko i zdejmuje pokrywkę. — Och — zawołała na widok ropuchy. Z jakiegoś powodu przestraszyła się. — Czy gryzie? — spytała.

— Weź ją. Nie ugryzie. Ropuchy nie mają zębów. — Rick podniósł ropuchę i podał ją Iran. Opanowując odrazę, wzięła ją. — Myślałam, że ropuchy wymarły — powiedziała i obróciła zwierzę do góry brzuchem, zainteresowana jego kończynami. Miała wrażenie, że są niemal bezużyteczne. — Czy ropuchy skaczą tak jak żaby? Chodzi mi o to, czy mogłaby niespodziewanie wyskoczyć mi z ręki.

— Ropucha ma słabe kończyny — wyjaśnił Rick. — Właśnie nogi różnią ją od żaby. To, i sprawa wody. Żaby żyją w pobliżu wody, ale ropuchy mogą mieszkać na pustyni. Znalazłem ją właśnie tam, w pobliżu granicy z Oregonem. W miejscu, gdzie wszystko wyginęło. — Wyciągnął rękę po ropuchę. Ale Iran odkryła coś. Wciąż trzymając ją do góry brzuchem dotknęła podbrzusza, namacała paznokciem maleńką pokrywę i otworzyła ją.

— Och. — Jego twarz posępniała stopniowo. — Tak. Widzę. Masz rację. — Z przygnębieniem patrzył bez słowa na fałszywe zwierzę. Wziął je od Iran, przez chwilę badał jego nogi, robiąc wrażenie zupełnie zdezorientowanego — jakby nie do końca był w stanie zrozumieć. Potem ostrożnie odłożył ropuchę do pudełka. — Ciekawe, w jaki sposób dostała się na te pustynne obszary Kalifornii. Ktoś musiał ją tam podłożyć. Nie sposób zgadnąć, po co.

— Może nie powinnam ci mówić, że jest elektryczna. — Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ramienia. Czuła się winna widząc zaszłą w Ricku zmianę.

— Nie — odparł Rick. — Dobrze, że wiem. Albo raczej... — Umilkł na chwilę. — Wolę wiedzieć.

— Czy chcesz skorzystać z modyfikatora nastroju? Żeby poczuć się lepiej? Zawsze bardziej na ciebie działał, w o wiele większym stopniu niż na mnie.

— Wszystko będzie w porządku. — Pokręcił głową, jakby chcąc się otrząsnąć. Wciąż czuł się oszołomiony. — Pająk, którego Mercer dał Isidore, temu kurzemu mózdkowi, też był pewnie sztuczny. Ale to nie ma znaczenia. Elektryczne zwierzęta też mają swoje życie. Bez względu na to, jak jest nędzne.

— Wyglądasz, jakbyś przeszedł na piechotę tysiąc mil — powiedziała.

— To był długi dzień. — Skinął głową.

— Idź do łóżka i wyśpij się.

Popatrzył na nią, jakby nagle zdziwiony.

— Wszystko już skończone, prawda? — Miała wrażenie, że z pełnym zaufaniem czeka na potwierdzenie. Zupełnie, jakby jego własne odczucia nie miały żadnego znaczenia. Traktował swoje słowa z niedowierzaniem. Nie stawały się prawdziwe, dopóki ich nie potwierdziła.

— Skończone — powiedziała.

— Boże, cóż za maraton — rzekł Rick. — Kiedy zacząłem to zadanie, nie sposób było nie skończyć. Trwało to do chwili, kiedy dopadłem Batych, a wówczas nagle nie miałem już nic do roboty. I wtedy... — Zawahał się, najwyraźniej zdziwiony tym, co mówi. — To było najgorsze — powiedział. — Po tym jak skończyłem, nie mogłem przestać, ponieważ gdybym przestał, nie pozostałoby mi już nic innego. Miałaś rację mówiąc mi, że jestem tylko prymitywnym gliiniarzem z prymitywnymi łapami gliiniarza.

— Już tak nie uważam — odparła. — Czuję się po prostu bardzo szczęśliwa, że jesteś tu, gdzie powinieneś być — w domu. — Pocałowała go i miała wrażenie, że sprawiła mu przyjemność. Twarz Ricka rozpromieniła się niemal jak przed chwilą, zanim pokazała mu, że ropucha jest elektryczna.

— Czy uważasz, że postąpiłem źle? — zapytał. — To, co zrobiłem dzisiaj?

— Nie.

— Mercer powiedział, że źle, ale mimo wszystko powinienem to zrobić. Niesamowicie. Czasem lepiej jest zrobić coś złego niż dobrego.

— Cięży na nas klątwa — powiedziała Iran. — O tym naucza Mercer.

— Pył? — zapytał.

— Zabójcy odnaleźli Mercera, kiedy miał szesnaście lat, Powiedzieli mu wówczas, że nie może cofać czasu i przywracać życia. A więc obecnie może jedynie podążać wraz z życiem, zmierzając tam, gdzie ono — do śmierci. I to zabójcy ciskają kamieniami, to ich dzieło. Wciąż go przesładują. Wszystkich nas, prawdę mówiąc. Czy to jeden z nich rozciął ci do krwi policzek?

— Tak — odparł słabo.

— Pójdiesz teraz do łóżka? Jeżeli ustawię modyfikator nastroju na 670?

— A co to daje? — zapytał.

— Zasłużony odpoczynek — odparła Iran.

Wstał i wyprostował się z bólem. Twarz miał senną i pobrużdżoną, jakby na jej powierzchni przez wiele lat toczono tysiące bitew. A potem wolno poszedł w stronę sypialni. — Dobrze — powiedział. — Zasłużony odpoczynek. — Wyciągnął się na łóżku i z jego ubrania i włosów opadł kurz na białe prześcieradło.

Iran uświadomiła sobie, że nie ma potrzeby włączania modyfikatora nastroju w chwili, gdy nacisnęła guzik. Szyby w sypialni zrobiły się nieprzejrzyste. Szare światło dnia zniknęło.

Leżący na łóżku Rick po chwili już spał.

Stała przy nim przez chwilę i obserwowała, upewniając się, że nie obudzi się nagle i nie usiądzie na łóżku ogarnięty strachem przed czymś, co zrobił dziś w nocy. A potem wróciła do kuchni i ponownie usiadła przy stole.

Tuż obok niej elektryczna ropucha chodziła, szeleszcząc pakułami wewnątrz swojego pudełka. Iran zastanawiała się, co ona „je” i jak należy ją konserwować. Uznała, że pokarmem są pewnie sztuczne muchy.

Otworzyła książkę telefoniczną na żółtych stronach i odnalazła hasło „zwierząt obługa, elektryczne”. Wybrała numer i kiedy zgłosiła się ekspedientka, powiedziała:

— Chciałabym zamówić funt sztucznych much, które naprawdę latają i brzęczą.

— Czy to dla elektrycznego żółwia, proszę pani?

— Ropuchy — odparła.

— W takim razie polecałabym nasz mieszany zestaw pełzających i latających owadów, w skład którego wchodzi...

— Muchy wystarczą — oświadczyła Iran. — Czy dostarczycie je państwo? Nie chciałabym wychodzić z mieszkania. Mąż śpi i wolę mieć pewność, że dobrze się czuje.

— Proponuję również — powiedziała sprzedawczyni — aby kupiła pani dla ropuchy stale odnawiającą się kałużę. Chyba że jest to ropucha rogata, bo w takim razie radziłabym zestaw zawierający piasek, różnobarwne kamyki i kawałki szczątków organicznych. I jeżeli ma pani zamiar regularnie stosować cykle żywieniowe, proponuję, aby zamówiła pani w naszym wydziale technicznym okresowe przeglądy języka. W przypadku ropuch jest to niezmiernie istotne.

— Doskonale — powiedziała Iran. — Chcę, żeby działała idealnie. Mój mąż jest bardzo do niej przywiązany. — Podała swój adres i odłożyła słuchawkę.

I czując się o wiele lepiej, przygotowała sobie wreszcie filiżankę gorącej czarnej kawy.

SPIS TREŚCI

Rozdział I	4
Rozdział II	12
Rozdział III	19
Rozdział IV	25
Rozdział V	33
Rozdział VI	42
Rozdział VII	47
Rozdział VIII	57
Rozdział IX	66
Rozdział X	76
Rozdział XI	82
Rozdział XII	87
Rozdział XIII	97
Rozdział XIV	103
Rozdział XV	111
Rozdział XVI	122
Rozdział XVII	129
Rozdział XVIII	134
Rozdział XIX	142
Rozdział XX	147
Rozdział XXI	149
Rozdział XXII	154